

PRADAWNE ZNALEZISKA I FAKTY,
KTÓRE PODWAŻAJĄ PODSTAWY OFICJALNEJ NAUKI

FENOMENY NIE Z TEGO ŚWIATA

HARTWIG HAUSDORF



Hartwig Hausdorf

FENOMENY NIE Z TEGO ŚWIATA

Przekład

Cezary Murawski



Redakcja stylistyczna
Barbara Nowak

Korekta
Jolanta Kucharska
Elżbieta Szelest

Ilustracja na okładce
© DIGITAL ART/CORBIS

Opracowanie graficzne okładki
Wydawnictwo Amber

Skład
Wydawnictwo Amber

Druk
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA, Warszawa, ul. Mińska 65

Tytuł oryginału
Nicht von dieser Welt

Copyright © 2008 by F.A. Herbig Verlagsbuchhandlung GmbH, München
All rights reserved
www.hartwighausdorf.de

For the Polish edition
Copyright © 2008 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-3202-7

Warszawa 2008. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER
Sp. z o.o. 00-060 Warszawa, ul. Królewska 27
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

SPIS TREŚCI

KILKA SŁÓW DO CZYTELNIKÓW 5

1. NA POCZĄTKU BYŁ ATOM

ELEKTROWNIA JĄDROWA SPRZED DWÓCH MILIARDÓW LAT 7

Jak działa... – Tajemnica z Oklo – Pochodzenie naturalne czy sztuczne? – Zbyt wiele przypadków – Dyskusje pełne kontrowersji – Opuszczone i zatopione – Upiorne cienie – Eksplozje jądrowe w starożytnych Indiach – Radioaktywne ślady

2. NIERDZEWNY METAL „MADE IN INDIA”

NIEMOŻLIWE ARTEFAKTY Z NIEMOŻLIWYCH STOPÓW 18

2000 lat przerwy – Tajemnicza kolumna z żelaza – Skąd się wzięła? – Loty kosmiczne z Garudą – Podróż w nieznanie – Niemal cud – Zagadka w dżungli – *Kila*: „niemożliwy” sztylet – Tysiącletni lub starszy

3. „NICZYM ODRZUTOWY MYŚLIWIEC W GROBOWCU TUTANCHAMONA”

TECHNIKA KOMPUTEROWA W STAROŻYTNOŚCI 29

Sztorm na Morzu Egejskim – Pandemonium na dnie morza – Krwawe żniwo i tajemnicze znalezisko – „Ten przedmiot jest jedyny w swoim rodzaju” – W żadnym razie nie prototyp – Opatentowana po raz pierwszy w 1828 roku – Lądowanie na innych ciałach niebieskich – Holograficzne iluzje – Dziesiąta planeta

4. MEKSYKANIE W KAPSUŁACH RATUNKOWYCH

O ASTRONAUTACH I INNYCH POSTACIACH W HELMACH 37

Kroniki Indian Cakchiquel – Bogowie w skafandrach astronautów – Postać o skośnych oczach w hełmie na głowie – Mordercza gra – Kapłan w fotelu z katapultą – „Zestaw słuchawkowy” w pierwotnej dżungli – Człowiek z „ramionami robota”

5. DRAŻLIWY TEMAT: INŻYNIERIA GENETYCZNA

„DIZAJNERSKA FAUNA” STWORZONA RĘKĄ BOGÓW? 45

Dojmujący strach – Greenpeace wpada we wściekłość – Świadome wprowadzanie w błąd i tuszowanie faktów – Chiny a inżynieria genetyczna – Geny innych gatunków dają o sobie znać – Poważne skutki uboczne... – Dizajnerska fauna I: Najwierniejszy przyjaciel człowieka – Dizajnerska fauna II: Tajemniczy stepowy sprinter – Jak z hien powstały gepardy? – Krzyżówka psa i kozy? – Dopisek

6. PREHISTORYCZNE ŚWIECE ZAPŁONOWE ORAZ KOSMICZNE ODPADY Z EPOKI LODOWCOWEJ

WYSOKO ROZWINIĘTA MIKROTECHNOLOGIA W STARSZEJ EPOCE KAMIENIA 56

Jak gromem rażony – Nanotechnika przyszłości – Rzeczywistość prześciga science fiction – Twórcza maszyna – Nanotechnika z epoki lodowcowej – Prace wykopaliskowe nad rzeką Balbanju – „Pozaziemskie technogenne pochodzenie” – Zgłasza się CICAP

7. ZNIKNAŁ W OTCHŁANI BŁĘKITNEGO ŚWIATŁA

GWIEZDNE WROTA W ANDACH 64

Nie z tego świata – „Wrota do świata bogów” – W tunelu emanującym błękitną poświatą – Główny obóz bogów – Wodociągi, które nigdy nie były wodociągami – Druga strona Bramy Słońca – Przesłanie w kamieniu – Magnetyczne odchylenia na papierze milimetrowym – Co nam mówi to przesłanie?

8. „RUINY POZOSTAWIONE PRZEZ LUDZI SPOZA ZIEMI”

NIEBYWAŁE ZNALEZISKA POTWIERDZONE PRZEZ WŁADZE CHIN 88

Zabawka dla olbrzymów? – „...Kosmodrom pozaziemskich istot” – Osiem procent próbek nie do zidentyfikowania – To nie powstało w sposób naturalny – Metal lekki na potrzeby technologii przyszłości

9. ŚLAD PONOWNIE PODJĘTY

NOWE DONIESIENIA W SPRAWIE ZAGADKI TYSIĄCLECIA – „CHIŃSKIEGO ROSWELL” 109

Małe istoty o wielkiej głowie – Najbardziej osobliwe pismo, jakie kiedykolwiek odkryto – „Odjechana” historia – Szukanie igły w stogu siana – Niespodziewane odkrycie – Zatrzeć wszelkie ślady – Ostatni żyjący potomkowie? – Katastrofa w Zatoce Minamata – Długi czas w całkowitej izolacji – Niesamowite spotkanie podczas II Wojny Światowej – Nowa ekspedycja do Baian Kara Ula?

10. EGIPCJANIE ORAZ ISTOTY POZAZIEMSKIE

AUSTRALIA KRYJE WIELE TAJEMNIC 119

Jakby spod ziemi wyrosli – Anubis w australijskim buszu – Archaiczny styl pisma – Wąż, który atakuje po wielokroć – Gdzie znajduje się mumia? – Bóg niebios prowadzi obrady sądu – Kolekcja australijskich trofeów – Świetliste ptak i czasu snu – Z „gwiazdnym komputerem” przez połowę świata

WYKAZ TERMINÓW 128

PRZYPISY 132

PODZIĘKOWANIA 136

KILKA SŁÓW DO CZYTELNIKÓW

*Horyzont wielu ludzi jest kołem o promieniu równym zero.
Nazywają to punktem widzenia.*

Albert Einstein (1879-1955), fizyk i laureat Nagrody Nobla

Istnieją rzeczy, których lepiej byłoby nie odkrywać. I artefakty, których nie powinno się wykopać z ziemi czy wydobyć z morskich głębin. Sieją tylko niezgodę i prowadzą do kontrowersji z tymi, którzy polegają na tak zwanym zdrowym rozsądku.

Jeśli przedstawi się im fakty oraz odkrycia, które absolutnie nie pasują do przyjętego przez nich z góry i utrwalonego oglądu świata, często interesująco reagują. Są wśród nich tacy, którzy nigdy nie tracą stoickiego spokoju. Uśmiechają się zagadkowo, kręcą sceptycznie głową i „wyjaśniają” współczującym tonem, że takie rzeczy przecież w ogóle nie istnieją. Ponieważ – co oczywiste – nie powinno istnieć to, co istnieć nie może.

Inni reagują gwałtowniej. Zdjęci świętym gniewem, określają ludzi, którzy podejmują naprawdę niezwykle tematy, mianem stukniętych i odsyłają przytaczane przez nich argumenty do świata baśni, nie kłopotząc się zweryfikowaniem ich zasadności. Dyskutowanie z nimi z reguły jest bezcelowe, bo jakiegokolwiek rzeczowe podejście ustępuje miejsca emocjom, owi oponenci zaś w ferworze polemik wyobrażają sobie, że wyruszają na krucjatę przeciwko treściom, które – powtórzmy to jeszcze raz – nie powinny istnieć, ponieważ po prostu istnieć nie mogą.

Jak niebezpieczna dla przyjętego światopoglądu siła musi tkwić w niektórych rzeczach, skoro ciągle wielu nam współczesnych postrzega je jako mroczne zagrożenie. Ci sami ludzie nie obruszają się natomiast wcale, kiedy międzynarodowe koncerny naftowe uderzają ich po kieszeni, codziennie, na stacjach benzynowych. Nie buntują się, gdy są ustawicznie wyprzedawani za bezcen przez swoich „demokratyczne wybranych przedstawicieli”. Ci sami ludzie potrafią zapalać się podziwu godnym gniewem, gdy kilku niepokornych wolnomyślicieli zaprezentuje konkretne fakty, za sprawą których pokażną część naszej z trudem zdobytej szkolnej wiedzy można by doprowadzić *ad absurdum* (do punktu, gdzie jej fałszywość staje się oczywista). Dokąd nas zawiedzie zapoznanie się z relacjami na takie tematy, jak:

– prastare posągi w dżungli Ameryki Środkowej wyposażone w przyrządy przypominające „ramiona robotów”, stosowane dziś w nowoczesnych laboratoriach do prowadzenia niebezpiecznych dla życia człowieka prac;

– „Gwiazdne Wrota” w peruwiańskich Andach; według indiańskich legend sprzed tysięcy lat w tym miejscu zachodzą takie same zjawiska, jakie ukazano w filmie i serialu telewizyjnym *Gwiazdne wrota*;

– majstersztyki metalurgii starożytnych Indii – obiekty wytworzone ze stopów wręcz „niemających prawa istnieć”, które są zaprzeczeniem całej naszej wiedzy o prehistorycznej technice;

– instalacja z zamierzchłej przeszłości, której daty powstania nie da się określić; oficjalne czynniki Chińskiej Republiki Ludowej nadały jej miano „ruin pozostawionych przez ludzi spoza Ziemi”.

Zamierzam przedstawić czytelnikom zdumiewająco liczne znaleziska i fakty mające ze sobą wiele wspólnego. Nie pasują one do odziedziczonego przez nas obrazu minionych dziejów, wzbudzają ostre kontrowersje. Ponadto, w opinii wielu, lepiej byłoby nie wyciągać ich na światło dzienne. Rozsądniej byłoby zakopać je dwa razy głębiej. Zamknąć wieko pudła, by znów

zapanował w nim ład i porządek.

Jak bardzo bulwersujące muszą być niektóre spośród tych niewygodnych faktów, skoro już samo ich istnienie wywołuje tak gorące dyskusje. Przyznaję, że ogromną radość sprawia mi penetrowanie za ich pomocą paradygmatu, który już dawno temu odszedł całkowicie do lamusa i został uznany za „konstrukcję pomocniczą”, już anachroniczną. Z tej właśnie przyczyny zjeździłem świat wzdłuż i wszerz, by samemu przekonać się o istnieniu rzeczy tu opisanych. Postanowiłem poznać opinie ekspertów, którzy szukają śladów tego, co niewiarygodne, na przykład „starych jak świat” reaktorów jądrowych z geologicznych początków Ziemi albo świadectw niepojętej dla nas wysokorozwiniętej metalurgii starożytnych Indii.

Już nie pora na spekulacje. Przedstawiam tu nowe fakty. Należy wreszcie odrzucić stary, przekazany nam przez poprzedników obraz dziejów. Także najbardziej konserwatywni naukowcy, zamknięci w wieży z kości słoniowej, w końcu uświadomią sobie, że niewygodne fakty są niczym korzenie rozsadzające asfalt. Pewnego dnia, niezbyt już odległego, ta potężna siła zacznie niepowstrzymanie torować sobie z góry wytyczoną drogę, nie zważając na wszystkich, którzy najchętniej, jak zawsze, skryliby się przed naszymi spojrzeniami. Albowiem, jak słusznie powiedział Jonathan Swift (1667-1745): „Człowiek nigdy nie powinien wzbraniać się przed przyznaniem do pomyłki. W ten sposób okazuje, że się rozwija, że dzisiaj jest mądrzejszy, niż był wczoraj”.

1

NA POCZĄTKU BYŁ ATOM

ELEKTROWNIA JĄDROWA SPRZED DWÓCH MILIARDÓW LAT

Prawdopodobieństwo, że w ciągu liczącej prawie cztery miliardy lat historii życia na naszej planecie odwiedził nas ktoś z zewnątrz, jest bardzo duże. Naszą powinnością jest odnaleźć ślady oraz wskazówki potwierdzające te odwiedziny.

Doktor Johannes Fiebag (1956-1999), geolog i publicysta

Jednym z najbardziej skomplikowanych osiągnięć technicznych, jakich dokonał ludzki umysł, są elektrownie jądrowe, nie bez powodu mające jednak licznych przeciwników. Nie wytwarzają one energii z surowców kopalnych, jak węgiel kamienny czy ropa naftowa, ani z jej czystych źródeł, jak energia wiatru czy wody. Ich działanie opiera się na rozszczepianiu jąder pierwiastków ciężkich, silnie promieniotwórczych, w wyniku kontrolowanej, bez końca spowalnianej reakcji łańcuchowej. Jednak, jak dotąd, człowiek nie zdołał opanować w pełni metody występującej od dawien dawna we wszystkich gwiazdach stałych we wszechświecie – syntezy jądra atomowego – dlatego kolejne pokolenia będą musiały uporać się z wieloma problemami spowodowanymi silnie promieniującymi odpadami powstającymi w trakcie pracy takich elektrowni. To rezultat naszej zbyt długo trwającej bezkrytycznej wiary w postęp techniczny. Jak ogromne jest zagrożenie, świadczy wielka katastrofa, do jakiej doszło w elektrowni atomowej w Czarnobylu na Ukrainie w 1986 roku, i liczne przypadki, kiedy od katastrofy było o włos, czego przykładem jest zbudowany według „bezpiecznych” zachodnich standardów reaktor Forsmark w Szwecji, który w 2006 roku omal nie eksplodował. Wspominam o tym tylko na marginesie, gdyż walkę z nuklearną bombą zegarową prowadzą światowe organizacje zaangażowane w ochronę środowiska.

Zamierzam jednak przedstawić czytelnikom minimum wiedzy o promieniotwórczości, bowiem temat, który tu poruszam, dotyczy tej dziedziny wiedzy. Poza tym zawiedzie nas ku niewiarygodnie odległym epokom w historii Ziemi, z zarania dziejów naszej planety.

Francuski uczone Antoine Henri Becquerel (1852-1908) już w 1896 roku odkrył promieniotwórczość naturalną. Wspólnie z małżeństwem badaczy Piotrem Curie i Marią Skłodowską-Curie otrzymał w 1903 roku Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki, jego nazwisko zaś dało nazwę jednostce promieniowania substancji radioaktywnych. Fizycy kontynuowali badania w tej dziedzinie, aż 17 grudnia 1938 roku niemiecki fizykochemik Otto Hann wraz z asystentem Fritzem Strassmannem dokonali pierwszego rozszczepienia jądra atomowego izotopu uranu 235 (^{235}U). Przy zastosowaniu najprostszych środków Hann i Strassmann w laboratorium Instytutu Cesarza Wilhelma w Berlinie zaobserwowali nieznany dotąd proces rozpadu jądra, który nie dawał się zahamować.

Cztery lata później, 2 grudnia 1942 roku, fizyk atomowy i laureat Nagrody Nobla Włoch Enrico Fermi (1901-1954) wraz z asystentami uruchomił w Chicago pierwszy reaktor jądrowy. Zbudowano

go – cóż za bezgraniczna lekkomyślność – pod trybuną dla widzów na stadionie tamtejszego uniwersytetu.

Potem była Hiroszima. Technologię, która została opracowana zaledwie kilka lat wcześniej, wykorzystano niegodziwie do unicestwienia ponad 100.000 ludzkich istnień. Po tej niedającej się ująć w słowa potworności dr Jacob Robert Oppenheimer (1904-1967), w Stanach Zjednoczonych obdarzony przydomkiem ojca bomby atomowej, ze wszystkich sił i całym sercem przeciwstawiał się wszelkiemu wykorzystaniu energii jądrowej: „W głęboko pojętym sensie tego słowa (...) my naukowcy poznaliśmy teraz, czym jest grzech”¹. Nic nie było już takie, jak przedtem. Otworzono puszkę Pandory. I nikt nie zamierzał zamknąć jej ponownie.

Wróćmy jednak do „pokojuowego” wykorzystania energii jądrowej i do kilku pytań, jakie wiążą się z technicznym *know-how*.

JAK DZIAŁA...

Co dzieje się za metrowej grubości żelbetowymi ścianami reaktora jądrowego? Jakie złożone procesy zostają uruchomione, dzięki którym elektrownia jądrowa wytwarza prąd elektryczny? Jakie czynniki trzeba do siebie dopasować, żeby wszystko przebiegało zgodnie z planem?

W materiale rozszczepialnym – na ogół jest to uran o liczbie masowej 235 – jądra atomów ulegają rozszczepieniu w wyniku bombardowania neutronami w stanie wolnym, przy czym oprócz cząstek jądra po jego rozpadzie powstają kolejne wolne neutrony. Przelatują one z wielką energią w bezpośredniej bliskości jąder atomowych i rozszczepiają kolejne jądra. Powstaje niekończący się ciąg rozszczepień: ruszyła reakcja łańcuchowa.

Gdyby jej przebiegu nie wyhamowano, w ułamku sekundy doszłoby w reaktorze do siejącej spustoszenie eksplozji w temperaturze wielu milionów stopni Celsjusza. Reaktor stałby się bombą atomową. Z tego powodu niezbędna jest niezwykle precyzyjna ingerencja z zewnątrz, a wzajemna proporcja zastosowanych substancji musi być określona z absolutną dokładnością. Naprawdę skomplikowanym procesem w owej technice jest zatem sterowanie reaktorem, czyli spowalnianie przebiegu rozszczepiania jąder. Mówiąc w dużym uproszczeniu, w reaktorze jądrowym zachodzi eksplozja jądrowa wydłużana w nieskończoność. Piekło w zwolnionym tempie, innymi słowy.

Muszą zostać spełnione określone warunki z bezwzględną precyzją aby kontrolowane wytwarzanie energii nie przemieniło się w niszczący wszystko kataklizm. Prędkość reagujących neutronów trzeba więc wyhamowywać. Służą temu tak zwane moderatory (spowalniacze). Są to wprowadzane do reaktora substancje, które mają jądra atomowe o małej masie atomowej – woda, ciężka woda lub grafit. Wyhamowywanie odbywa się poprzez wsuwanie lub wysuwanie prętów regulacyjnych w rdzeniu reaktora, co pozwala utrzymać przebieg reakcji w kontrolowanym zakresie. W bezpośrednim otoczeniu układu nie powinien znajdować się materiał pochłaniający neutrony, ponieważ mógłby doprowadzić do wygaszenia reakcji łańcuchowej. Konieczne jest zatem zastosowanie środka chłodzącego (chłodziwa), który transportuje parę powstałą w rezultacie wyzwala energii cieplnej do konwencjonalnej turbiny².

Wszystkie te procesy muszą być nieustannie i bezbłędnie sterowane i kontrolowane przez personel techniczny. Niczego nie można pozostawić przypadkowi, gdyż wszystko rozgrywa się w skrajnie ograniczonym zakresie licznych współdziałających czynników. Na przedstawionych wyżej podstawach opiera się funkcjonowanie reaktora jądrowego. Znając je, łatwiej zrozumiemy znaczenie przedstawionych dalej faktów, wśród których znajduje się fakt wręcz nie do uwierzenia – w niewyobrażalnie odległej epoce we wczesnych dziejach naszej planety istniały sprawnie działające reaktory jądrowe.

TAJEMNICA Z OKLO

Pierrelatte to miejsce leżące około 160 kilometrów na północ od Marsylii, miasta portowego we Francji. Znajduje się tam laboratorium CEA (Commissariat a l'Energie Atomique), gdzie 7 czerwca 1972 roku dokonano odkrycia, z którego wysnuto sensacyjne wnioski. Chemik Henri Bouzigues wspólnie z kilkoma kolegami poddawali analizie dostarczoną do pracowni próbkę gazu o nazwie sześćfluorek uranu. Ten bezbarwny gaz jest zazwyczaj wykorzystywany do rozdzielania izotopów uranu o różnej liczbie masowej³. Ze zdumieniem stwierdzono, że w badanej próbce rozszczepialny izotop ²³⁵U występował w nieco mniejszej proporcji, niż stwierdzano dotąd. Próbka zawierała „tylko” 0,7172% tego izotopu zamiast 0,7202%. W liczbach bezwzględnych wyraża się to następująco: na 100.000 atomów uranu było tylko 717 atomów izotopu ²³⁵U zamiast 720 atomów^{4,5}.

W zasadzie śmiesznie małe odchylenie, które ktoś inny przypisałby błędowi pomiaru i wzruszywszy ramionami, przeszedłby nad tym do porządku dziennego. Lecz nie Henri Bouzigues. Był przekonany, że coś się nie zgadza, dlatego zaczął dochodzić przyczyny tego osobliwego faktu.

Dalsze analizy próbki pozwoliły stwierdzić, że ta na pierwszy rzut oka nieznacznie zmniejszona zawartość rozszczepialnego ²³⁵U nie była wynikiem błędu pomiaru ani błędu w przeróbce naturalnego uranu, dzięki której przechodzi on w postać sześćfluorku uranu. W jeszcze mniejszym stopniu wchodziło w grę „zanieczyszczenie” uranu, którego używa się w nowoczesnej elektrowni jądrowej jako paliwa. Tajemnicze odchylenie musiało mieć inną przyczynę.

Rozpoczęto więc skrupulatne poszukiwania owej przyczyny, które przez dwa miesiące z zapartym tchem prowadzili Henri Bouzigues i jego koledzy, a także ściągnięci do laboratorium CEA eksperci. Najpierw prześlędzono drogę dostawy uranu, w którym procentowy udział rozszczepialnej frakcji odbiegał od normy. Wszystkie tropy prowadziły do Gabonu, położonego na równiku kraju w Afryce Zachodniej, a tam do kopalni w Oklo zlokalizowanej niedaleko miasta Franceville (fot. 1-3). Francusko-gabońskie konsorcjum COMUF (Compagnie des Mines d'Uranium de Franceville) wydobywało tam rudę uranu metodą odkrywkową. W rezultacie dokładniejszych dociekań ujawniono, co następuje: COMUF wymieszało przerabianą przez nich rudę uranu ze znaczącą ilością materiału pobranego z zasobnych w uran „soczewek”, znajdujących się na terenie kopalni Oklo. Firma opóźniała się z dostawami, ponieważ nie dysponowała dostateczną ilością innej rudy. I właśnie ten pobrany z „soczewek” materiał okazał się odpowiedzialny za odbiegający od normy skład przebadanej próbki sześćfluorku uranu!³ Na terenie kopalni odkrywkowej przerwano wydobywanie rudy i przeprowadzono dogłębne badania geochemiczne. Świdry wgrzyzały się w twarde skały i pobierały kolejne próbki. Po ich przebadaniu naukowcy stwierdzili obecność początkowo sześciu inkluzji (wrostków) o soczewkowatym kształcie, w których zawartość izotopu ²³⁵U była znacząco mniejsza.

Nasuwało się tylko jedno wyjaśnienie. Dzięki znanej wartości okresu połowicznego rozpadu radioaktywnego materiału dało się z dużą dokładnością obliczyć, że zawartość izotopu uranu o liczbie masowej 235 wynosiła około 3% przed około 2 miliardami lat. W owym czasie – wysnuli wniosek fizycy obalający dotychczasowe poglądy – na terenie dzisiejszej kopalni Oklo musiały przebiegać dokładnie takie same procesy rozszczepienia jądra atomowego, jakie obecnie przeprowadza się, by wytwarzać ciepło służące do produkcji prądu elektrycznego. Innymi słowy: przed dwoma miliardami lat – paleontolodzy nazywają ten czas erą prekambryjską – w rejonie Oklo pracowała autentyczna elektrownia jądrowa złożona z oddzielnych bloków z reaktorami!^{6,7}

POCHODZENIE NATURALNE CZY SZTUCZNE?

Kiedy latem 1972 roku zaczęto sobie uświadamiać, że przed niewyobrażalnie odległym czasem przebiegała tu prawdziwa jądrowa reakcja łańcuchowa, postanowiono prowadzić poszukiwania dalszych śladów. Do dzisiaj w niecce Oklo na południowym wschodzie Gabonu odkryto ogółem 14 tego typu kopalnych reaktorów jądrowych. Kolejny znajduje się w Bangombe, w odległości około

30 kilometrów od Oklo. Takiego fenomenu, jak dotąd, nie stwierdzono w żadnym innym miejscu świata. Tylko tutaj, w równikowej Afryce, na niewielkiej powierzchni występuje kilkanaście owych reaktorów. Osobliwość? Nie, skoro jest to tak znacząca liczba. Czysty przypadek? Jeżeli nawet, to potrafi niektórym zatruć życie.

Większość naukowców uznaje zagadkowe reaktory z Oklo za nic innego jak wybryk natury, co prawda niewiarygodnie rzadki. W okresie, w którym powstało życie na naszej planecie, zaczynając od prymitywnych jednokomórkowych organizmów żyjących w morzach, koncentracja uranu zwiększała się wskutek wymywania i wzbogacania. Jakże dokładnie procesy – w ujęciu konwencjonalnej fizyki – doprowadziły do tego, że nieoczekiwanie i do pewnego stopnia „z niczego” powstała niegdyś technologia, nad którą nadzór wymaga od nas dzisiaj ogromnego wysiłku? Musiały zostać spełnione pewne warunki; przyznają to nawet przedstawiciele oficjalnej nauki, którzy wierzą w przypadek. Według nich sama natura zatroszczyła się na przykład o dostateczne zwiększenie koncentracji uranu. Ich zdaniem uran miał się nagromadzić na dnie ówczesnego pramorza na obszarze dzisiejszego Gabonu. Albo też – twierdzą – wszystkie osady uranu powstały w rezultacie wymywania tego pierwiastka z granitu (który jeszcze do dziś zawiera niewielkie ślady uranu) lub są pochodzenia wulkanicznego. Ponieważ dzisiaj fizycy atomowi znają bardzo dokładnie okres połowicznego rozpadu substancji radioaktywnych, można było ustalić, że przed około 2 miliardami lat zawartość rozszczepialnego izotopu ^{235}U wynosiła w tych osadach prawie 3%. Jest to dokładnie taka sama ilość, o jaką dzisiaj musi zostać wzbogacony uran izotopu ^{235}U , żeby nadawał się na paliwo do reaktorów jądrowych. Kolejnymi warunkami naturalnymi, jakie musiały zostać spełnione, była wysoka zawartość uranu w rudzie – od 10 do 20% – oraz duża porowatość skały. Ponadto musiała być do dyspozycji woda jako spowalniacz. A w bezpośrednim otoczeniu potrzebna była dokładnie określona zawartość takich pierwiastków, jak wanad, chrom lub bor, które pochłaniałyby częściowo neutrony w celu spowolnienia przebiegu reakcji łańcuchowej. W przeciwnym razie doszłoby bowiem do wybuchu – jednego, ale za to o kolosalnej sile.

Następnie przyjęto założenie, że z rozszczepialnego uranu ^{235}U w trakcie reakcji łańcuchowej w rezultacie bombardowania neutronami nie powstaje rozszczepialny pluton, który rozpada się do uranu ^{235}U . Pluton stał się znany dopiero wtedy, gdy człowiek poznał rozszczepienie jądra atomu. Na takiej samej zasadzie, na jakiej dzisiaj działają reaktory szybko powielające, „naturalne reaktory” z Oklo czerpały paliwo jądrowe przez długi czas. Wszystko to rozgrywało się głęboko pod ziemią kiedy zaś przebiegała reakcja łańcuchowa, „soczewkowate” inkluzje wzbogacały w ^{235}U uran naturalny, przykryty potężnymi pokładami geologicznymi, na głębokości 3000-4000 metrów pod powierzchnią Ziemi. Ciśnienie na tej głębokości wynosi 300-400 barów, odpowiada więc ciśnieniu, jakie panuje w trakcie przebiegu reakcji łańcuchowej w ciśnieniowych reaktorach wodnych. W takich warunkach woda, służąca za spowalniacz – ogrzana do około 370° Celsjusza, czyli do minimalnej temperatury warunkującej zajście reakcji łańcuchowej – pozostawałaby w stanie ciekłym i hamowała powstające w reakcji łańcuchowej coraz to nowe neutrony. Dzięki temu kolejne jądra atomowe mogłyby ulegać rozszczepieniu, co podtrzymywałoby przebieg reakcji łańcuchowej⁸.

ZBYT WIELE PRZYPADKÓW

Przyznając, powyższa argumentacja brzmi ze wszech miar przekonująco, zwłaszcza wtedy, gdy dyskretnie wskaże się na fakt, że 2 miliardy lat temu koncentracja uranu ^{235}U była znacznie wyższa niż dzisiaj. A jednak te argumenty nie są w stanie przekonać mnie do tezy o naturalnym powstaniu owych reaktorów.

Jakie statystyczne nieprawdopodobieństwo chce się przypisać przypadkowi? Na powierzchni Ziemi uran został wymyty i wzbogacony. Przetrwiał tam, z niczym nie reagując, by w rezultacie przeobrażeń geologicznych po kilkuset milionach lat znaleźć się na głębokości około 4000 metrów. Później wystąpiło tam jednocześnie, znów czystym przypadkiem, kilka czynników, które spowodowały naturalne stopienie się rdzenia reaktora. O fakcie, że mamy do czynienia z procesami

zachodzącymi w dwóch różnych typach reaktorów, nie wspomina się celowo.

Reaktor jądrowy powielający czy jądrowy reaktor ciśnieniowy wodny: którą opcję należałoby wybrać? Wychodząc z przekonującego założenia, że zgodnie z prawami statystyki prawdopodobieństwo pojawienia się jednego tylko czynnika o właściwych parametrach jest bardzo małe, otrzymujemy proporcję 1:10.000. Jak miałyby się sprawy, gdyby wszystkie warunki musiały być spełnione? Gdyby choć jeden z nich nie został spełniony, można zapomnieć o reakcji łańcuchowej. Prawdopodobieństwa nie sumują się – jak wiadomo, należy je przemnożyć. Każdy, kto wypełniał choć jeden raz kupon totolotka, wie o tym. Astronomicznie wysokie liczby określają prawdopodobieństwo pojawienia się szóstki. Ale to jeszcze nie wszystko, co należy uwzględnić w sprawie reaktorów naturalnych.

W kopalniach w rejonie Oklo odkryto też produkty rozszczepienia uranu, takie jak pluton. Ten pierwiastek, zaliczany do tak zwanych transuranowców, po raz pierwszy wytworzono sztucznie w 1945 roku w rezultacie bombardowania jąder atomów neutronami. Pluton w naturze w zasadzie nie występuje. Próbkami z Oklo wykazały ponadto obecność czterech pierwiastków śladowych, których izotopy występują tylko podczas prowadzonych wspólnie reakcji rozszczepiania jąder atomowych. Były to europ (Eu), kiur (Cm), neodym (Nd) oraz samar (Sm)⁷.

Istnienie jednego reaktora powstałego w sposób naturalny jeszcze bym uznał za możliwe, choć wymaga ono spełnienia licznych warunków, z których każdy – nie wolno o tym zapominać! – gdyby nie został spełniony, spowodowałby fiasko przedsięwzięcia. Jeśli tylko jeden z czynników uległby nieznacznemu odchyleniu, to nie doszłoby do reakcji łańcuchowej. Czternaście takich reaktorów w okolicy Oklo i jeszcze jeden w oddalonym o zaledwie 30 kilometrów Bangombe musi jednak wstrząsnąć posadami najgłębszej nawet wiary w przypadek.

DYSKUSJE PEŁNE KONTROWERSJI

Hansjorg Ruh, szwajcarski dziennikarz, któremu zawdzięczam wiele informacji na temat stanowiska Oklo, miał przed paroma laty okazję obejrzeć na własne oczy owe miejsca eksploatacji rudy uranu. Uruchomiona tam w 1970 roku kopalnia odkrywkowa pozostawiła wyraźne blizny na obszarze niecki Oklo, pierwotnie porośniętej gęstą równikową dżunglą. Powstało wyrobisko długości jednego kilometra, szerokości pół kilometra, o głębokości nieco przekraczającej 300 metrów. Miąższość pokładu zawierającego uran, eksploatowanego tam przez lata, wynosiła od 5 do 8 metrów, a pokład ten przebiegał pod kątem 45 stopni w stosunku do poziomu gruntu. W lutym 1985 roku konsorcjum COMUF podjęło decyzję o dalszym wydobywaniu rudy uranu wyłącznie przez eksploatację podziemną i wybudowało szyby górnicze.

Szwajcar, tak samo jak wszyscy w grupie zwiedzających, otrzymał kombinezon ochronny i zszedł po naturalnym stoku, co wymagało nie lada odwagi, do miejsca, w którym zaczynał się zjazd do podziemnej części kopalni. Był to istny zjazd do piekielnych czeluści na głębokość 3 kilometrów pod ziemią. Celem wyprawy był tak zwany reaktor numer 10 w kopalni uranu w Oklo.

Geolog, który oprowadzał grupę, skierował wskaźnik na soczewkowane przebarwienie w litej skale, które na pewno uszłoby uwagi kogoś niewtajemniczonego. Choć pozostałości przebiegającej tu niegdyś reakcji łańcuchowej wyglądają dzisiaj niepozornie, fachowiec rozpozna, że przed 2 miliardami lat była tu wytwarzana energia na ogromną skalę. Jeśli reakcja łańcuchowa, jak przyjmują eksperci, trwała łącznie kilkaset tysięcy lat, świadczy to, moim zdaniem, raczej o wysoko rozwiniętej technologii niż o czystym przypadku czy też „wybryku natury”.

Kiedy zwiedzający opuścili podziemny świat, zaprowadzono ich do pozostałości „reaktora nr 2” (numeracja odpowiada kolejności odkrywania reaktorów). Od strony wąwozu można było dostrzec na przeciwległym stoku przypominający bunkier płaszcz z żelazobetonu, pod którym resztki reaktora chroniono przed dalszym wietrzeniem. To wzmocnienie miało ponadto nie dopuścić do tego, żeby struktura, znaleziona w rezultacie odkrywkowej eksploatacji, rozpuściła się i osunęła w dół zbocza. Kwestia ochrony przed radioaktywnym promieniowaniem nie odgrywała żadnej roli w trakcie budowy betonowej osłony.

Hansjorg Ruh jest przekonany o naturalnym powstaniu reaktorów z Oklo. Jego zdaniem reaktory, mające dzisiaj postać soczewkowatych inkluzji, powstały w rezultacie ich usytuowania w pokładzie rudy uranu „w najbardziej niekorzystnym dla budowy elektrowni jądrowej miejscu”³. Jakież jednak wysiłki zniechęciłby przedstawiciele pozaziemskiej inteligencji, w której oczach Ziemia była planetą pozbawioną życia, do zbudowania jądrowej instalacji jak najbliżej źródeł nuklearnego paliwa? Być może hipotetyczni budownicy elektrowni zaszli nieporównanie dalej w technice ochrony i bezpieczeństwa niż nasi inżynierowie u schyłku XX i na początku XXI stulecia.

Podobne założenie pozwoliłoby również odeprzeć drugi zarzut Hansjorga Ruha, który odnosi się do skupienia sześciu reaktorów na odcinku długości zaledwie 150 metrów. Z pewnością dzisiaj żaden konstruktor elektrowni jądrowej nie postawiłby atomowych bloków tak blisko jeden od drugiego, ponieważ, jak wykazała wielka katastrofa w Czarnobylu, gdy dochodzi do stopienia rdzenia reaktora, metrowej grubości mur z żelbetonu również stapia się błyskawicznie. Ale cóż mogło pozostać z ochronnego płaszcza największej nawet grubości po upływie prawie 2 miliardów lat?

Szwajcar wskazuje wreszcie na jeszcze kilka odchyłeń od normy pod względem rozmiarów. Rdzenie dzisiejszych reaktorów mają średnicę 2-3 metrów, wysokość około 4 metrów. Reliktowe reaktory z Oklo są różnych rozmiarów i mają – dzisiaj! – grubość około metra, przy długości maksymalnie 20 metrów. Do jakich wszakże geologicznych przeobrażeń doszło w ciągu wielu milionów lat! Doktor Johannes Fiebag (1956-1999), przedwcześnie zmarły geolog i autor popularnonaukowych książek, uważał natomiast za daleko bardziej prawdopodobne sztuczne, będące wynikiem zastosowania rozwiązań technicznych, pochodzenie reaktorów z Oklo. Wątpił w możliwość samoczynnego zapłonu uranu w rezultacie kaprysu natury. Jako fachowiec szacował, że dopiero na głębokości co najmniej 11.000 metrów zapewnione byłoby niezbędne do takiego zapłonu ciśnienie. Z punktu widzenia geologa w żadnej z minionych epok nie pojawiła się możliwość, żeby wypłukany materiał – początkowo osadzony na powierzchni – dotarł potem na tak dużą głębokość⁹. Doktor Johannes Fiebag przedstawił konkretne argumenty:

„Przed około 1,7 miliarda lat [później datowanie przesunięto w górę] przebiegała wprawdzie orogeneza karelsko-svekofeńska, jednak ograniczyła się ona wyłącznie do tworzenia łańcuchów górskich w dzisiejszych krajach Europy Północnej. Na obszarze Afryki Zachodniej nie działo się nic w tamtym okresie – któż zatem zatroszczył się o przemieszczenie pokładów w dół o tak wiele tysięcy metrów? Poza tym stopień wypalenia paliwa, procesy technologiczne oraz inne czynniki dość dokładnie odpowiadają warunkom, jakie są dzisiaj wytwarzane w ciśnieniowych reaktorach wodnych”¹⁰.

OPUSZCZONE I ZATOPIONE

Dyskusję wokół otoczonej tajemnicą prastarej elektrowni jądrowej w Oklo można nazwać „kontrowersyjną”. Podobnie jak doktor Johannes Fiebag, autor tej książki również skłania się ku tezie o sztucznym pochodzeniu elektrowni, które należy przypisać nieznanym przybyszom w zamierzonych pradžejach Ziemi.

W nieskończone dawnych czasach na bardzo młodej, trzeciej planecie niewielkiego Układu Słonecznego, usytuowanego na obrzeżach jednej ze spiral Drogii Mlecznej, wylądowała załoga pozaziemskiej, międzygwiazdowej wyprawy kosmicznej. Być może badawcza ciekawość sprowadziła tu tych astronautów. Prawdopodobnie pojawiła się potrzeba dostarczania przez dłuższy okres dużych ilości energii. Przybysze zbudowali więc potężną elektrownię jądrową wykorzystując istniejące tu zasoby surowcowe. Nie musieli przy tym obawiać się narażenia życia potencjalnych mieszkańców planety – albowiem życie na Ziemi dopiero się zaczynało – były to prymitywne jednokomórkowce, które przez następne 1,5 miliarda lat nie opuszczały wodnego środowiska. W ramach długofalowego eksperymentu tam, gdzie było to możliwe, położono podwaliny pod powstanie przyszłej biosfery młodej planety⁷, jednak ta ostatnia teza jest wyłącznie jedną z hipotez spośród wielu innych.

Być może „oni” przybyli tu ponownie. Albowiem osobliwe i niepojęte z punktu widzenia naszej

konwencjonalnej wiedzy artefakty, które raczej nie pochodzą z tego świata, dość często są odkrywane na naszej planecie...

Wątpię, czy kiedykolwiek zdołamy wyjaśnić, co wydarzyło się rzeczywiście w okolicy Oklo przed niemal 2 miliardami lat. Nie zamierzam jednak ukrywać przed czytelnikami tego, co się stało w ostatnich latach z reaktorami w Gabonie.

W maju 1997 roku na łamach czasopisma *Nature* kilku europejskich naukowców zwróciło się do opinii publicznej z dramatycznym apelem. Reaktory dokładnie badane od 1972 roku znalazły się nagle, wszystkie bez wyjątku, w poważnym zagrożeniu, przede wszystkim zaś odkryty w 1986 roku w Bangombe, w odległości 30 kilometrów od Oklo, gdyż planowano tam wtedy rozpoczęcie eksploatacji złoża. Do tamtego momentu pozostawał nietknięty, pomijając kilka prób wierceń. Autorzy artykułu w *Nature* żądali kategorycznie od czynników decyzyjnych ze sfery nauki, gospodarki i polityki, żeby przynajmniej ten jeden reaktor objęto ochroną. Wzięli również poważnie pod uwagę propozycję uiszczenia zapłaty wspomnianemu już konsorcjum COMUF w wysokości około 20 milionów franków francuskich (nieco ponad 3 miliony euro) jako zadośćuczynienie za utratę spodziewanych zysków (kwota jeszcze do zebrania). W ten sposób przedsiębiorstwo, zajmujące się pozyskiwaniem paliwa jądrowego, w którym większościowe udziały posiadały skarbnice państwa Gabonu oraz spółka francuska – argumentowano dalej – mogłoby zrezygnować z eksploatacji złóż uranu w Bangombe¹¹.

W końcu jednak udało się to nawet bez finansowego wsparcia ze strony tych, którzy zgodnie z planem mieli stanowić ostatnią deskę ratunku. Na posiedzeniu rady nadzorczej COMUF 12 grudnia 1997 roku podjęto decyzję o rezygnacji z eksploatacji uranu w Bangombe, co oznaczało ocalenie odkrytego w ostatniej kolejności pradawnego reaktora¹².

Niestety, pozostałych 14 reaktorów – usytuowanych w kopalni Oklo – zniknęło, chociaż nie prowadzi się już w ich pobliżu eksploatacji uranu. Dwudziestego trzeciego grudnia 1997 roku, zaledwie dwa tygodnie po podjęciu decyzji o zachowaniu Bangombe, COMUF wstrzymało również wydobywanie rudy uranu w Oklo. Ceny uranu na rynku światowym spadły, powoli zaś wyczerpywane nadające się do eksploatacji pokłady rudy uranu nie obiecywały osiągnięcia dalszych zysków. Miało to brzemienne skutki: COMUF wyłączyło pracujące w kopalni pompy nawadniające. Naukowcy oświadczyli wtedy, że w ciągu trzech lat wody gruntowe zaleją i wypełnią całe wyrobisko powstałe w rezultacie wydobywania uranu. Dzisiaj powstałe w tym miejscu jezioro ukrywa największą tajemnicę Czarnego Łądu.

Pozostał tylko jeden z opisanych powyżej reliktyw, które zarówno wśród laików, jak i fachowców wzbudziły tak daleko sięgającą dyskusję. Przedstawiciele konserwatywnej nauki z mozołem powoływali się w niej na „zbiegi okoliczności”, ponieważ zawsze znajdują się rzeczy, które nie powinny istnieć, ponieważ istnieć nie mogą.

UPIORNE CIENIE

Inny kontynent – mówiąc dokładnie, subkontynent indyjski – również nosi ślady dokonywania tam niegdyś rozszczepiania jąder atomowych. Nie mają te ślady wprawdzie tak sędziwego wieku, jak relikty z afrykańskiego Oklo, lecz są na tyle pradawne, że mieszkańców naszej planety trudno uznać za ich wytwórców.

Są to ślady – także w przeciwieństwie do prastarej elektrowni atomowej w Gabonie – które pozwalają wnioskować o niszczycielskim użyciu technologii nuklearnej.

Na obszarze, który obejmuje Indie, Pakistan, zachodnie Chiny, a także w Iraku, archeolodzy natrafili na powtarzające się regularnie zeszkłone pokłady zaczynające się od określonej głębokości. Stopione szkliwo mające zieloną barwę jest podobne do zeszkłonego piasku, jaki pozostawiły pierwsze próbnego eksplozje bomby atomowej przeprowadzone na pustyni w Nevadzie.

Wspomnianego już ojca bomby atomowej, Jacoba Roberta Oppenheimera, w trakcie dyskusji w 1952 roku studenci spytali, czy rzeczywiście bomba próbna z Alamogordo, odpalona 16 lipca 1945 roku, była pierwsza. Odpowiedź Oppenheimera brzmiała dość zagadkowo: „No cóż, tak. W każdym

razie w nowszych czasach”¹³. Z Indii, gdzie jeszcze spora część regionów, zwłaszcza położonych w strefie klimatu subtropikalnego, nie została całkowicie przebadana, badacze i podróżnicy donosili o przejmujących grozą znaleziskach. Na przykład podróżnik nazwiskiem De Camp odkrył ruiny, które nosiły ślady tak ogromnego zniszczenia przez ogień, że niemożliwe było, by spowodował je konwencjonalny pożar. Kilka formacji skalnych wyglądało wręcz tak, jakby zostało stopionych lub wydrążonych jak cynowe płyty spryskiwane płynną stalą. Owe ruiny miały znajdować się na obszarze położonym między rzeką Ganges a pobliskim pasmem górskim Radżmahal. Jest to niezbadany jeszcze w dużym stopniu region w Bengalu Zachodnim, niedaleko od granicy z Bangladeszem, wcześniej nazywanym Pakistanem Wschodnim. Całą tę okolicę przecinają dopływy oraz boczne odnogi Gangesu. Przebrnięcie przez ten teren możliwe jest wyłącznie w miesiącach bez opadu monsunowych deszczy. Przez resztę roku wysoki poziom wód udaremnia wszelkie próby dotarcia tam. Mętne brunatne nurty przelewają się przez deltę Gangesu i wpadają do Zatoki Bengalskiej. Ponadto w świecie miejscowej fauny nie brak jadowitych węży oraz innych groźnych stworzeń.

Nieco dalej na południe, jeszcze w czasach wielkości Imperium Brytyjskiego, oficer J. Campbell natknął się na podobne ruiny. Były to lata 20. XX wieku. Wagę jego odkrycia jesteśmy w stanie pojąć w pełni dopiero od czasu tragedii Hiroszimy i Nagasaki. Na częściowo stopionej na szkliwo ziemi wewnętrznego dziedzińca tych pozbawionych nazwy ruin widoczny był wyraźny cień, przypominający zarys ludzkiej sylwetki¹⁴.

Wyjaśnienie tego zjawiska jest równie potworne, co już nam znane. W zniszczonej 6 sierpnia 1945 roku od wybuchu bomby atomowej japońskiej Hiroszynie władze miejskie urządziły park pamięci. W epicentrum dawnej eksplozji ocalało kilka ścian niemal nienaruszonych. Można na nich dostrzec zarysy ludzkich sylwetek – niewyraźne kontury ludzi, którzy w ułamku sekundy po prostu wyparowali. Trwało to jednak dostatecznie długo, by do stojącej za nimi ścianą dotarła odrobinę mniejsza ilość energii świetlnej niż na sąsiednie, niezastłonięte partie muru.

Tak powstał – na tej samej zasadzie jak w technice fotograficznej – makabryczny obraz człowieka w milisekundzie jego śmierci w atomowej pożodze.

Również inni podróżnicy penetrujący Indie składali relacje, że w niedostępnych rejonach subkontynentu odkrywali miasta zamienione w ruiny, które niemal całkowicie pochłonęła tropikalna dżungla. Opisywali mury budynków jako „podobne grubym tafłom kryształów”, uszkodzonym i przewierconym przez nieznaną siłę¹⁴.

EKSPLOZJE JĄDROWE W STAROŻYTNYCH INDIACH

Jakie mrozące krew w żyłach tajemnice skrywa przed naszymi oczyma pochłaniająca wszystko pierwotna dżungla tego położonego w południowej Azji kraju? Jeśli dżungli udało się zatrzeć przed nami ślady innych miejsc przypominających o tragedii w zamierzonych pradziejach, to pradawne eposy indyjskie zawierają zdumiewająco wiele świadectw, bardzo wymownych.

Żaden inny kraj ani żaden inny naród nie jest w stanie odwoływać się do tak licznych i obszernych tekstów z zarania dziejów jak Indie oraz ich mieszkańcy. Nawet Stary Testament wydaje się zaledwie cieniutkim brewiarzem wobec tego ogromu informacji. Te starohinduskie eposy to *Mahabharata*, *Samarangan Sudradhara*, *Vyamanika Shastra*, by podać kilka tylko przykładów.

Kiedy po raz pierwszy zapisano je w języku sanskryckim starych Indii, o ich wieku już krążyły legendy. Wszystkie opowiadają o obiektach latających, sprawiających wrażenie wytworów wysoko rozwiniętej technologii, które wydają się pochodzić z dzieł science fiction, a nie z epoki, w której podróże odbywały się pieszo lub konno.

Znajdziemy w nich również relacje o unicestwiającej wszystko „broni bogów”, która jest wystrzeliwana z latających machin i dziesiątkuje wroga w sposób, który nasuwa nam porównanie ze współczesną bronią masowego rażenia. Jeszcze do niedawna te starohinduskie eposy postrzegano tak, jak w XIX wieku, kiedy to przetłumaczono pierwsze fragmenty z sanskrytu na język angielski. Gorliwi, ale też nie wolni od uprzedzeń naukowcy z różnych dziedzin przystąpili

do pracy z nastawieniem, że wyłącznie zachodnie cywilizacje czasów nowożytnych dysponują wysokim poziomem wiedzy oraz wyrafinowaną technologią. Nadmiernie zadufani, komentowali strofy, w których była mowa o supernowoczesnych, jak wynikało z tekstu, rodzajach broni, jako „androny i brednie” albo jako fragmenty, które „można pominąć, albowiem zawierają wyłącznie czyste fantazje”.

Co jednak powinni sądzić ludzie, którzy byli świadkami zrzucenia dwóch bomb atomowych na dwa duże japońskie miasta portowe w sierpniu 1945 roku, unicestwione w ułamku sekundy, kiedy czytają o broni, jaką przedstawiono w tych prastarych strofach? W księdze 5 *Mahabharaty* znajduje się drastyczny opis użycia broni, która w nieodparty sposób przywodzi na myśl koszmar Hiroszimy i Nagasaki:

„Słońce zdawało się obracać po okręgu. Od żaru, jakim razila ta broń, ziemia nurzała się w gorącości. Słonie płonęły żywym ogniem i uciekały na oślep w panice. (...) Szalejące ognie powalały drzewa rzędami, niczym pożar lasu. (...) Konie i rydwany padły pastwą płomieni; wszystko wyglądało tak, jakby przeszła wszechogarniająca pożoga. Tysiące wozów uległo zniszczeniu, potem na ziemię opadła głęboka cisza. Rozciągał się przerażający widok. Ciała poległych były zniekształcone na skutek potwornego gorąca, nie przypominały już wcale ludzi. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy tego rodzaju budzącej grozę broni i nigdy przedtem nie słyszeliśmy o tego rodzaju broni. (...) Jest niczym promienista błyskawica, niszczycielski zwiastun śmierci, który zamienia w popiół wszystkich krewnych Vrischni i Andhaka. Zwęglone ciała były nie do rozpoznania. Tym, którzy uszli z życiem, wypadły włosy i paznokcie. Wyroby garncarskie rozpadały się bez powodu, ptaki, które przeżyły, zrobiły się białe. Po krótkim czasie żywność stała się trująca. Z nieba padł grom i zamienił się w pył”¹⁵.

W innym miejscu tego eposu natrafiamy na opis zastosowanej już broni o nazwie *agenya*, która jest przedstawiona bardzo podobnie, chociaż jeszcze bardziej dramatycznie:

„Rozległ się jeden jedyny wystrzał, w którym skupiła się moc całego wszechświata. Rozżarzony do białości słup dymu i płomieni, tak jasny jak dziesięć tysięcy słońc, uniósł się w pełnym blasku. Była to nieznana broń, żelazny topór pioruna i kolosalny zwiastun śmierci, który zamienił w popiół całe plemię Vrischni i Andhaka. Ciała były do tego stopnia spalone, że nie dało się ich rozpoznać. Wypadły im włosy i paznokcie, gliniane wyroby rozpadały się bez przyczyny, zaś ptaki przebarwiły się na biało”¹⁵.

W obliczu takich scen przychodzą nam spontanicznie na myśl budzące trwogę odkrycia podróżników i poszukiwaczy przygód. Jak już wspomniano wcześniej, gęsta tropikalna dżungla skrywa pod baldachimem liści naprawdę potworne tajemnice.

RADIOAKTYWNE ŚLADY

Na szczęście nie wszystkie ślady, które mogą potwierdzić prawdziwość treści starohinduskich mitów o bogach, zaginęły w maskującym wszystko biotopie lasu deszczowego. Nadszedł czas ich ponownego odkrycia. Dwa wiele obiecujące tropy prowadzą do innej części Indii – do Kaszmiru, kości niezgody między Indiami a Pakistanem, mocarstwami atomowymi dysponującymi supernowoczesną bronią jądrową.

Z powodu eksponowanego położenia i bliskości Himalajów, kolosalnego łańcucha górskiego, Kaszmir bywa nazywany azjatycką Szwajcarią. Dążenia niepodległościowe oraz spory graniczne z sąsiadującymi Pakistanem i Chinami zakłócają jednak idyllę przedgórza ośmiotysięczników z pasma Karakorum. W indyjskiej części Kaszmiru miasta Dżammu i Śrinagar – to drugie podczas gorących miesięcy – dzielą się obowiązkami stolicy stanu, który nosi oficjalną nazwę Dżammu i Kaszmir.

Niedaleko od Śrinagaru, który z powodu licznych przecinających go kanałów znany jest także jako Wenecja Wschodu, znajdują się świątynie Parhaspur i Marand. Oba miejsca są już tylko ruinami, lecz zwłaszcza to pierwsze budzi grozę. Pośrodku świątynnego założenia znajdują się szczątki piramidy, która przypomina płaskie na szczycie piramidy schodkowe Majów z położonego

w Ameryce Środkowej półwyspu Jukatan. Do dziś widać wyraźnie dolne tarasy budowli.

Jednak w obrębie wielu kilometrów wokół tych ruin można odnieść wrażenie, że miejsca te doświadczyły niszczycielskich bombowych nalotów. Upływ czasu nie byłby w stanie spowodować tak ogromnych spustoszeń. Tylko eksplozja o potężnej mocy mogła pozostawić po sobie tak rozległe rumowisko.

Czy była to eksplozja jądrowa? Czy istnieją wskazówki usprawiedliwiające tego rodzaju przypuszczenie?

Erich von Däniken, szwajcarski badacz bogów i wolnomyśliciel, w minionych latach wielokrotnie odwiedzał ruiny świątyń Marand i Parhaspur. Był wyposażony w licznik Geigera-Müllera do mierzenia poziomu promieniowania radioaktywnego. To, co udało mu się odkryć w trakcie wizji lokalnych w tych ponurych miejscach, opisał w bestsellerze *Beweise* („Dowody”):

„Penetrowaliśmy teren metr po metrze. Nagle na przedłużeniu linii bramy głównej licznik zaczął wibrować jak szalony. Przez kilka sekund w słuchawkach rozbrzmiewało głośnie, nieprzyjemne dla ucha trzeszczenie. Wróciłem z przyrządem do punktu wyjścia. Zjawisko powtórzyło się przy ponownym przejściu, dokładnie w tym samym miejscu. Obszar radioaktywnego promieniowania miał szerokość 1,5 metra. Jaka była jego długość? Powoli przesuwalem się w lewo i prawo pod kątem prostym. Trzaski w słuchawkach nie ustawały, chociaż były nieregularne i na chwilę nawet całkiem ucichły. Wydawało się, że instrumenty pomiarowe dostały obłądu. Posługiwałem się zestawem przenośnym z monitorem typu TMB2.1 firmy Miinchner Apparatebau. Aparatura ta służy do pomiaru i kontrolowania poziomu promieniowania alfa, beta, gamma oraz promieniowania neutronowego. Zredukowałem liczbę wpadających promieni na pięćdziesiątą część sekundy. Nastąpiła niewielka zmiana. W określonych miejscach jednak wskazówka trzymała się uparcie na końcowym zakresie podziałki”¹⁶.

Wskazania przyrządu były jeszcze bardziej wyraźne, kiedy Erich von Däniken i jego towarzysze przystąpili do badania ważącego wiele ton bloku skalnego, obrobionego z taką precyzją iż można go było niemal uznać za współczesny blok z lanego betonu (obrobione w ten sposób struktury spotyka się poza tym w dużej liczbie w osadach Tiahuanaco oraz Puma-Punku nad jeziorem Titicaca w wysokich Andach w Boliwii). Boczny wymiar bloku wynosił 2,80 metra, wysokości nie dało się określić, ponieważ fundament tkwił głęboko w ziemi. W pobliżu bloku wskazówka licznika Geigera-Müllera reagowała ze szczególną żywiołowością.

Wszystko to rozgrywało się w ruinach świątyni Marand w odległości około 30 kilometrów od Śrinagaru. Kilka dni potem van Däniken z dwójką archeologów udał się na teren ruin świątyni Parhaspur, też położonej niedaleko od Śrinagaru. Tam uzyskano podobne wyniki w przypadku trzech kamiennych bloków – uderzająco podobnych do wspomnianego kamiennego prostopadłościanu z Marand. Licznik Geigera-Müllera reagował z tą samą gwałtownością.

Erich von Däniken przypuszczał swego czasu, że być może w ziemi znajdują się radioaktywne rudy; później udało się znaleźć żyłę z rudą uranu. Jednakże te pokłady zawierały uran w ilościach, jakie mogły stanowić stężenie wyrażone co najwyżej w promilach. Przyrządy pomiarowe również nie reagowały z taką żywiołowością jaką zaobserwowano w Parhaspur i Marand. Na tej podstawie uważam, iż nie da się wykluczyć, że opisane tu ruiny świątyń były kiedyś widownią nuklearnej zagłady, której szczegóły były do tego stopnia przerażające, że w najprawdziwszym sensie tego słowa w niezatarty sposób wywarły ogniste piętno na mitach i przekazach tej części świata.

Powinniśmy wystrzegać się lekkomyślnego wkładania takich opowieści między bajki, pomni wypowiedzi o niegdysiejszej obecności pozaziemskiej inteligencji oraz ojej zaawansowanej, wysoko rozwiniętej technologii.

2

NIERDZEWNY METAL „MADE IN INDIA”

NIEMOŻLIWE ARTEFAKTY Z NIEMOŻLIWYCH STOPÓW

Świat pełen jest nierozwiązanych zagadek, niektóre z nich są bardziej niezwykle, niż można to sobie wyobrazić.

Charles Fort (1874-1932), amerykański pisarz

Indie, w których odkryto niezaprzeczalne ślady, że przed niezliczonymi tysiącami lat stały się areną, na której bogowie toczyli przerażające wojny przy użyciu broni atomowej, są również miejscem, gdzie można spotkać jeszcze inne niewiarygodne relikty przeszłości. Subkontynent szykuje badaczom sporo niespodzianek. Aby się na nie natknąć, nie trzeba – jak w przypadku zeszklwionych ruin w pełnej węży dżungli porastającej nieustannie zalewaną wodami deltę Gangesu – przedzierać się przez niedostępny region zajmujący powierzchnię 3,2 miliona kilometrów kwadratowych.

Niezwykły obiekt znajduje się w stolicy Indii, Delhi. Ma ona historię równie zmienną i pełną niezgłębionych tajemnic. Podpisano łącznie dziesięć aktów założenia miasta, zanim stało się ono dzisiejszą nowoczesną metropolią której budowę zainicjowali w 1911 roku Anglicy na terenach mających za sobą długą historię. Powstawały tam osiedla, które nie rozwijały się jednak, jak w Europie, jako przedmieścia zgrupowane wokół historycznego centrum miasta. Nad brzegiem rzeki Jamuny pojawiał się za każdym razem całkowicie nowy organizm miejski obok nagle opuszczonego zespołu zabudowań, odległego o zaledwie kilkaset metrów.

Stanowi to wytłumaczenie faktu, że dzisiaj na obrzeżach Delhi niemal wszędzie można natrafić na rozległe ruiny wcześniejszych zabudowań i osiedli.

Co najmniej 1000 lat przed naszą erą na terenach współczesnego Delhi istniała już pierwsza ludzka sadyba o nazwie Indraprastha. Wzmiankę o niej zawiera wielki narodowy epos *Mahabharata*, w którym znajdują się też niebudzące wątpliwości opisy zastosowania broni jądrowej masowego rażenia (patrz rozdział 1). Możliwe jest oczywiście, że ta pierwsza osada miejska istniała już znacznie wcześniej niż 1000 lat przed naszą erą, ponieważ przekazywane początkowo w tradycji ustnej wersy *Mahabharaty* odnoszą się do wcześniejszych okresów, których datowanie jest jednak trudne. W tamtych legendarnych czasach członkowie rodów Kaurava i Pandava toczyli między sobą walki, które zakończyły się bitwą trwającą 18 dni. Walna rozprawa zakończyła się totalną klęską rodu Kaurava¹⁵.

2000 LAT PRZERWY

Poza tą wzmianką w pradawnym narodowym eposie Hindusów nigdzie nie natrafimy na zapiski o Indraprastha. Można nawet odnieść wrażenie, że pierwszy zespół miejski będący prekursorem Delhi przestał istnieć w okresie od około 1000 lat przed naszą erą do 1000 roku naszej ery, przez długich 2000 lat bowiem nigdzie o nim nie wspomniano. Jedynym, chociaż także pośrednim zabytkiem z czasów Indraprasthy, jest twierdza Purana Qila, która wszelako została zbudowana dużo później, podczas wznoszenia Dinpanah na szczątkach miasta sprzed naszej ery.

Dopiero w 1052 roku naszej ery nad brzegami Jamuny powstał ponownie sprawnie funkcjonujący zespół miejski. Miasto Lalkot zostało wymienione w inskrypcjach wyrytych na żelaznej kolumnie, o której niezwykłych cechach bardziej szczegółowo opowiem nieco dalej. Kolumna ta wciąż istnieje i kryje w sobie techniczne sekrety. Około 1160 roku Lalkot poddano zakrojonej na szeroką skalę rozbudowie, jednocześnie nadając mu nową nazwę Raj Pithora.

W niecałe 30 lat później Raj Pithora legło w gruzach. Nadeszli nowi władcy, Arabowie, a wraz z nimi islam. Późniejsze Delhi przez parę lat nosiło nazwę Qut'b lub Kutub, nadaną od imienia Qut'b ut din Abaka, byłego niewolnika, który po wyzwoleniu rozpoczął karierę wojskową i jako wódz podbił znaczne obszary Indii.

Także i to miasto – jakże by mogło być inaczej – nie przetrwało długo. Po nim zbudowano miasto Siri, które po krótkim czasie również opuszczono. Jego pozostałości do dziś znajdują się na terenach porośniętych tropikalnym lasem i są coraz trudniej dostępne. Stanowią część budzącego trwogę miasta duchów. I tu można rozpoznać zeszklenia, które są widoczne w rozrzuconych po innych częściach kraju ruinach, gdzie bez cienia wątpliwości w zamierzchłych czasach szalała pożoga atomowej zagłady. Jeszcze krócej istniało kolejne miasto. Mimo nowoczesnych założeń urbanistycznych twór o nazwie Tughlaqabad nie przetrwał nawet 10 lat. Z przyczyn, których nie da się już dociec, mieszkańcy opuścili miasto na zawsze, w ciągu jednej nocy. Podobnie jak Siri, także Tughlaqabad uchodzi dzisiaj za miejsce przeklęte. Próżno by szukać tej nazwy w przewodnikach turystycznych, również mieszkańcy Nowego Delhi wzdragają się przed postawieniem stopy w ruinach zaklętego miasta.

Miasto numer siedem – Jahanpana – było porzucane nawet dwukrotnie i jest dzisiaj w przeważającej części zabudowane przez współczesną stolicę. Jako następne w 1351 roku powstało Firozabad, nazwane tak od imienia sułtana Szaha Firoza. Wzniósł on na najwyższym tarasie swojego pałacu dwie kolumny upamiętniające legendarnego cesarza północnych Indii, Aśiokę (273-233 p.n.e.). Wyryto na nich 14 artykułów liberalnej konstytucji autorstwa cesarza-mędrca i człowieka miłującego pokój. Przepojone postępowym duchem nawiązują do Deklaracji Praw Człowieka, która wówczas stanowiła utopię z odległej przyszłości.

Jako kolejne pojawiło się miasto Dinpanah. Wzniesiono je na fundamentach pierwszej osady Indraprastha i ukończono w 1540 roku. Do dziś zachował się jego fort Purana Qila. Miasto numer 10 nosiło trudną do wymówienia dla Europejczyków nazwę Szahdżahabad i istnieje do dzisiaj jako Stare Delhi, będące najstarszą częścią obecnej stolicy Indii. Spośród innych założeń urbanistycznych zachowały się tam nieliczne ruiny, reszta obróciła się w proch¹⁷.

I wreszcie Brytyjczycy, którzy rządili Indiami jako kolonią aż do przywrócenia temu krajowi niepodległości 15 sierpnia 1947 roku, po 1911 roku zbudowali Nowe Delhi, na południe od Starego. Miasto, złożone z tych dwóch wyraźnie różniących się części, jest siedzibą rządu współczesnych Indii, a zarazem terytorium związkowego Delhi, od którego wywodzi się jego nazwa.

Kryje też w sobie fascynujący relikw, który jest wprawdzie sensacyjny z technicznego punktu widzenia, ale, jak o tym miałem okazję się przekonać, nie jest wcale jedynym tego rodzaju obiektem na subkontynencie indyjskim.

TAJEMNICZA KOLUMNA Z ŻELAZA

Nieulegającą korozji kolumnę z żelaza w Delhi, o której pisze Erich von Däniken w debiutanckich „Wspomnieniach z przyszłości”, bez przesady można uznać za jeden z najbardziej zagadkowych artefaktów naszego świata¹⁸. Później szwajcarski autor bestsellerów, którego poglądy wzbudzają kontrowersje, zrewidował wprawdzie przedstawioną przez siebie ocenę¹⁹, lecz nadmiar samokrytyki był raczej zbędny. Dzisiaj wiemy dużo więcej o tym niezwykłym obiekcie dzięki dokładnym badaniom, co pozwala w bardziej uzasadniony sposób stwierdzić, że jego istnienia nie da się pogodzić z naszą konwencjonalną szkolną wiedzą o technice starożytności. Kolumna liczy bowiem co najmniej 1500 lat, a może nawet 2000.

Czytelnikom, którzy jeszcze o niej nigdy nie słyszeli, przedstawię krótki opis owego obiektu. Na wewnętrznym dziedzińcu meczetu Kuwwat al-Islam [Potęga islamu] – tam, gdzie niegdyś było miasto Qut'b – stoi kolumna wysokości prawie 7 metrów, wykonana z kutego żelaza (fot. 4). Mimo wilgotnego i gorącego klimatu nie uległa ona korozji, czyli nie została pokryta rdzą. Od października do kwietnia panuje w Delhi pogoda znośna nawet dla mieszkańca Europy Środkowej, jednak w pozostałej części roku, podczas monsunowego lata, leje dosłownie jak z cebra. Dzielnice starego miasta pokrywają się wtedy pokładami błota. Kiedy słońce wyziera zza chmur, miasto przeistacza się w saunę. Wilgotność powietrza osiąga poziom, przy którym wszystko, co żelazne, zaczyna zżerać rdza. Także kolumna powinna już dawno paść pastwą tlenku żelaza i na wskroś przerdzewieć. Jeśli porówna się, jak nieubłaganie działa czas w przypadku najgrubszych nawet luf armatnich z dwóch ostatnich wojen światowych, to po kolumnie z Delhi nie powinien pozostać już żaden ślad.

Mieszkańcy Delhi wierzą, że w kolumnie tkwią cudowne moce. Mokre od potu dłonie dotykały jej przez wiele minionych stuleci. Już sama wypocona sól powinna mieć niszczyielski wpływ na żelazo. Nic podobnego. W miejscach najczęściej dotykanych metal wygląda jak polerowany²⁰.

Obiekt staje się jeszcze bardziej zagadkowy, gdy poznamy wyniki analizy chemicznej. Badanie przeprowadzone przez brytyjskiego naukowca sir Roberta Hedfielda wykazało, że metalowy słupek zawiera ponad 99% czystego kutego żelaza. Szczegółowy skład kolumny jest następujący:

żelazo	99,72%	krzem	0,05%
fosfor	0,11%	siarka	0,01%
węgiel	0,08%		

oraz rozmaite inne pierwiastki śladowe, których sumaryczny udział wynosi 0,034%¹⁷.

Wytworzenie żelaza o tak wysokiej czystości sprawiłoby ogromne trudności nawet współczesnym metalurgom. Jak zatem udało się to nieznanym rzemieślnikom, którzy wykuli kolumnę 1500 lub nawet 2000 lat temu? Niektórzy uczeni uważają, że taką czystość uzyskano dzięki zastosowaniu dużych ilości węgla drzewnego w procesie wytapiania. Nie jestem wprawdzie metalurgiem, lecz przypuszczam, że w takim przypadku zawartość węgla musiałaby być nieporównanie wyższa niż znikomo małe 0,080%, jak wykazała analiza składu chemicznego.

SKĄD SIĘ WZIĘŁA?

Podobnie jak z węglem przedstawia się sprawa z innym pierwiastkiem, którego zawartość w kolumnie jest znikomo mała, co potwierdziła analiza. Profesor Ramamurthy Balasubramaniam, mieszkający w USA uczony indyjskiego pochodzenia, wysunął w 2002 roku hipotezę, że na kolumnie wytworzyła się warstwa ochronna samoczynnie „naprawiająca uszkodzenia”, dzięki wysokiej zawartości fosforu. Nasuwa się tylko pytanie, dlaczego ów uczony mówi o wysokiej zawartości fosforu, skoro z analizy wynika, że jest go zaledwie 0,114%?

Zdaniem profesora Balasubramaniamy także suchy klimat Delhi miałby być dodatkową

przyczyną niewystępowania procesu rdzewienia²¹.

Słucham? Czyżby ten uczony nie pamiętał, że jego ojczyzna jest położona w strefie klimatu monsunowego? Takie warunki atmosferyczne panują na większości terytorium Indii, nie tylko w Delhi. W miesiącach między końcem kwietnia a początkiem października wszystkie uliczki Starego Delhi w krótkich przerwach między ulewami parują i unosi się w nich wilgoć niczym w cieplarni.

Gatunek żelaza o czystości, z jaką mamy do czynienia w przypadku kolumny z Delhi, w dosłownym znaczeniu pochodzi nie z tego świata. Jego źródłem są meteoryty, które co prawda każdego dnia w licznych zakątkach naszej planety spadają z nieba, lecz przenigdy ich ilość nie wystarczyłaby do wzniesienia owej kolumny. Jak już wspomniano, mierzy ona 7 metrów wysokości, nie uwzględniając części wkopanej w ziemię. Jej ciężar wynosi sporo ponad 6 ton, natomiast spadające na Ziemię meteoryty ważą najczęściej zaledwie kilka gramów, bardzo rzadko z nieba spada kilkukilogramowy meteoryt. Kryje się za tym banalna przyczyna – najczęściej ulegają one po prostu spaleni w trakcie przechodzenia przez ziemską atmosferę. Powtórzmy zatem raz jeszcze: skąd się wzięła i dlaczego się nie ulotniła?

O tym, że za powstaniem kolumny może kryć się zaawansowane techniczne *know-how*, wiedziano już ponad 150 lat temu. W połowie XIX wieku brytyjski uczony sir Artur Cunningham przemierzał Indie wzdłuż i wszerz na zlecenie Archaeological Survey of India, w celu zarchiwizowania znaczących historycznych budowli i obiektów. Jego uwagę zwróciła zwłaszcza odporna na rdzę kolumna, którą uznał za jeden z najbardziej osobliwych monumentów Indii.

Wielkie wrażenie musiał na nim wywrzeć fakt, że słupek wykonano z jednego tylko bloku surowca, co czyniło zagadkę związaną z jej pochodzeniem jeszcze trudniejszą do odgadnięcia. Cunningham nie omieszkał dać wyraz swemu zdumieniu:

„Znamy wiele obiektów wykonanych z metalu, które powstały w czasach starożytnych – taki był na przykład kolos z Rodos (jeden z siedmiu cudów świata). Wszystkie te monumentalne obiekty zostały wykonane z pojedynczych segmentów, które następnie połączono, natomiast kolumna z Delhi to jeden lity blok metalu”²².

W opinii indologów delhijski słupek budzi fascynację nie tylko z powodu szczególnego składu chemicznego i do dzisiaj niewyjaśnionego pochodzenia. Już od dawna interesowano się też historycznie ważnymi inskrypcjami, które go pokrywają. Omawiając 10 miast poprzedników Delhi, wspomniałem o mieście Lalkot. Jego powstanie w 1052 roku naszej ery, po ponad 2000 lat trwającej niewyjaśnionej luki w istnieniu na owym terenie jakichkolwiek osad, zostało potwierdzone inskrypcjami wyrytymi na kolumnie.

Oprócz tych informacji z 1052 roku na odpornej na rdzę kolumnie znajdują się jeszcze inne przekazy. Najstarszy z nich nie zawiera konkretnych dat. Wynika z niego, że władca imieniem Chandra kazał wznieść tę kolumnę na wzgórzu o nazwie Wisznupad jako wyraz wielkiej czci dla boga Wisznu – z tym głównym bóstwem hinduizmu spotkamy się jeszcze przy omawianiu przedhistorycznych lotów kosmicznych. Badacz Indii i wybitny znawca sanskrytu Franz Batz przypuszcza, że chodzi tu o grę słów – w języku sanskryckim wyraz *pada* oznacza zarówno „stopę”, jak i „promień”. Nazwę wzgórza interpretuje następująco: „na stopie Wisznu wzniesiono promień skierowany ku niebu”²².

Wspomnianym w inskrypcji władcą jest prawdopodobnie Candragupta II (375-413 n.e.). Przemawiają za tym zarówno liczne podboje, jakich dokonał, jak i styl pisma, którego charakter, bez ryzyka popełnienia błędu, daje się datować na czasy panowania dynastii Guptów. Z samej inskrypcji nie wynika jednak jednoznacznie, że Candragupta II był tym, który wydał polecenie wzniesienia kolumny. Można też założyć, że zdobył kolumnę jako wojenne trofeum i kazał umieścić ją na wspomnianym wzgórzu Wisznupad. W takim przypadku kolumna mogłaby być znacznie starsza.

LOTY KOSMICZNE Z GARUDĄ

Niektórzy indyjscy uczeni wysunęli też przypuszczenie, że obelisk mógł kiedyś stać w starożytnym mieście Indraprastha, zbudowanym według ostrożnych szacunków około 1000 roku p.n.e. Jednak hipotezy tej nie potwierdzają dotąd żadne poszlaki. Również pytanie, gdzie mogłoby znajdować się owo owiane tajemnicą wzgórze Wisznupad, na którym pierwotnie postawiono kolumnę, wciąż pozostaje bez odpowiedzi. To kolejny nieodgadniony sekret monumentu.

W niektórych hinduskich tekstach powtarza się informacja, że niegdyś kolumna była zwieńczona figurą mitycznego boskiego ptaka, Garudy. Nie można tego wykluczyć, ponieważ na szczycie żelaznego obelisku rzeczywiście znajduje się mała platforma z nawierconym otworem, na której mógł być ustawiony – dziś zaginiony – posąg ptaka Garudy zwieńczający kolumnę¹⁸.

Z Garudą też wiąże się tajemnicza historia. W mitologii Indii Garuda jest władcą wszystkich ptaków. Przedstawiano go w postaci skrzydatego człowieka o głowie orła. Bóg Wisznu, żywiciel i obrońca świata, uczynił z niego swojego wierzchowca.

Garudzie przypisywano nadzwyczajne przymioty. Odznaczał się wysoką inteligencją i działał z własnej inicjatywy. Prowadził wojny i bombardował z powietrza swoich wrogów. Miał białą głowę, czerwone ciało, a jego skrzydła mieniły się złotem. Gdy potężny Garuda załopotał skrzydłami, zaczynała drżeć ziemia. Odbywał też podróże w kosmosie.

Oprócz tego żywił nienawiść do nagów – istot na poły ludzkich, na poły wężowych – które pojmały jego matkę imieniem Winata w rezultacie przegranej przez Garudę zakładu. Nagowie obiecali uwolnić Winatę w zamian za czarę nektaru, napoju bogów, który zapewniał nieśmiertelność.

Garuda na wszelkie sposoby starał się spełnić postawiony warunek. Nektar bogów, jakiego od niego zażądano, można było zdobyć wyłącznie na wysokiej górze, którą otaczało morze płomieni. Mimo to nawet w tak beznadziejnej sytuacji władca ptaków nie odstąpił od swoich planów. Według mitu Garuda wypił z rzek tak dużo wody, którą napełnił swoje ciało, że zdołał zrobić wyrwę w ścianie ognia. Gdy szykował się do wylądowania, na drodze stanęły ziejące płomieniami węże. Lecz i tym razem w sukurs przyszedł mu wrodzony spryt: wzniosł na ziemi tumany kurzu, przez co węże nie mogły go dostrzec.

Następnie zrzucił z powietrza na węże „Boskie jaja”, które rozrywały na strzępy atakujące go zajadle gady – był to „atak z powietrza w zamierzchłych czasach”.

Gdy mężny Garuda szczęśliwie oswobodził matkę Winatę z niewoli wrogich węży, wyruszył w podróż na Księżyc. Ziemskim satelitą władali jednak obcy bogowie, którzy nie byli nastawieni przyjaźnie wobec Garudy. Podjęli przeciw niemu zażarty bój, wkrótce jednak pojęli, że ich broń nie czyni Garudzie żadnej krzywdy. Ostatecznie zaproponowali mu kompromis. Władca ptaków zyska nieśmiertelność i będzie odtąd służyć bogowi Wisznu jako wierzchowiec. Od tamtej pory Wisznu, „Wszystko Przenikający”, podróżuje na grzbiecie Garudy po nieboskłonie, jak o tym mówi mitologia ludów indyjskich^{23,24}.

PODRÓŻ W NIEZNANE

Do mitycznego Garudy odwołują się dziś indonezyjskie linie lotnicze o tej samej nazwie, nawiązując do pełnych chwały czynów bohaterskiego boskiego ptaka.

Przenieśmy się jednak ponownie do współczesnych Indii. Oprócz tej znanej delhijskiej istnieją również inne dawne nierdzewne kolumny z żelaza, które przetrwały mimo niesprzyjających warunków klimatycznych.

Wspomniany już Franz Batzt ekspert w sprawach dotyczących Indii, od kilku lat należy do grona moich przyjaciół. Jemu właśnie zawdzięczamy wiedzę o żelaznych obeliskach z zamierzchłej historii Indii, które także wykazują niedające się wytłumaczyć właściwości. Wśród nich jest kolumna wielkością i ciężarem znacznie przewyższająca obelisk z Delhi. Jak dotąd, jest to

największy na świecie artefakt wykuty z jednego kawałka żelaza.

Wiosną 2005 roku Franz Batz po raz kolejny podróżował po Indiach. Człowiek ten zawsze podąża tropem nieodkrytych jeszcze miejsc i artefaktów, dlatego omija miejsca znane i sławne. Na podstawie dwóch – obecnie już „prastarych” – publikacji z przełomu XIX i XX wieku^{25,26}, a także opierając się na wskazówkach naocznego świadka z Indii, dowiedział się, że w miasteczku Dhar powinna znajdować się jeszcze jedna kolumna z żelaza, która mimo wilgotnego i gorącego klimatu nie wykazuje nawet śladu rdzy na swojej powierzchni. Gdy Franz Batz natrafił ponadto na pracę Niemca, który spędził w Indiach wiele lat²⁷, a w 1995 roku zajmował się nieznanym dotąd obeliskiem jako specjalista w dziedzinie stali i techniki spawania, nie miał cienia wątpliwości, że musi wybrać się do miasteczka Dhar. Najważniejsze pytanie brzmiało jednak: Gdzie leży ta miejscowość i jak można tam dojechać?

Bogowie piętrzyli przed nim nieoczekiwane przeszkody, by jego zamiar spalił na panewce. Dhar znane jest garstce wtajemniczonych osób; również oficjalne przewodniki indyjskiego stanu Madhja Pradeś nie wspominająawet jednym słowem o tej miejscinie. Na domiar złego miejsce to stało się w ostatnim czasie ośrodkiem zamieszek i niepokojów. Dochodzi tu regularnie do gwałtownych starć między wyznawcami hinduizmu a muzułmanami. Fanatycy po obu stronach zwalczają się nawzajem zaciekłe i bez pardonu. Gdy napięcie między obiema grupami wyznaniowymi ulega eskalacji, policja i wojsko zajmują miasteczko i natychmiast je izolują. Zakaz wstępu w szczególności obowiązuje cudzoziemców.

Tak właśnie było wiosną 2005 roku. Okoliczności absolutnie nie sprzyjały oględzinom tajemniczego artefaktu na miejscu. W Mandu, mieście oddalonym od Dhar o około 35 kilometrów, taksówkarze stanowczo wzbraniali się zawieźć pasażera do wstrząsanego rozruchami miasteczka. Regularna komunikacja autobusowa również została wstrzymana, ponieważ siły bezpieczeństwa obawiały się, że do spodziewanych ekscesów dołączą kolejni wichrzyciele, którzy dojadą z zewnątrz. Po długotrwałych targach i negocjacjach Franz Batz znalazł w końcu taksówkarza, który zgodził się tam z nim pojechać, ponieważ przy okazji zamierzał zobaczyć, co dzieje się z jego krewnymi. Była to podróż w nieznanie. Po licznych kontrolach drogowych i objazdach dotarli jednak do celu wyprawy.

NIEMAL CUD

W odróżnieniu od obelisku w Delhi, który znajduje się na wewnętrznym dziedzińcu świątyni, jaka dzisiaj została przemieniona w meczet, żelazna kolumna z Dhar wznosiła się poza murami starej hinduskiej świątyni. Postawiono ją na niewielkim kamiennym fundamencie, któremu nadano formę stożka ściętego. Pierwotnie kolumna mogła mierzyć około 15 metrów wysokości, była więc dwa razy wyższa od obelisku stojącego w dawnym mieście Qut'b, który mierzy 7 metrów. Z kolei żelazny słup z: Dhar jest bardziej wysmukły, a jego ciężar szacuje się na 8 ton, a więc byłby cięższy niż obelisk delhijski, który waży „tylko” około 6,5 tony.

Ponadto kolumna z Dhar już od 1000 lat nie stoi w pionie. Jest podzielona na kilka fragmentów, z których do dziś zachowały się trzy. Być może obelisk powalono podczas łupieżczych wypraw, które poprowadził około 1050 roku afgański wódz i najemnik Mahmud z Ghazni. W ciągu XI wieku najeżdżał indy siedemnastokrotnie, dokonując przy tym poważnych spustoszeń, w tym również wielu hinduskich świątyń. Natomiast w połowie XVI stulecia, za panowania Wielkich Mogołów, świątynia w Dhar zmieniła funkcję i zaczęła służyć za miejsce modłów muzułmanom. Uwzględniwszy tak niespokojne czasy, niemal z cudem graniczy fakt, że te relikty dotrwały w stosunkowo nienaruszonym stanie do dzisiaj.

Kolumny z Dhar i z Delhi różnią się od siebie jeszcze innymi detalami. O ile ta druga z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością była zwieńczona posągami mitycznego boskiego ptaka Garudy, o tyle na szczycie żelaznego słupa z Dhar była artystycznie wykuta nasada. Kolumna ta, tak czy owak, przetrwała wiele stuleci i jest dzisiaj przechowywana w dawnej miejskiej fortecy. Jej przekrój jest zbliżony do kwadratu, lecz w górnym segmencie przechodzi w ośmiokąt. Jest to

całkowite przeciwieństwo obelisku z Delhi, który ma przekrój koła i jest zwieńczony wspaniałym kapitelem w kształcie pędu lotosu, z umieszczoną na jego szczycie płytą.

Natomiast różnice w składzie chemicznym są wręcz znikome. Obydwa obeliski składają się niemal w 100% z czystego żelaza, co stoi w pełnej sprzeczności z technicznymi możliwościami tamtej epoki. Dopiero w 1938 roku w warunkach laboratoryjnych udało się po raz pierwszy wytworzyć żelazo o porównywalnym stopniu czystości. W warunkach, jakie według naszych wyobrażeń panowały w dawnych Indiach – przy zastosowaniu węgla drzewnego i pod gołym niebem – w żadnym razie nie byłoby możliwe uzyskanie wytopu o blisko stuprocentowej czystości. Chyba, że nasze wyobrażenia rozmiągają się ze stanem rzeczywistym.

W kolumnie z Dhar zawartość węgla wynosi jedną czwartą poziomu stwierdzonego w obelisku z Delhi (0,02 wobec 0,08%), z kolei zawartość fosforu – 0,28% – była ponaddwukrotnie wyższa (0,114% w Delhi). Jednak stwierdzony w obu przypadkach udział procentowy fosforu był dalece niewystarczający do wytworzenia „warstwy ochronnej, samoczynnie naprawiającej uszkodzenia”, której powstawanie postulował profesor Balasubramaniam.

Zbędne będzie przypomnienie, że również w miasteczku Dhar warunki pogodowe nie sprzyjają trwałości wyrobów z żelaza, ale i na tym obelisku nie znajdzie się choćby śladu rdzy.

Najdłuższy z zachowanych fragmentów pociętej na części kolumny ma 7,37 metra długości, drugi mierzy 3,56 metra. Na górnym końcu pierwszego oraz na dolnym końcu drugiego fragmentu można dostrzec ślady złamania o nierównych krawędziach, co pozwala przypuszczać, że pierwotnie fragmenty te były ze sobą zespawane. Trzeci fragment, długości 2,29 metra, był kiedyś połączony z drugim za pomocą – dziś już nieistniejącego – pierścienia z kutego żelaza. Powierzchnia górnej części tego fragmentu powstała wskutek złamania, co potwierdzałoby domysł, że był w tym miejscu dołączony jeszcze jeden fragment. Być może obelisk zwieńczała nasada umieszczona na szczycie kolumny o łącznej długości szacowanej na 15 metrów²⁸.

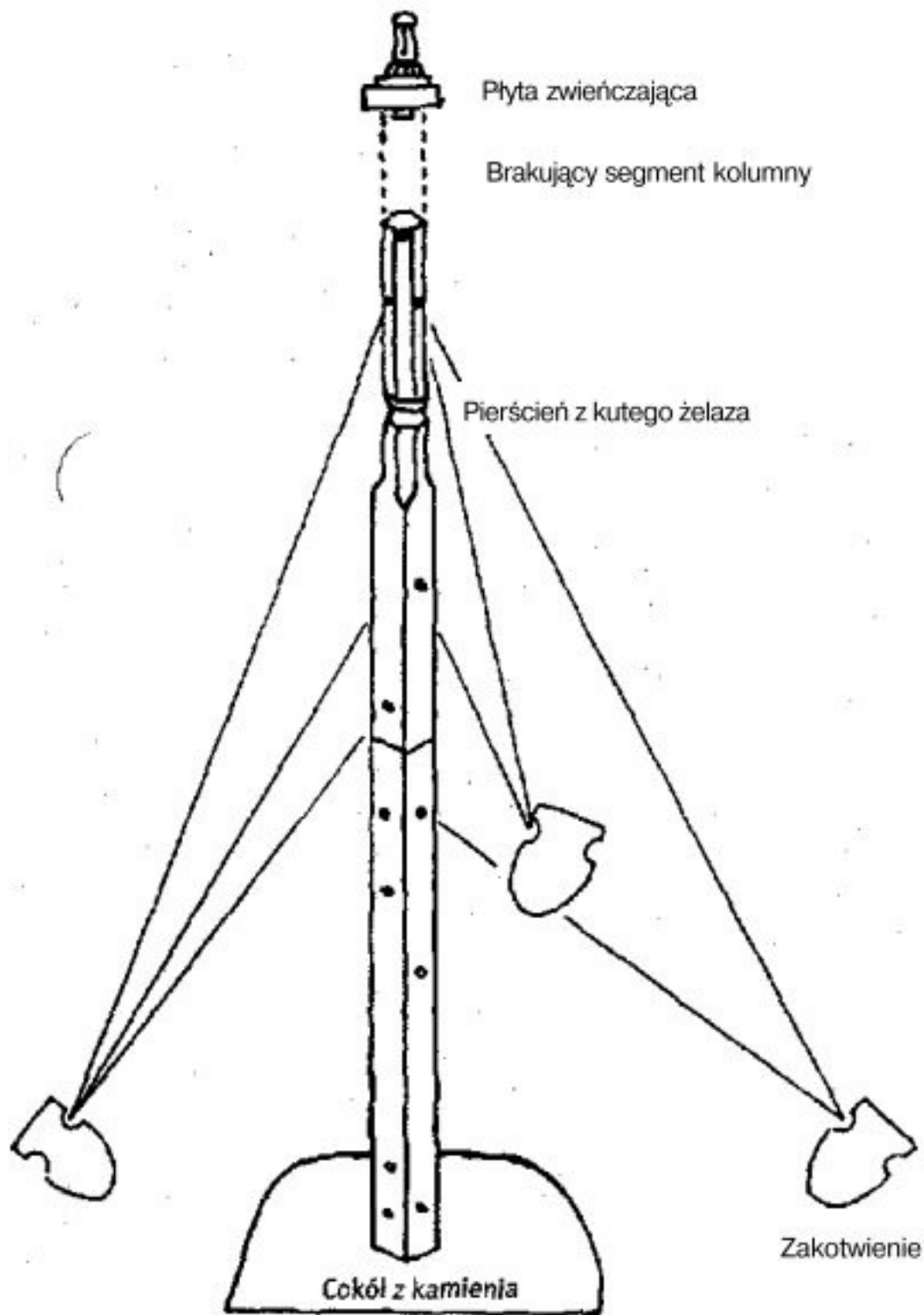
Oprócz tego we wszystkich częściach żelaznego obelisku są wywiercone otwory w nieregularnych odstępach. Mogły one służyć pomocą w trakcie prac kowalskich, by przy użyciu haków lub długich szczypic obracać odpowiednio walec z żelaza i ustawiać go w odpowiedniej pozycji. Inna ewentualność zakłada wsadzanie bolców w wywiercone otwory, do których potem mocowano łańcuchy, a końce tych łańcuchów przypinano do żelaznych kotew wkopanych w ziemię. Całość sprawia wrażenie swego rodzaju masztu. Rysunek 1 przedstawia rekonstrukcję obiektu. Niewątpliwie było potrzebne dodatkowe zabezpieczenie, ponieważ w przypadku masztu o całkowitej wysokości 15 metrów opisany wcześniej kamienny fundament był dalece niewystarczający do zapewnienia stabilności całej konstrukcji²⁷.

ZAGADKA W DŻUNGLI

Istnieją inne tego typu kolumny, które po dziś dzień opierają się skutecznie korozji mimo właściwości klimatu subkontynentu indyjskiego. W odległości około 35 kilometrów od miasteczka Dhar leży Mandu, ulubiony cel wycieczek mieszkańców położonej niedaleko milionowej aglomeracji Indore. W Mandu również istnieje kolumna z żelaza, która – po części przesłonięta roslą drzewem – na pierwszy rzut oka wygląda jak maszt flagowy. Ma ona wysokość 5,20 metra, lecz jej średnica w najszerszym miejscu, u nasady, wynosi tylko 98 milimetrów. Kolejny żelazny słup stoi w Ahobilam. Miejscowość ta, położona w stanie Andhra Pradeś na południowym wschodzie Indii, była kiedyś ważnym miejscem kultu religijnego, gdzie oddawano cześć bóstwu o nazwie Narasinha. Dzisiaj świątynia ta jest już ukryta w dżungli i trudno dostępna. Wiadomo, że znajduje się tam całkowicie odporna na rdzę kolumna z żelaza, chociaż, gwoli prawdy, nie są znane żadne pomiary ani opisy, mimo że zachowały się fotografie artefaktu wykonane w monsunowej dżungli.

Na koniec nie chciałbym pominąć milczeniem kolumny, która znajduje się w górach Kodachadri, na wysokości 1000 metrów nad poziomem morza. Stoi ona na obwodzie świątyni poświęconej bóstwu imieniem Mookambika w Kollur w południowym indyjskim stanie Karnataka (do 1973

roku nosił on nazwę Majsur). Ta kolumna ma na całej długości przekrój prostokąta o wymiarach 10x13 centymetrów i wysokość 9,76 metra. Jej ciężar obliczono na niecałą tonę. Istnienie tego artefaktu jest szczególnie warte uwagi, gdyż znajduje się on w regionie, w którym pora deszczowa trwa od sześciu do ośmiu miesięcy. Roczna wielkość opadów wynosi 500-750 centymetrów na metr kwadratowy! Podobny obiekt przez wiele lat stojący pod gołym niebem w naszej szerokości geograficznej, nawet pokryty powłoką chroniącą przed rdzą, rozsypałby się między palcami. Wie o tym każdy przedsiębiorca budowlany i trzyma stalowe dźwigary w zamkniętej hali pod dachem. Lecz również i na tej żelaznej kolumnie próżno by szukać choćby śladu rdzy²⁸.



Rys. 1. Przepuszczalny wygląd żelaznej kolumny z Dhar. Całość sprawia wrażenie masztu nadawczego.

Wiele przemawia za tym, że w przyszłości światło dnia ujrzą kolejne świadectwa niepojętej dla nas techniki wytapiania metalu. Możliwe, że niegdyś w każdej znaczącej świątyni hinduskiej stała taka odporna na korozję kolumna jako symbol dawnych bogów oraz ich mitycznych dokonań. Ogromna liczba tych obelisków uległa zniszczeniu w okresie muzułmańskiego podboju. Dawnym wojownikom spod znaku półksiężycy mogły wydawać się symbolami niewiary, na podobnej zasadzie jak największy na świecie posąg Buddy w Bamjanie (Afganistan), który kilka lat temu padł ofiarą niszczycielskiej furii talibów. W ciągu zaledwie kilku minut ci fanatyczni zbrodniarze obrócili w ruinę dzieła, jakie miały przetrwać wiecznie.

Na szczęście kilka obelisków z nierdzewnego żelaza zdołało przetrwać. Sceptycy obstają przy swoim, ale nadal pozostaje bez odpowiedzi następujące pytanie: Z jakiego nieznanego źródła pochodzi wiedza o technice wytwarzania tak niewiarygodnie czystego żelaza, które od niemal 2000 lat opiera się niszczycielskiej sile niesprzyjających warunków klimatycznych?

KILA: „NIEMOŻLIWY” SZTYLET

Franz Batz, pełen pasji badacz Indii, przywiózł z jednej ze swoich wypraw inny metalowy artefakt, także nierdzewny, lecz o skromnych w porównaniu z poprzednimi rozmiarach. Jakiś nagły podszept pewnego wieczoru w New Delhi kazał mu opuścić hotel i ruszyć na przechadzkę ulicami miasta. Po pewnym czasie doszedł on do handlowego centrum przy ulicy Janpath, gdzie znajdują się niezliczone kramy, na których można czasem natrafić na oferowany na sprzedaż autentyczny zabytkowy skarb.

Prawdziwe rarytasy zwykle pozostają w ukryciu, jednak baczemu oku Franza Batza nie uszedł pewien obiekt schowany pod stolikiem kramarza. Był to *kila*, szczególny sztylet. Hindus początkowo wzbraniał się przed pokazaniem sztyletu o jego zaś ewentualnej sprzedaży nawet nie było mowy.

Kila to rytualny sztylet z klingą o trójgraniastym ostrzu, z trzema twarzami zdobionymi głowicę rękojeści. Spośród tych trzech twarzy jedna uśmiecha się łagodnie, rysy drugiej ściąga grymas gniewu, trzecia natomiast pała nieokiełznaną furią. Jeszcze dziś takie sztylety są wykorzystywane w rozmaitych buddyjskich i hinduskich ceremoniach magicznych i szamańskich. Przekrój poprzeczny klingi ma trzy ostrza w kształcie gwiazdy z logo Mercedesa; ostrza te wychodzą z paszczy Makary – mitologicznego potwora. *Kila* stanowi symbol unicestwienia chciwości, zaślepienia oraz nienawiści, według buddyzmu trzech największych przywar na tym świecie. Sztylet reprezentuje również tantryczne bóstwo imieniem *Vajrakila* i jest jednocześnie jednym z jego atrybutów²⁹.

Kila jest używana w innych krajach, takich jak Mongolia i Tybet. W tym drugim znana jest pod nazwą „phurba”. Wciąż krążą przedziwne opowieści o tych artefaktach, których powstanie przypisuje się raczej bogom niż ludziom³⁰. Na przykład Tulku Urguyen Rinpoche, wielki buddyjski nauczyciel oraz bliski zaufany zmarłego w 1981 roku szesnastego Gyalwy Karmapy, zapisał w swoich wspomnieniach:

„Mój starszy brat Penjik miał niewielki sztylet *kila*, który, jak mówiono, nie został wykuty dłońmi człowieka i wyglądał na tyle szczególnie, że podczas uroczystych ceremonii umieszczano go w świątyni”³¹.

Wróćmy jednak do egzemplarza, o którym tu mowa. Po długich namowach i perswazjach – przy czym sprzedawcy wcale nie chodziło o cenę – Franz Batz zdołał w końcu nabyć sztylet za skromną sumę 150 rupii, co odpowiada kwocie trzech euro. Handlarz jednak zdawał się całą sytuacją najwyraźniej zdegustowany. Wbrew przyjętym w jego fachu obyczajom nie zażądał wysokiej ceny za białego kruka, chociaż nabywca w oczach miejscowych uchodził za zamożnego sahiba, który za wszelką cenę pragnie wejść w jego posiadanie. Zamiast targu sprzedawca mamrotał pod nosem trudno zrozumiałe słowa o osobliwym przedmiocie, o jego długiej i pełnej tajemnic historii i stanowczo odradzał nabycie *kili*. Jak na handlarza, było to zachowanie więcej niż niezwykle.

TYSIĄCLETNI LUB STARSZY

Ile lat może liczyć ten rytualny sztylet i jakie tajemnice kryją się za tym kunsztownie ozdobionym rytualnym artefaktem (fot. 5)? Gdy mamy do czynienia z przedmiotami z metalu, określenie ich wieku metodami technicznymi z reguły nie jest możliwe. W takich przypadkach trzeba posłużyć się innymi kryteriami, takimi jak miejsce znaleziska, jego położenie, a także artystyczny styl, który umożliwi przypisanie do określonej epoki. Na przykład wiek tak zwanej niebiańskiej tafli z Nebry – artefaktu z Niemiec, z którym obecnie wiąże się sprawa kryminalna – oszacowano na podstawie stylu i roboty kilku mieczy, jakie wykopano w obrębie tego samego stanowiska archeologicznego.

W przypadku *kili*, o której mowa tutaj, pewne przesłanki przemawiają tym, że liczy ona co najmniej 1000 lat. Około 1000 lat po Chrystusie w następstwie najazdów kilku muzułmańskich zdobywców zanikł w Indiach buddyzm tantryczno-magiczny. Takie przedmioty, jak *kila*, wyszły wtedy z użytku, a wykonanie owego sztyletu w czasach nam współczesnych wydaje się mało prawdopodobne. *Kila* nie może pochodzić z Tybetu, ponieważ styl tamtejszych sztyletów *phurba* dalece odbiega od stylu indyjskich *kili*. W tej sytuacji pozostaje przyjęcie, że ten tajemniczy obiekt liczy co najmniej 1000 lat, ale może być znacznie starszy. Gdy poznano skład chemiczny metalu, z jakiego został wykonany ów rytualny sztylet, okazało się, że musimy stawić czoło niewiarygodnemu wręcz faktowi – ten sztylet nie powinien istnieć, gdyż wykorzystany do jego wykonania stop jest stopem wręcz niemożliwym do uzyskania.

Pierwszą analizę *kili* przeprowadzono latem 2006 roku w Instytucie Technologii Powierzchni i Cienkich Warstw (ITPCW) w Wismarze. Instytut wchodzi w skład uczelni wyższej w tym hanzeatyckim mieście, lecz funkcjonuje w dużej mierze samodzielnie. Doktor Carmen Bunescu, która przebadła artefakt, wykorzystwała do tego elektronowy mikroskop skaningowy³². Za pomocą tej aparatury – mówiąc w dużym uproszczeniu – na analizowany obiekt jest emitowany promień światła. Potem w promieniu odbitym można zidentyfikować pierwiastki wchodzące w skład obiektu dzięki analizie widmowej i na tej podstawie określić ilościowo skład chemiczny tegoż obiektu.

Po wykonaniu analizy zaskoczenie było całkowite! Wielokrotne powtórzenie pomiarów nie przyniosło zmiany otrzymanych wyników. Na podstawie przeprowadzonych analiz stwierdzono, że *kila* składa się z następujących pierwiastków:

żelazo	80,00%	potas	0,36%
tlen	14,80%	siarka	0,13%
węgiel	2,51%	chlor	0,20%
krzem	2,40%		

Wśród dalszych pierwiastków, występujących w ilościach śladowych, znajduje się również glin²⁹. Chociaż ta pierwsza analiza chemiczna przedstawia tylko skład chemiczny powierzchni sztyletu, laik choćby częściowo obyty z chemią lub metalurgią wie, że przy tak wysokiej zawartości tlenu tenże sztylet już dawno temu powinien był zostać zniszczony przez rdzę. Atmosfera planety Ziemi warunkuje łączenie żelaza z tlenem z powietrza i wody, co prowadzi nieodwołalnie do korozji. Mówiąc krótko: kawałek żelaza, o którym mowa, przerdzewiałby szybko i niepowstrzymanie.

Tak jednak się nie stało. Być może ów niezwykły stop wytwarza swego rodzaju „powłokę o właściwościach naprawczych”, która samoczynnie wyrównuje rysy oraz inne powierzchniowe uszkodzenia. W tej sytuacji niezwykle pouczające byłoby pobranie próbki z wnętrza *kili* i poddanie jej analizie. Jednakże wzbrania się przed tym, jak może, właściciel, ponieważ ten sztylet jest bardzo wartościowym dziełem sztuki, które powinno pozostać w stanie nienaruszonym.

Bez względu wszakże na powyższy aspekt już powierzchniowa analiza składu chemicznego dowodzi, że sztylet kryje w sobie sekret. Nie tylko zaprzecza naszej wiedzy o technice w dawno minionych epokach, ale także stwarza poważne wyzwanie technologiczne dla nas, ludzi żyjących w XXI wieku. Obecnie przy zastosowaniu zwykłych metod otrzymanie stopu żelaza o tak wysokiej

zawartości tlenu jest niemożliwe.

Czy zatem to *know-how* – dzisiaj całkowicie utracone – pochodzi z innego świata?!

I już na koniec należałoby jeszcze zauważyć, że tego rodzaju świadectwa wysokorozwiniętej techniki wytopu żelaza nie występują wyłącznie na subkontynencie indyjskim. W Muzeum Egipskim w Kairze, w centralnej witrynie sali z grobowcem słynnego faraona Tutanchamona (lata panowania 1347-1339 p.n.e.), znajduje się pozbawiony śladów rdzy sztylet wykonany ze stali szlachetnej. Stal ta ma jakość, jaką dzisiaj można osiągnąć tylko w warunkach wysokiej próżni.

Wspomniany sztylet ze szlachetnej stali jest wystawiony w gablocie obok kunsztownie ozdobionego sztyletu ze złota. Ten złoty jest wymieniony w specjalnym katalogu skarbów będących własnością Tutanchamona. Próżno jednak szukać w katalogu sztyletu ze stali. Jak należy się domyślać, dlatego że – zdaniem konserwatywnych archeologów – w drugim tysiącleciu przed naszą erą Egipcjanie nie dysponowali wiedzą, która pozwoliłaby im wytworzyć wysokiej jakości żelazo, nie wspominając już nawet o stali szlachetnej. Pozostaje więc pytanie, dlaczego sztylet po prostu nie zniknął? Naukowy establishment oszczędziłby sobie wtedy przynajmniej niewygodnych pytań oraz ryzykownych spekulacji ze strony ludzi spoza branży oraz osób myślących niekonwencjonalnie. Podobnie ma się sprawa z kolejnym obrazoburczym i burzącym uznany ogląd świata artefaktem, jaki przed ponad 100 laty znaleziono u wybrzeży pewnej, do tamtej pory niemal nieznannej, wyspy.

3

„NICZYM ODRZUTOWY MYŚLIWIEC W GROBOWCU TUTANCHAMONA”

TECHNIKA KOMPUTEROWA W STAROŻYTNOŚCI

*Obowiązkiem nauki nie jest odsuwanie na bok faktów,
ponieważ wydają się one niezwykle, sama nauka zaś
nie jest w stanie tych faktów wytłumaczyć.*

Alexis Carrel (1873-1944), lekarz, biolog i laureat Nagrody Nobla

Stop! No photograhps here, mister! Stop! Temu ostro sformułowanemu nakazowi towarzyszyła dłuższa słowna tyrada w języku greckim, w której i pewnością nie użyto eleganckich sformułowań ze słownika dobrze wychowanej damy. Przysadzista, czarnowłosa pracownica ochrony muzeum pękała ze złości, z całą pewnością moje zachowanie było sprzeczne z przepisami.

Czas popełnienia przestępstwa: poniedziałek, 16 października 2006 roku. Miejsce: szacowne i wiekowe Muzeum Narodowe w Atenach, stolicy Grecji, słynne między innymi z Sali Mykeńskiej, w której są wystawiane unikatowe precjoza, jak maska grobowa legendarnego króla Agamemnona, odkryta przez nie mniej sławnego badacza starożytności, Heinricha Schliemanna (1822-1890), który w latach 1874-1876 kierował pracami wykopaliskowymi w Mykenach.

Lecz znaleziska z sięgającego epoki brązu grodu i miasta w Argolidzie interesowały mnie równie mało, co brązowy posąg Posejdona z Artemizjonu, też jedna z wielkich atrakcji Muzeum Narodowego. W te mury przywiódł mnie inny eksponat, dlatego złamałem kategoryczny zakaz fotografowania. Byłem w pełni świadom, że pracownica muzeum, wypełniająca sumiennie swoje obowiązki, najchętniej by mnie ukamienowała i ukrzyżowała. We wszystkich muzeach świata jedna rzecz jest bowiem niezmienna: próby sfotografowania eksponatów, które nie pozostają w zgodności z konwencjonalnym obrazem przeszłości, podejmowane przez ludzi spoza branży, zawsze spotykają się z bardzo gwałtowną reakcją.

W tym przypadku chodzi o sensacyjny artefakt, który przez prawie 2000 lat oczekiwał na odkrycie na dnie morza we wraku zatopionego statku. Jest przykładem wysokorozwiniętej technologii z czasów, jakich nie kojarzymy z technicznym wyrafinowaniem. Jestem pewien, że niemało archeologów najchętniej ponownie zatopiłoby w morskiej głębinie ten przeklęty obiekt, gdyby się dało, po wieczne czasy.

SZTORM NA MORZU EGEJSKIM

Na wodach Morza Egejskiego między bardzo lubianą dziś przez turystów wyspą Kretą a położo-

na południe od półwyspu Peloponez wyspą Kithira leży wyspa Antikithira. Podczas Wielkanocy w 1900 roku na tym skrawku łądu w morskiej kipieli szukał ocalenia wraz z załogą kapitan Demetrios Condos, właściciel statku poławiającego gąbki. Marynarze uciekali przed nadciągającym sztormem i dawali z siebie wszystko, by dotrzeć bezpiecznie do brzegów Antikithiry.

Zdjęta rozpaczą załoga statku walczyła z szalejącym żywiołem i z coraz wyższymi z minuty na minutę falami przybojowymi. Gdy nagle statek przechylił się mocno na burzę, załoga rzuciła się w panice do szalup ratunkowych. Jednak kapitan Demetrios Condos powstrzymał swoich ludzi, gdyż zamiana w miarę bezpiecznego statku na małe jak łupinki orzechów szalupy ratunkowe byłaby dobrowolnym samobójstwem. Tylko na pokładzie statku mieli realne, chociaż niezbyt wielkie szanse dotarcia do zbawczej wyspy Antikithiry.

Marynarze wierzyli słowom w kapitana i czynili, co mogli, zdobywając się na ponadludzki wysiłek. Antikithira jest z dawien dawna znana wśród wilków morskich z tego, że stanowi przeszkodę dla potężnych sztormowych fal często przetaczających się po Morzu Egejskim. Kiedy udało się im w końcu dotrzeć do brzegu, sztorm przestał zagrażać życiu. Wysiłek opłacił się: dotarli do wyspy ostatkiem sił na poważnie uszkodzonym statku. Poza własnym życiem nie zdołali uratować zbyt wiele, statek, niemal wrak, został wyrzucony na brzeg przez szalejące fale.

W ciągu dwóch pierwszych dni po przymusowym wejściu na mieliznę kapitan i jego ludzie zajęci byli w głównej mierze naprawianiem uszkodzeń kadłuba spowodowanych przez sterczące tuż pod wodą skały. Kiedy jednak wykonano wszystkie prace, wdała się nuda. Skazani na bezczynność marynarze przyglądali się bezradnie sztormowi szalejącemu bez ustanku wokół Antikithiry, który odsuwał w bliżej nieokreśloną przyszłość perspektywę opuszczenia wyspy i szczęśliwego powrotu do domu. Dla kapitana Condosa i jego poławiaczy gąbek oznaczało to przede wszystkim poważną stratę w zarobkach, jako że tereny, na których poławiali gąbki, stały się na razie niedostępne.

Sytuacja ta do tego stopnia dręczyła ludzi, nienawykłych do lenistwa, że mimo wciąż niespokojnego morza zaczęli napierać na kapitana, by zezwolił na wcześniejsze wyjście w morze. Kapitan wiedział, że groziło to ponownym uszkodzeniem statku i jego ostateczną utratą, nie chciał jednak narazić się na ryzyko buntu załogi, polecił więc marynarzom wznowić nurkowanie. Dzięki temu chciał oszczędzić im nieznośnego nicnierobienia.

PANDEMONIUM NA DNIE MORZA

Elias Stadiatis, doświadczony poławiacz gąbek, pierwszy zszedł w nieznaną głębię. Nikt nie wiedział, czy znajdują się tam gąbki, czy zejście pod wodę w ogóle się opłaca, nikt bowiem z nich nigdy wcześniej nie nurkował w pobliżu tej wyspy. Zatem Stadiatis wsunął się w kombinezon do nurkowania i przywiązał w pasie ołowiane ciężarki, które ułatwiały pokonanie w głębinie siły wyporu wody. Opuścił się na linie ratunkowej, która rozwijała się z bębna razem z przewodem doprowadzającym powietrze. Po około 60 metrach Elias Stadiatis dotarł na dno morza – lina i przewód przestały się rozwijać.

Nagle stało się coś nieoczekiwanego. Lina ratunkowa zaczęła gwałtownie drgać, jak gdyby na dnie morza działo się coś dramatycznego. Czy nurek walczył o życie z rekinem? Jakie niebezpieczeństwo zajrzało marynarzowi w oczy?

Ludzie na pokładzie statku do połowu gąbek w pośpiechu wyciągali z powrotem linę ratunkową. Obawiali się najgorszego i stracili wiarę, że wyciągną z wody żywego kolegę; gdy nurek wyłonił się na powierzchni morza i został jak najszybciej wciągnięty na pokład, jego kompani zobaczyli z ulgą, że na szczęście nic się mu nie stało.

Marynarz wyglądał na całego i zdrowego, znajdował się jednak najwyraźniej w stanie silnego szoku. Drżał na całym ciele i mówił coś od rzeczy. Jego twarz wyrażała paniczny strach. Z tego, co mówił, dało się zrozumieć kilka oderwanych słów: „duchy”, „nagie kobiety”, „konie”.

Żaden z marynarzy nie był w stanie zrozumieć nieskładnego bełkotu Stadiatisa. Marynarska brać, jak wiadomo, jest wyjątkowo przesądna, dlatego nikt nie wyraził chęci, by jeszcze tego samego dnia zejść w morską głębinę. Prawdopodobnie w mętnych wodach kryje się złowrogie

pandemonium – budzące grozę duchy, morskie potwory oraz inne koszmary. Kapitan Demetrios Condos postanowił więc sam się przekonać, co ujrzal marynarz na dnie morza.

Sceneria, jaka ukazała się oczom kapitana na dnie morza przy brzegu Antikithiry w słabym świetle na głębokości 60 metrów, była wręcz niewiarygodna. W panującym półmroku dostrzegł postaci nagich kobiet i konia. Gdy jednak jego oczy przyzwyczyły się do półmroku, rozpoznał, że nie ma przed sobą świata z greckich mitów, lecz coś o wiele bardziej realnego.

Był to wrak statku z zamierzchłych czasów. A na jego pokładzie znajdowały się antyczne rzeźby i posagi.

KRWAWE ŻNIWO I TAJEMNICZE ZNALEZISKO

Później archeolodzy stwierdzili, że był to żaglowiec, który około 80 roku p.n.e. przewoził do Rzymu marmurowe rzeźby. W pobliżu wyspy Antikithiry zatonął wraz z całą załogą podczas jednego z takich sztormów, który zmusił do przymusowego wejścia na brzeg statek do poławiania gąbek Demetriososa Condosa.

Posagi te w przyćmionym świetle sprawiały doprawdy upiorne wrażenie. Gdy kapitan wyłonił się na powierzchnię morza i opowiedział o tym, co zobaczył, załozde, panika ustąpiła. Wręcz przeciwnie, wzięła górę grecka smykałka do interesów. Cała załoga wykazała gotowość wydobywania z dna cennego ładunku zatopionej galery. Brakowało im wszakże niezbędnego sprzętu technicznego, zatem z konieczności spędzili beczynnie na wyspie jeszcze kilka dni, aż sztorm w końcu ustał. Odbili z Antikithiry, biorąc kurs na port macierzysty.

Po powrocie kapitan Condos od razu przystąpił do organizowania wyprawy wydobywczej. Przygotowania trwały pół roku, zanim w listopadzie 1900 roku statek wraz z załogą mógł wyruszyć do miejsca, gdzie odnaleziono wrak starożytnego statku. I chociaż kapitan pozyskał wsparcie greckiego rządu, prace wydobywcze ciągnęły się długo i ze skrajnym mozolem. Powodem było nie tylko niespokojne i często burzliwe morze w rejonie Antikithiry, ale także niedostatecznie sprawny w tamtym czasie sprzęt do nurkowania. Prace pod wodą okazały się bardzo trudne i skomplikowane. Do wszystkich tych niepowodzeń doszły jeszcze nieszczęśliwe wypadki – jeden z nurków zginął, dwóch innych odniosło ciężkie rany. Demetrios Condos zdecydował się więc przerwać na jakiś czas prace przy wydobywaniu zatopionego ładunku. Wznowiono je dopiero następczej wiosny.

Wszystkie skarby, jakie zdołał wydobyć na powierzchnię, wędrowały do Muzeum Narodowego Grecji w Atenach. Tamtejsi badacze starożytności byli szczególnie zadowoleni z antycznych rzeźb wykonanych z marmuru i brązu³⁴.

Początkowo nie zainteresowali się tajemniczym znaleziskiem, które, jak się później miało okazać, było zdecydowanie najważniejsze. Dopiero 17 maja 1902 roku jeden z czołowych greckich archeologów, profesor Spiridon Stais, zwrócił uwagę na pokrytą rdzą bryłę. Naukowiec zdziwił się ogromnie, gdy zobaczył, jak mu się wydało, coś na kształt kół zębatych, ukrytych za nadzartymi przez rdzę i pokrytymi morskimi osadami elementami wykonanymi z metalu.

Ponieważ całkowicie wykluczał ewentualność istnienia kół zębatych w I wieku przed naszą erą i był przekonany, że to jest po prostu przywidzenie, przyjrzał się dokładniej bezkształtnej bryle. Zdawał sobie sprawę, że przedwczesne rozebranie obiektu może doprowadzić do bezpowrotnej utraty ważnych elementów. Uświadamiał też sobie w coraz większym stopniu, że ten częściowo zeżarty przez rdzę konglomerat bez wątpienia musi być jakimś złożonym i skomplikowanym mechanizmem, na dodatek pochodzącym z epoki, która absolutnie nie mogła znać czegoś podobnego.

„TEN PRZEDMIOT JEST JEDYNY W SWOIM RODZAJU”

Ponieważ profesor Spiridon Stais pośród natłoku innych zajęć i obowiązków nie znalazł dość

czasu, by zająć się dogłębniej tym osobliwym znaleziskiem, artefakt powędrował ponownie do archiwum w piwnicach Muzeum Narodowego, zapakowany w zwykły karton z tektury. Z upływem lat popadł w całkowite zapomnienie. Miało upłynąć długich 56 lat, zanim w 1956 roku inny uczony potknął się o bezkształtną bryłę i przyjrzał się jej bliżej. Był to Brytyjczyk, Derek de Solla Price, profesor nauk historycznych na renomowanym Uniwersytecie Yale w New Haven, w amerykańskim stanie Connecticut.

Bryła, z której wystawały fragmenty kół zębatach, wprowadziła badacza w stan euforii. „Ten przedmiot jest jedyny w swoim rodzaju”, stwierdził na forum publicznym, „ponieważ nie istnieje nic, co da się z nim porównać. Nie istnieją też żadne wskazówki w tekstach antycznych. Przeciwnie. Opierając się na wszystkim, co wiemy o nauce i technologii epoki hellenistycznej, taki artefakt nie mógł w tamtych czasach w ogóle powstać”³⁵.

A jednak trzymany przez niego w dłoniach prastary mechanizm zaprzeczał, ternu ostatniemu stwierdzeniu.

Profesor de Solla Price przystąpił do pracy, posługując się najbardziej precyzyjnymi instrumentami chirurgicznymi, i z nieskończoną cierpliwością wyjmował najdrobniejsze okruchy rdzy oraz zanieczyszczenia. Im dłużej jednak pracował nad artefaktem, tym bardziej fantastyczne wydawało się to znalezisko. Uważał za wręcz niewiarygodną precyzję, z jaką wykonano poszczególne koła zębata. Stwierdzone niedokładności mieściły się w zakresie dziesiątych części milimetra. Nawet uwzględniając naszą współczesną techniczną skalę odniesienia, zębataki te wytoczono z niezwykłą precyzją. Czym jednak był cały ten, najwyraźniej wysoce skomplikowany mechanizm, złożony z kół zębatach (fot. 6-8)?

W ŻADNYM RAZIE NIE PROTOTYP

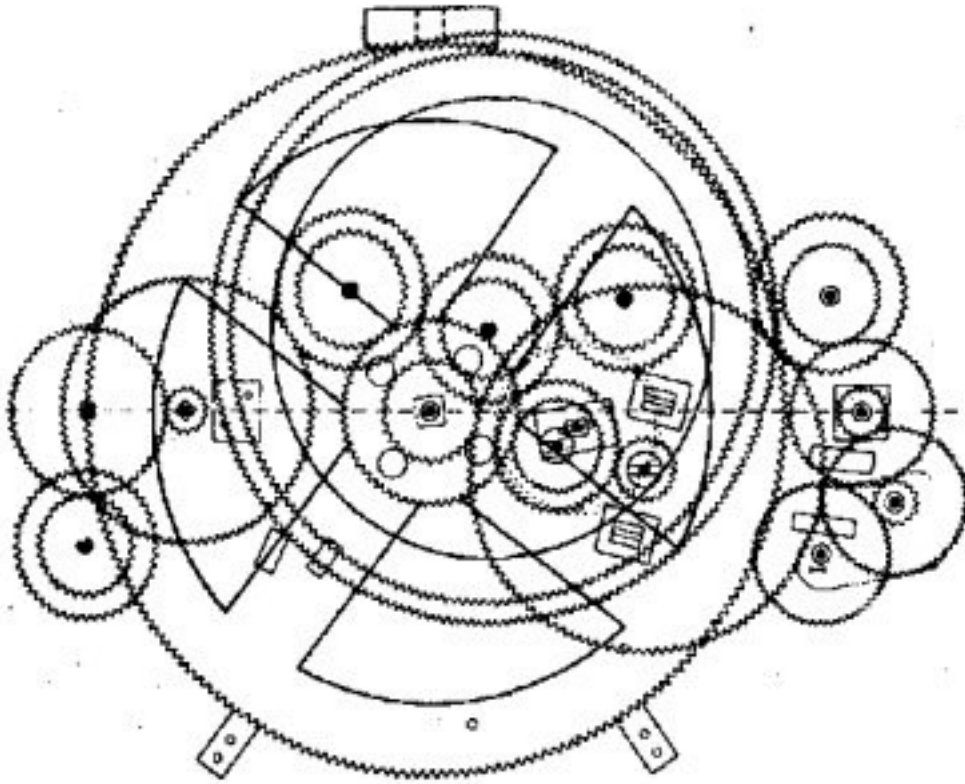
Profesor de Solla Price początkowo nie odważył się wyjąć mechanizmu z zapieczonej bryły osadów. Nie chciał ryzykować całkowitego jego zniszczenia. Z tego też powodu niezwykle znalezisko po raz kolejny powędrowało do archiwum Muzeum Narodowego w Atenach. Tym razem artefakt nie przeleżał w zapomnieniu tak długo – już w 1961 roku brytyjski profesor ponownie podjął przerwane badania.

Zlecił wykonanie licznych zdjęć rentgenowskich – niektóre z nich są obecnie prezentowane w muzealnej ekspozycji wspólnie z artefaktem oraz rekonstrukcją mechanizmu. Pozwoliły one spojrzeć z innej perspektywy na ten techniczny majstersztyk. Okazało się, że w skład przyrządu wchodziło co najmniej 40 kół zębatach. Na płycie głównej były zamocowane trzy osie. Cztery ustawne podziałki oraz ruchome wskazówki i zawierające napisy metalowe płyty pozwalająca wyciągnięcie wniosku, że mechanizm ten służył za liczydło [komputer] do ustalania pozycji ciał niebieskich i astronomicznych konstelacji. Wszystko to działo się w epoce klasycznego antyku, kiedy przecież takie artefakty nie mogły po prostu istnieć!³⁵

Na tym nie koniec. Ta „maszyna z Antikithiry” ma tak wysoki poziom złożoności, że raczej nie mogła stanowić prototypu, ale była zapewne w pełni dopracowanym produktem wysokorozwiniętej technologii, którą można uznać za porównywalną z naszą obecną techniką.

Według profesora Dereka de Solli Price'a przyrząd ten był małym komputerem, za pomocą którego obliczano ruchy Słońca, Księżyca oraz planet i gwiazd stałych. W magazynie *Scientific American* prezentuje poniższą opinię:

„Pewną trwogą napawa konstatacja, że na krótko przed upadkiem starożytnej cywilizacji hellenistycznej starożytni Grecy tak bardzo przybliżyli się poziomem rozwoju do naszej współczesnej epoki nie tylko w sferze myśli, ale także w sferze naukowej technologii. Tak czy owak, musimy po odkryciu „maszyny z Antikithiry” zasadniczo zweryfikować nasze poglądy na temat historii nauki”³⁶.



Rys. 2. Profesor de Solla Price odkrył, że przyrząd ten był małym komputerem, który miał służyć do obliczania ruchu planet, a także mógł być używany jako instrument nawigacyjny.

OPATENTOWANA PO RAZ PIERWSZY W 1828 ROKU

Na kongresie, który odbył się w 1969 roku w Waszyngtonie, Derek de Solla Price zaprezentował swój pogląd nadzwyczaj prowokacyjnie, formułując go w skrócie:

„Odkrycie czegoś takiego, jak ten antyczny grecki »gwiazdny komputer«, jest dokładnie tym samym, co znalezienie odrzutowego myśliwca w grobowcu Tutanchamona”³⁷.

Czy chciał przez to dać do zrozumienia, że technologia kryjąca się za tym niewiarygodnym cudem techniki nie może pochodzić z tego świata?

Inskrypcje, jakie znajdują się na tym starożytnym przyrządzie, wskazują, że ten produkt wysoko-rozwiniętej technologii powstał w 82 roku p.n.e. O wiele bardziej interesujące byłoby odkrycie, kto skonstruował pierwszy model owego planetarium w małym formacie, gdyż ten artefakt miał z pewnością prototyp. Pojawia się zatem ciąg pytań bez końca: Jakimi skomplikowanymi narzędziami zdołano wykonać tak precyzyjnie funkcjonujące, pasujące do siebie z niezwykłą dokładnością koła zębate? Z jakiej wytwórni wytapiającej metale pochodzą wysokiej jakości materiały, użyte do wykonania artefaktu? Nikt nie zna odpowiedzi.

Po dziś dzień profesor de Solla Price jest w równym stopniu zafascynowany co bezradny: „Cały ten mechanizm kryje w sobie liczne zagadki”. Zdjęcia rentgenowskie wykonane w latach 90. XX wieku za pomocą bardzo nowoczesnego sprzętu pozwoliły zajrzeć do wnętrza wysoce skomplikowanego mechanizmu. Najbardziej spektakularnym elementem mechanicznym tego artefaktu jest zdaniem naukowców tarcza obrotowa dyferencjału. To odpowiednik nowożytnej przekładni wyrównującej, która za pośrednictwem tak zwanego koła koronowego wprawia w ruch inne koła zębate z różną, dokładnie sprecyzowaną prędkością.

Trzeba pamiętać, że taka przekładnia, jedno z najbardziej skomplikowanych osiągnięć techniki w

czasach nowożytnych, została opatentowana dopiero w 1828 roku przez O. Pecquera. W 1896 roku po raz pierwszy zamontowano przekładnię wyrównującą w pojeździe mechanicznym i do dziś urządzenie to przeciwdziała różnicy w liczbie obrotów – stąd jego nazwa. Oprócz tego dyferencjał zapewnia samochodom stabilne zachowanie na łukach, chroniąc przed wypadnięciem z drogi na ostrych zakrętach³⁸.

Dopiero latem 2006 roku ów tajemniczy mechanizm wywieziono poza muzeum na wiele tygodni, by poddać go kolejnym gruntownym badaniom i pomiarom. Przy tej okazji zastosowano po raz pierwszy tomograf komputerowy do prześwietlenia artefaktu. Wprawdzie zagadka związana z jego pochodzeniem i technologią wciąż pozostaje nierozwiązana, jednak zaangażowani w badania uczeni nie odeszli nawet na krok od wcześniejszej oceny profesora de Solli Price'a:

„Przyrząd zbudowano jako chronometr oraz urządzenie nawigacyjne. Całą historię matematyki należy koniecznie napisać od nowa”³⁹.

Tak, dość powściągliwie, sformułowali ważny pogląd, ponieważ – jak dotąd uważano – starożytni Grecy nie wykazywali zainteresowania naukami eksperymentalnymi. Wszystkie ich intelektualne osiągnięcia dokonały się w „laboratorium, które mieściło się w głowie”. Wokół filozofów gromadzili się tłumnie uczniowie; zaś koryfeusze geometrii i matematyki wyłącznie teoretyzowali.

Jednak wbrew temu usankcjonowanemu pogładowi na historię ów mechaniczny przyrząd istnieje w obiektywnej i niedającej się podważyć rzeczywistości, stanowiąc jednocześnie wyzwanie rzucone konwencjonalnemu paradygmatowi. Innymi słowy: „gwiazdny komputer z Antikithiry” jest niewątpliwie tworem obcym, obiektem z innej epoki umiejscowionym w dobrze nam znanym greckim antyku, czy to nam się podoba, czy nie.

LĄDOWANIE NA INNYCH CIAŁACH NIEBIESKICH

Profesor de Solla Price, wychodząc z powyższego założenia, zalicza ten mechanizm do najważniejszych innowacyjnych konstrukcji wszech czasów, chociaż wciąż jeszcze mozolnie poszukuje wyjaśnienia i rozwiązania związanych z nim zagadek. Zostaną one – tyle wiemy na pewno – rozwiązane dopiero wtedy, gdy „oficjalna wiedza” zezwoli podążać nie tylko utartymi torami myślowymi, ale także nieortodoksyjnymi. Do tych ostatnich należy pogląd, że *know-how*, leżące u podstaw opisanego wyżej – technicznego przyrządu, pochodzi od inteligencji, która dysponowała potencjałem, o jakim starożytne cywilizacje mogły jedynie marzyć. Istnieją solidne podstawy do przyjęcia założenia, że zastosowaną w tym przypadku technologię stworzyły istoty wyprzedzające w rozwoju ludzi z początków trzeciego tysiąclecia.

Artur C. Clark, który cieszył się renomą zarówno trzeźwo myślącego naukowca, jak i odnoszącego sukcesy autora publikacji science fiction, ogłosił podobny pogląd, chociaż nie aż tak skrajny. Osobiste zapoznanie się z „gwiazdnym komputerem” poruszyło go do głębi:

„To w najwyższej mierze podniecające przeżycie, gdy ogląda się ten niesamowity relik. Wprawdzie nie ma nic bardziej bezproduktywnego niż snucie domysłów »co by było, gdyby...«, lecz mechanizm z Antikithiry niemal wymusza na nas tego rodzaju gdybanie. Chociaż liczy dobrze ponad 2000 lat, reprezentuje poziom techniczny, jaki rodzaj ludzki osiągnął dopiero w XVIII stuleciu. Niestety, ta skomplikowana aparatura opisuje jedynie pozorne ruchy planet, nie przyczyniając się do ich wytłumaczenia. Natomiast Galileusz, posługując się znacznie prostszymi przyrządami, jak równia pochyła, ruchome wahadła i spadające ciężarki, wskazał drogę do zrozumienia owych ruchów – i tym samym do współczesnego świata. Gdyby Grecy dysponowali w takim samym stopniu umiejętnością perspektywicznego postrzegania, co darem dokonywania odkryć, rewolucja przemysłowa rozpoczęłaby się już na 1000 lat przed Kolumbem, my zaś obecnie, zamiast wysyłać loty załogowe na Księżyc, lądowalibyśmy na innych ciałach niebieskich”⁴⁰.

Potem pozwolił sobie jednak na „pozaziemską wycieczkę”, formułując swobodny domysł, jakie jeszcze świadectwa zaawansowanej technologii mogą spoczywać na dnie mórz i oceanów. Jeśli istnieje jakakolwiek szansa, argumentował Clark, na odnalezienie rozbitego statku kosmicznego obcej cywilizacji oraz innych artefaktów pochodzenia pozaziemskiego, to raczej w morzach naszej planety, ponieważ pokrywają one prawie trzy czwarte powierzchni Ziemi⁴⁰. Postaram się udowodnić, że jednak wcale tak nie jest.

HOLOGRAFICZNE ILUZJE

Według mnie jest wprost przeciwnie: na dnie mórz nie znajdziemy takich osobliwych artefaktów. Strażników Graala współczesnej nauki zapewne przyprawilo o ból głowy rozważanie pozornie wydumanych wyjaśnień w takich przypadkach, jak mechaniczny komputer z 82 roku sprzed naszej ery. O ileż trudniejsza byłaby ich sytuacja, gdyby przed 50 laty zaprezentowano im aparaturę, jaka nawet w naszych czasach postępu wydaje się technologią przyszłości? Można poniekąd zrozumieć „strażników wielkiej pieczęci” oficjalnej nauki. Ich reakcja jest raczej typowa – stanowcze wzbranianie się przed uznaniem faktów i odsyłanie doniesień o nich do krainy baśni, bez gruntownego ich zweryfikowania.

Peter Kolosimo (1922-1978), autor książek fachowych, który oprócz działalności pisarskiej koordynował prace Stowarzyszenia Studiów Prehistorycznych NRD⁴¹, miał dobre kontakty z uczonymi z całego bloku wschodniego. Dzięki tym właśnie kontaktom uzyskał informacje na temat ekspedycji radzieckich badaczy, którzy w 1959 roku dotarli do wielu klasztorów w górach Tybetu. Wyprawa musiała pokonać liczne przeszkody i rozmaite komplikacje. Dwaj jej uczestnicy wpadli do głębokiej skalnej rozpadliny i odnieśli groźne dla życia obrażenia. W końcu jednak mimo wszystkich przeciwności naukowcy osiągnęli cel. W jednym z buddyjskich klasztorów, niedaleko świątyni Galdhan, Rosjanie spotkali sędziwego lamę, który wykazywał ogromną wiedzę na temat astronomii i podróży kosmicznych.

Lama był głęboko przekonany o istnieniu inteligentnych form życia na innych planetach i wyznał swoim gościom, że w określonych warunkach potrafi nawiązać kontakt z przybyszami z innych światów.

Oczywiście Rosjanie gorąco go namawiali, żeby im to udowodnił. Mnich początkowo odmówił. Po dłuższych naleganiach wszakże pozwolił dwóm Rosjanom uczestniczyć w niecodziennym seansie. Wcześniej musieli oni wykonać zestaw ćwiczeń medytacyjnych i przez kilka dni stosowali specjalnie dla nich przygotowaną dietę.

Gdy byli już – zdaniem lamy – gotowi do uczestnictwa w seansie, mnich zaprowadził Rosjan do swojej bardzo skromnie urządzonej celi. Ujął ich ręce i mocno się skoncentrował. Co jakiś czas aparatura nieznana Rosjanom wydawała śpiewne dźwięki, których echo nagle się urywało. To, co potem nastąpiło, dzisiaj można byłoby nazwać pojawieniem się obrazu holograficznego – niemal fizycznie namacalnej iluzji, która sprawia na widzu wrażenie oglądania trójwymiarowych obiektów. Obraz, który się pokazał w środku celi, początkowo zniknął, następnie przybrał postać wyraźnej sylwetki istoty nieco podobnej do człowieka, która wydawała się przyglądać trojgu ludziom. Ta dziwna postać stała w pozycji wyprostowanej, bez ruchu. Po chwili przed oczami widzów zmaterializowało się coś na kształt miniaturowej makiety Układu Słonecznego. Merkury, Wenus, Ziemia, Mars i wszystkie pozostałe planety krążyły po swoich orbitach wokół świecącego jaskrawym blaskiem Słońca.

DZIESIĄTA PLANETA

Zafascynowani Rosjanie, śledząc wzrokiem krążące małe kuliste bryły, policzyli je i zidentyfikowali. Lecz za orbitą planety, w której rozpoznali Plutona, wokół Słońca krążyła jeszcze jedna

planeta, położona najdalej. Zbędne jest w tym miejscu zapewnienie, że racjonalnie myślący i wyznający materialistyczny światopogląd naukowcy nie byli w stanie znaleźć żadnego rozsądnego wytłumaczenia tej niewiarygodnej wizji. Ponadto lama wzbraniał się, i to bardzo stanowczo, przed udzieleniem odpowiedzi co do pochodzenia tego tajemniczego układu planet. Powiedział tylko, że za Plutonem istnieje jeszcze jedna planeta – prawdopodobnie dawny księżyc Neptuna, który wypadł ze swojej orbity. Ta planeta zostanie odkryta w nadchodzących latach⁴².

I to już się stało. Na początku 2006 roku media doniosły, że amerykańscy astronomowie odkryli dziesiątą planetę naszego Układu Słonecznego. Jak oświadczyło kierownictwo NASA, instytucji zajmującej się lotami kosmicznymi, jest to ciało niebieskie złożone ze skał i lodu, o rozmiarach zbliżonych do rozmiarów Plutona i, co oczywiste, bardziej oddalone od Słońca niż dotychczasowa ostatnia planeta tego układu. Jak dotąd, astronomowie nie nadali jeszcze nazwy ciału niebieskiemu umiejscowionemu na najbardziej odległym skraju Układu Słonecznego. Zostało ono zarejestrowane pod roboczym oznaczeniem „2003 UB 313”.

Naukowcy przyjrzeni się bliżej tej planecie i doszli do wniosku, że jej średnica wynosi około 3000 kilometrów. Tworzą ją w około 70% skały oraz w pozostałych 30% zamrożona woda. Dla porównania średnica Ziemi na równiku wynosi 12.700 kilometrów, a nasz Księżyc ma średnicę 3500 kilometrów i jest nieco większy od nowo odkrytej planety. Temperatura na jej powierzchni wynosi około 240° poniżej zera⁴³.

Ale powróćmy jeszcze do owego przedziwnego seansu z 1959 roku, w którym zapowiedziano odkrycie dziesiątej planety.

Później jeden z naukowców, który uczestniczył w tym wydarzeniu, wyraził się następująco:

„Ani ja, ani mój kolega nie dowiemy się nigdy, czy ta postać rzeczywiście nam się ukazała, czy też była tylko tworem naszej wyobraźni. Nigdy też nie dowiemy się, czy ta postać naprawdę przybyła z kosmosu i ukazała nam się w formie projekcji, czy może przybrała kontury za sprawą siły woli lamy. Potrafimy wprawdzie opisać ją ogólnie, musimy jednak dodać, że nie było w niej nic ziemskiego... Wydaje się niemożliwe, by w ludzkiej wyobraźni powstał obraz istoty tak bardzo nam obcej, wręcz nieziemskiej”⁴².

Polityczne spory, które krótko potem ochłodziły stosunki radziecko-chińskie, oznaczały kres prowadzenia dalszych badań. Pozostaje nam jedynie spekulować, co tak naprawdę stary tybetański lama ukazał Rosjanom. Czy było to optyczne złudzenie, czy też halucynacja pod wpływem narkotyków, jakie dodano do posiłków gości? Skąd wzięła się osobliwa aparatura, która w określonych odstępach czasu wydawała owe melodyjne dźwięki? Czy był to jakiś rodzaj przenośnego komputera, za pomocą którego wygenerowano holograficzny obraz? Obraz zaprogramowany przez obcą inteligencję, spoza Ziemi, być może nieskończenie dawno temu.

Czy w tym przypadku również chodzi o artefakt wytworzony przez pozaziemską technologię? W przeciwieństwie do „maszyny z Antikithiry” urządzenie to nie czekało na przypadkowe wykopanie z ziemi lub (co postulował Artur C. Clarke) odkrycie na dnie morza. Znalazło bezpieczne schronienie w klasztorze tybetańskich mnichów, którzy z pewnością wiedzieli o wiele więcej, niż zdecydowali się wyjawiać.

4

MEKSYKANIE W KAPSUŁACH RATUNKOWYCH

O ASTRONAUTACH I INNYCH POSTACIACH W HEŁMACH

*Pomyłki jak słoma unoszą się na wodzie. Kto szuka pereł,
musi głęboko zanurkować.*

John Dryden (1631-1700), angielski dramaturg

Rdzenni mieszkańcy Nowej Gwinei, drugiej co do wielkości wyspy świata, żyli przez wiele tysięcy lat w spokoju, wolni od wątpliwych „osiągnięć” zachodniej cywilizacji, niemal takjak nasi przodkowie w epoce kamiennej. Wszystko to zmieniło się nagle, z dnia na dzień, kiedy podczas II wojny światowej Amerykanie wraz z sojusznikami wkroczyli do świata nietkniętego dotąd przez cywilizację. Pośrodku tropikalnej dżungli zbudowali prowizoryczne lotniska, na których lądowały wojskowe samoloty, dostarczające broń i żywność alianckim żołnierzom toczącym z Japonią bitwę na Pacyfiku.

W rezultacie konfrontacji z przybyszami z innych stron świata tradycyjny styl życia tubylczej ludności zmienił się zdecydowanie i na zawsze. Doszło do prawdziwego szoku kulturowego. Początkowo papuascy wojownicy, zachowując rezerwę, tylko przyglądali się osobliwemu zachowaniu białych. Nie mieli przecież pojęcia o meandrach światowej polityki i wojnie, nigdy też nie widzieli technicznych urządzeń, jakie pojawiły się ich oczom.

Żołnierze amerykańscy z protekcyjną wielkodusznością rozdawali tubylcom drobne prezenty, takie jak czekolada, guma do żucia, wybrakowane narzędzia lub znoszone wojskowe buty. Wszystkim tym nigdy wcześniej niewidzianym przedmiotom Papuasi nadali nazwę „cargo” – od angielskiego słowa oznaczającego „towar”. Towar przyciągał coraz więcej tubylców z dżungli w rejon pasów startowych, gdzie z chmur sfruwały ku ziemi ogromne srebrne ptaki bogów. Srebrne ptaki, z których brzuchów nieprzerwanym strumieniem płynęło „cargo”.

Człowiek jest i zawsze będzie materialistą, bez względu na to, czy mieszka w betonowej pustyni wielkich aglomeracji, czy też egzystuje w monsunowej dżungli. Mieszkańcy dżungli w okolicach Palaver odbyli długą naradę w swoich chatkach i wpadli na wspaniałą myśl. Powinni postępować dokładnie tak samo, jak owi tajemniczy przybysze, a wtedy „ptaki z niebios” będą dostarczać również im cenne dobra.

I tak zrobili. Na polanach w deszczowym tropikalnym lesie ubijali nagimi stopami pasy startowe na gliniastej ziemi. Długie pale bambusowe miały imitować anteny, a szamani wypowiadali słowa zaklęć, przystawiając do ust przepołowione orzechy kokosowe, czego pierwowzorem były zapewne mikrofony. Na wyspie Wewak powstało regularne „lotnisko” z „samolotami”, które wykonano z drewna i słomy (fot. 9). Wkrótce tubylcy zaczęli ćwiczyć musztrę, z bambusowymi drągami na

ramieniu w charakterze karabinów oraz w „stalowych” hełmach na głowach, wykonanych z pancerzy żółwi^{44,45,46}.

To przykład technologii rozumianej opacznie. Z dawien dawna człowiek starał się naśladować wszystko, co uznał za pożyteczne dla siebie, a co podpatrzył u innych. Świadczy o tym choćby osiągające coraz większą skalę szpiegostwo przemysłowe. Pozostały zdumiewające relacje i zdjęcia filmowe z lat 40. XX wieku ukazujące kulty cargo pierwotnych mieszkańców Nowej Gwinei. W czasach dawno minionych również dochodziło do podobnych konfrontacji międzykulturowych, czego dowodem są liczne dzieła artystyczne, świątynie i inne budowle sakralne. Wspólnym mianownikiem była cześć oddawana bóstwu.

KRONIKI INDIAN CAKCHIQUÉL

Oto kolejny przykład dotyczący tematu tego rozdziału. Indianie Cakchiquel, stanowiący odłam etniczny Majów, zamieszkują wyżyny Gwatemali. W 1954 roku uniwersytet w Oklahomie opublikował pochodzące z XVI wieku kroniki sporządzone przez ten lud. Zawierały relacje o pojawieniu się mitycznych istot przybyłych z bardzo daleka; były to brzmiące niczym baśń opowiadania o charakterze i obyczajach tych „bogów”.

Gdy jednak zaczęto zapoznawać się dokładnie z tymi kronikami, stwierdzono, że Majowie z grupy Cakchiquel nie opowiadali niestworzonych historii. Opisywali w kronikach pierwsze kontakty z hiszpańskimi konkwistadorami. To ci zdobywcy w oczach Indian Cakchiquel zyskali status istot otoczonych tajemnicą, pochodzących z zamierzchłej przeszłości, o których opowiadały najdawniejsze mity i przekazy ustne. Historyczna rzeczywistość została przedstawiona – w naszych oczach – jako baśń. Stąd już blisko do sformułowania wniosku, że liczne teksty, ale również dzieła sztuki, dotąd interpretowane właśnie w kategoriach „mitu”, opierają się na rzeczywistości błędnie przez nas pojmowanej⁴⁷. To samo odnosi się do błędnie rozumianej technologii.

Jednym z najbogatszych źródeł tego rodzaju świadectw opacznie rozumianej technologii jest Ameryka Środkowa, a zwłaszcza Meksyk i Gwatemala. Właśnie tam też zanurzyłem się głęboko w tajemniczą przeszłość. Moje poszukiwania zostały uwieńczone pozytywnym wynikiem. „Zejście w głębinę”, by znaleźć perły – to, co nieznanne i sekretne – stokrotnie mi się opłaciło.

BOGOWIE W SKAFANDRACH ASTRONAUTÓW

Dawni mieszkańcy Ameryki Środkowej byli doskonałymi obserwatorami. Na niezliczonych rzeźbach, jakie wyszły spod ich rąk przed tysiącami lat, utrwalili szczegóły mające techniczny charakter. Ich fascynacja udziela się nam, ludziom współczesnym. Na peryferiach miasta Villahermosa, stolicy meksykańskiego stanu Tabasco, jest usytuowany archeologiczny park La Venta. Umieszczono tam wiele interesujących znalezisk z ruin osady o tej samej nazwie, do której dostęp nawet dzisiaj jest trudny, gdyż jest położona w odległości 150 kilometrów od Villahermosa na mokradłach, na których roi się od komarów. W parku, pośród klatek z drapieżnikami, ptasich wolier oraz wybiegów dla krokodyli, stoją ważące ponad 20 ton rzeźby przedstawiające głowy Olmeków. Część głów nosi mocno dopasowane hełmy. Głowy, znalezione w okolicy Villahermosa, umieszczono w parku i muzeum pod gołym niebem, są bowiem zbyt ciężkie, by dało się je przetransportować do stolicy Meksyku.

Jednym z obiektów wystawianych w parku La Venta jest dobrze wykonana kopia; oryginał znalazł się w Narodowym Muzeum Antropologii w mieście Meksyk. Do literatury fachowej wszedł pod nazwą Monolit Smoka. Nadzwyczaj precyzyjnie obrobiony, przedstawia siedzącą ludzką postać w hełmie ochronnym, którego nie sposób nie zauważyć. Wokół tej postaci jest owinięty smok lub wąż. Postać ma pochylone plecy, a jej stopy znajdują się wyżej niż pośladki. Nad głową owej sylwetki widać czworokątną skrzynię. Człowiek ów trzyma w lewej ręce kij, a prawą unosi jakiś

przedmiot mający kształt żelazka.

Do tej samej kategorii zalicza się głowy w hełmach, które można podziwiać w Museo Popol Vuh w mieście Gwatemala. Głowy sprawiają wrażenie, jakby tkwiły za szklaną osłoną, a pod nosem miały umieszczone jakieś techniczne urządzenie. W tym samym muzeum eksponowane są również misternie zdobione wazy, na których przedstawiono postacie „niebiańskich nauczycieli”. W dłoniach dzierżą oni niezidentyfikowane przedmioty, a ich głowy również są okryte osobliwie ozdobionymi hełmami⁴⁸.

Do dzisiaj nieprzebadane pozostają rozległe lasy deszczowe półwyspu Jukatan. Ich liściaste baldachy mogą osłaniać wciąż nieodkryte miasta Majów. Przyszłe pokolenia archeologów czeka jeszcze ogrom pracy. Lecz nawet te już odkryte miejsca dostarczają nam „niewygodnych” artefaktów, których istnienie trudno pogodzić z utrwalonym oglądem świata. Dobrym przykładem takich artefaktów są obiekty w Uxmal, oddalonym zaledwie o godzinę jazdy autem od Meridy. Dojechać tam można dobrze utrzymaną trasą krajową. Najbardziej wyróżniającą się budowlą w Uxmal jest Piramida Wrózbity wzniesiona na owalnej podstawie; na jej szczyt prowadzą bardzo strome stopnie. Przed paroma laty zabroniono wchodzenia na stopnie tej piramidy, ponieważ spadło z nich kilku turystów.

Za tą piramidą znajduje się duży teren o zarysie prostokąta. Jedna z jego stron graniczy z tak zwanym Domem Mniszek. Jak w przypadku innych archeologicznych stanowisk, i tutaj nazewnictwo jest kwestią całkowicie dowolnego wyboru. Tę nazwę nadali hiszpańscy zdobywcy Ameryki i nie mówi ona niczego o rzeczywistym przeznaczeniu tej budowli. W pobliżu wznosi się kolejny budynek o całkowicie pozbawionej sensu nazwie: Pałac Gubernatora. W nowszych czasach rozpoznano w nim obserwatorium astronomiczne.

Po przyjrzeniu się bliżej zewnętrznej elewacji Domu Mniszek (fot. 12) można dostrzec na niej wizerunki licznych głów w hełmach, do złudzenia przypominających współczesne kaski ochronne, osłaniające także przed urazami podbródek. Któż jednak w zamierzchłych czasach nosił tego rodzaju charakterystyczne ochronne nakrycie głowy, które dzisiaj wkładają piloci odrzutowych myśliwców lub astronautów?

POSTAĆ O SKOŚNYCH OCZACH W HEŁMIE NA GŁOWIE

Istniejący do dziś lud Majów, chociaż podzielony na liczne etniczne grupy, żył niegdyś na obszarach, które obejmowały sporą część obecnego Meksyku, Gwatemalę i Honduras. Każdego roku tłumy turystów z Zachodu zwiedzają najważniejsze ośrodki dawnej kultury, przede wszystkim Tikal, Palenque oraz Chichen Itza. Znacznie mniej znany jest fakt, że również na terenie Belize (wcześniej był to Honduras Brytyjski) znajdują się warte zobaczenia zabytki Majów. Nieliczni turyści docierają tam szlakiem pełnym przygód, ponieważ Belize, kraj położony nad brzegiem Morza Karaibskiego, stał się stacją przeladunkową narkotyków produkowanych w Kolumbii oraz w innych krajach Ameryki Południowej. W odległości około 135 kilometrów od stołecznego miasta Belize znajdują się dopiero częściowo odkopane ruiny osady Xunantunich. Tam też z wiecznie zielonej dżungli wystaje górski masyw, zwieńczony cokołem piramidy wysokości 42 metrów, nazywanym El Castillo. Po wschodniej stronie piramidy wzrok przykuwa imponujący relief w stiuku, który zajmuje całą szerokość fasady. Przedstawia symbole nasuwające na myśl skojarzenia z urządzeniami technicznymi. Dominującym elementem jest twarz, którą archeologowie nazwali maską boga słońca. Według mnie wygląda raczej jak głowa astronauty w hełmie; nad jego ustami można rozpoznać obiekt podobny do mikrofonu⁴⁹.

Jednak nie tylko na monolitach i całych fasadach przedhistoryczni artyści z obszaru Ameryki Środkowej pozostawili wizerunki głów i postaci, które bardziej przypominają pilotów i astronautów niż kapłanów i szamanów. Liczne posągi i figurki, o wyraźnie rozpoznawalnych detalach typowych dla stroju astronauty, stanowią zagadkowe dziedzictwo legendarnych pradziejów. Na przykład przed kilkoma laty odkryto w Meksyku figurę z piaskowca przedstawiającą „boga” w hełmie, który wygląda jak astronauta, a rysy jego twarzy nieomylnie wskazują, że jest to przedstawiciel rasy

żółtej.

Para amerykańskich badaczy, doktor Milton A. Loeff i jego żona, odkryli tę figurkę w miejscowości Xochipala w stanie Guerrero. Powinna ona odmienić nasz ogląd świata, jeśli nie stanie się, jak wiele innych tego rodzaju znalezisk, kolejnym wielkim nieobecny obiekt starannie przemilczany. Mająca 17 centymetrów wysokości statuetka, datowana w przybliżeniu na okres między 1150 a 100 rokiem przed naszą erą, ma na głowie ściśle dopasowany hełm. Widać też wyraźnie jej skośne oczy. Funkcjonalnie rozwiązane i jednocześnie fascynujące w swojej prostocie jest połączenie hełmu z tułowiem – ma ono formę kryzy wokół szyi. Można odnieść wrażenie, że hełm został połączony z jakimś rodzajem skafandra. W opisie „figurki w hełmie”, znajdującej się obecnie w rękach prywatnych, czytamy:

„Statuetka ta, o naturalnych proporcjach, ma rysy twarzy Olmeków; jej głowę otacza wykonany z prawdziwą maestrią okrągły hełm”.

Jednak dalej następuje opis cech zwierzęcych tam, gdzie tych cech w żaden sposób nie można się dopatrzeć.

„Zwierzęce stopy oraz »ogon«, który zwisa u pasa, pozwalają na wysunięcie domysłu, że postać ta jest przebrana w kostium jaguara i uczestniczy w jakimś ceremonialnym tańcu”⁵⁰.

Owa statuetka, jak sądzę, jednak o wiele bardziej przypomina astronautę niż człowieka w kostiumie drapieżnego kota. Niech zresztą czytelnik sam zdecyduje, z czym mu się kojarzy figurka z piaskowca o uderzająco współczesnym wyglądem. Obraz mówi więcej niż 1000 słów. Posążek jest przedstawiony na fot. 10 i 11.

Podobnie ma się sprawa z miniaturową głową mierzącą zaledwie 40 milimetrów, znalezioną w trudno dostępnej jaskini w Andach, w Ekwadorze. Także tę głowę nakrywa hełm o nowoczesnym wyglądzie. Charakterystyczne wypukłości widoczne po prawej stronie hełmu – w przypadku produktu współczesnego – można interpretować jako „zintegrowany system komunikacyjny”, natomiast zgrubienie w rejonie szyi – jako hermetycznie szczelne połączenie hełmu ze skafandrem. Archeolodzy datują to dzieło sztuki na okres kultury La Tolita i lata od 600 do 400 p.n.e. Są ponadto zdania, że miniaturowa główka służyła celom kultowym, cokolwiek miałyby to znaczyć. Z perspektywy epoki podboju kosmosu spoglądamy nieco inaczej na to znalezisko. Należałoby przynajmniej postawić pytanie, co właściwie w deszczowym lesie Ekwadoru czy w ruinach osad Majów Ameryki Środkowej robią artefakty o „wyglądzie astronautów”, pochodzące, co jest udowodnione, z epoki prekolumbijskiej⁵¹.

MORDERCZA GRA

Odkryto – i nadal się odkrywa – prastare statuetki oraz reliefy naścienne przedstawiające postacie w hełmach na głowie. Należy się spodziewać – jeśli rzeczywiście są to ślady technologii nie z Ziemi rodem – znalezienia wielu innych artefaktów w pradawnych osadach i miastach Ameryki Środkowej. Technologia przybiera różną formę. W przeciwnym razie należałoby uznać, że owe ochronne okrycia głowy wiążą się z jakimś tajemniczym kultem, być może z *tlachtli*, legendarną grą w piłkę, wymyśloną przez Azteków, w której używano kul z twardej gumy produkowanej z soku drzewa kauczukowego.

O tym, że gra ta była przeznaczona dla osób o silnych nerwach, przekonali się widzowie pokazowej rozgrywki jesienią 1528 roku na dworze hiszpańskim w Granadzie.

Hernan Cortes (1485-1547), zdobywca Meksyku, wysłany tam przez władcę Hiszpanii, wywiózł z podbitego kraju dla cesarza Karola V, oprócz ogromnej liczby zrabowanych złotych skarbów, także – dla rozrywki – drużynę azteckich graczy, którzy mieli zademonstrować dworzanom grę *tlachtli*, a także zaprezentować sportowe umiejętności.

Mecz rozegrano na prostokątnym dziedzińcu o wymiarach 40 na 15 metrów otoczonym murem.

U góry, w lożach, zasiadła panująca para wraz ze świtą. Widzowie nie oczekiwali pasjonującego widowiska, życie na królewskim dworze oferowało bowiem najprzeróżniejsze atrakcje.

Pogawędki ucichły jak nożem uciał, kiedy Aztekowie rozpoczęli mecz. To, co działo się na placu gry, zapierało dech. Czegoś podobnego Stary Świat jeszcze nie widział. W powietrzu wyczuwało się elektryzujące napięcie.

Doskonale wytrenowani Indianie grali kulą z nieznanego Hiszpanom, sprężystego materiału. Kula ważyła prawie 2,5 kilograma. Obowiązywały ścisłe reguły: twardej piłki nie wolno było uderzać dłońmi ani stopami, nie wolno też było odbić piłki o ziemię, a już w żadnym razie pozwolić na to, żeby leżała na ziemi. Dzięki błyskawicznym ruchom bioder oraz uderzeniom kolanami i łokciami piłka przez cały czas utrzymywała się w powietrzu. Indianie rzucali się na kauczukową kulę i odbijali ją biodrem, barkiem lub ramieniem. Zawodnicy, którym nie udało się przejść z piłką na drugą połowę boiska, otrzymywali punkty karne. Celem, do którego dążyły obie drużyny, było wrzucenie kauczukowej kuli do kamiennego kręgu, który znajdował się w polu gry tuż przy murze dziedzińca. Była to mordercza gra. Kości nosowe zawodników pękały, piszczele łamały się z tak potwornym chrzęstem, że damy dworu osuwały się w omdleniu w ramiona służby. Kilku graczy, bez zycia, zniesiono z placu gry, inni doznali ciężkich obrażeń głowy oraz rąk i nóg⁵².

KAPŁAN W FOTELU Z KATAPULTĄ

Kasków ochronnych gracze w *tlachtli* jednak nie nosili, my zaś możemy ponownie wdać się w rozważania, czy nie istnieją relikty o jednoznacznie technicznym charakterze, które są powiązane z podróżami kosmicznymi.

I taki relikwiarz rzeczywiście jest znany. Raz jeszcze Narodowe Muzeum Antropologii, usytuowane w zwiedzanej przez turystów dzielnicy stolicy Meksyku, okazuje się prawdziwym rogami obfitości. Zanim przekroczy się jego próg, na rozległym placu przed wejściem wzrok przykuwa wykonana z brązu kopia obiektu, w którym archeolodzy rozpoznali naczynie ceremonialne (fot. 13). Ekspонат współczesnemu człowiekowi przypomina o wiele bardziej dyszę dystrybutora, jaką dałoby się zastosować w układzie napędowym potężnych rakiet *Saturn 5*. W programie *Apollo* służyły one między innymi jako rakiety nośne, zdolne do wyniesienia na orbitę statku kosmicznego z załogą, której celem było wylądowanie na Księżycu. Rzeźba z brązu przed wejściem do muzeum służy jako tło zdjęć pamiątkowych oraz – niestety – kosz na śmieci, natomiast gliniane oryginały znajdują się w sali artefaktów kultury Tolteków, umieszczone na cokołach w kształcie piramidy. Mimo licznych i misternych zdobień, które – w przypadku wystających dookoła listew – można zinterpretować jako żebra chłodnicy, pozbawiony uprzedzeń widz odnosi wrażenie, że geneza owego obiektu ma charakter techniczny. Czy nieznanemu artyście był w pełni świadom tego, co w swoim dziele przedstawia?

Innym obiektem, jaki przyciągnął moją uwagę w październiku 2005 roku, przy okazji kolejnej podróży po Ameryce Środkowej, jest figurka, która siedzi na – lub wyrażając się poprawniej w – nad wyraz osobliwym pojeździe (fot. 14). Wehikuł ten dałoby się opisać jako „hybrydę” między kapsułą ratunkową a zadaszonym motocyklem, którego koła gdzieś się zawieruszyły. Ponadto figurka ma w ustach coś na kształt ustnika aparatu do oddychania. Mnie nasuwa się skojarzenie z nieznaną nam technologią, ale archeolodzy widzą w niej kapłana w trakcie rytualnych czynności. Bardziej trafne byłoby określenie „kapłan w fotelu z katapultą” – zwłaszcza że postać ta, która – jak gdyby dla własnego bezpieczeństwa – zasiadła w obiekcie będącym tworem niepojętej dla nas techniki, ma założone na plecach coś w rodzaju plecaka. Wyglądem przypomina on do złudzenia tornistry, jakie dźwigali astronauty z wyprawy *Apollo*, kiedy wybrali się na przechadzkę po Księżycu. Dłonie tajemniczej postaci spoczywają na instrumentach sterujących, które zamontowane są w przedniej części ramy pojazdu. Figurka przytrzymuje nogami – podobnie jak czyni się to w trakcie jazdy motocyklem – jakiś wygięty element, który łączy siedzenie z przodem ramy. Nie ma cienia wątpliwości: wszystko to sprawia wrażenie przemyślanej technicznej konstrukcji!

Oglądając tę wykonaną w kamieniu figurkę, mimowolnie przypomniałem sobie o projekcie

jednego z wielkich bawarskich producentów samochodów i motocykli. Otóż jest to projekt zadaszonego motocykla. Ten jednośląd, przeznaczony dla fanatyków bezpieczeństwa na drogach, ma formę przepołowionego samochodu. Niestety, po raz kolejny wypadł z planów produkcyjnych, gdyż uznano go za poroniony pomysł. Jednak niewielkie, misternie wykonane dzieło sztuki z Muzeum Antropologii w meksykańskiej metropolii daje asumpt do takiej właśnie współczesnej interpretacji.

„ZESTAW SŁUCHAWKOWY” W PIERWOTNEJ DŻUNGLI

Takie samo podejście mogłoby okazać się słuszne w odniesieniu do prekolumbijskich znalezisk, które dalej opiszę. W ich przypadku bardziej ekscytujące byłoby odwołanie się do jakiegoś kolejnego zapomnianego kultu niż dopatrywanie się w nich zaawansowanej technologii. Jesienią 2005 roku znalazłem się w Peten, położonej na północy prowincji Gwatemali, określanej mianem zielonego piekła. Jest to teren bardzo słabo zaludniony. W tym niewielkim środkowoamerykańskim kraju udział ludności wywodzącej się od Majów wynosi blisko 50%. Tutaj usytuowane są również liczne dawne miasta cywilizacji Majów, które pozostają nieznanne albo dotąd niezbadane. Można dotrzeć do nich drogą wodną, tak jak do osady El Ceibal, do której z najbliższej położonej miejscowości można dostać się tylko po dłuższej wyprawie łodzią nurtem rzeki Rio de la Pasión pełnej kajmanów.

Do samego brzegu rzeki sięgają rozległe gęste zarośla tropikalnego deszczowego lasu, wrzaski wyjców zaś zagłuszają hałas warkoczących silników doczepionych do łódek. Z miejsca, do którego przycumowaliśmy, szliśmy pod górę śliską ścieżką. Wzdłuż niej rosną olbrzymie drzewa kapokowe (ceiba) o charakterystycznych deskowatych korzeniach. Tam, gdzie zdoła przebić się słońce przez szpary w liściastym baldachimie, należy zachować dużą ostrożność. Żyją tu bowiem bardzo jadowite węże – żaraki lancetowate, które zachowaniem różnią się od innych przedstawicieli gadów. W odróżnieniu od większości węży żaraka nie rzuca się do ucieczki, słysząc nadchodzącego człowieka, lecz broni miejsca, na którym wygrzewa się na słońcu. Biada temu, kto nieopatrznie podejździe zbyt blisko. Jej ukąszenie prowadzi do śmierci już po kilku minutach na skutek porażenia mięśni oddechowych. Kto nie ma przy sobie serum, niech nie rzuca cumy na brzegu rzeki. Na szczęście uniknąłem spotkania z tym stworzeniem, które jednakże ma pełne prawo bronić swego naturalnego siedliska i przestrzeni życiowej. Nękany wyłącznie przez miriady komarów dotarłem do El Ceibal, jednej z niemal nieznanych jeszcze osad kultury Majów, usytuowanej w środku gwatemalskiej dżungli.

Za wyjątkiem wybrzuszenia, stanowiącego pozostałość po piramidzie, położonego pośrodku ruin, nie ma tu znaczących piramid, jak choćby w Tikal, Palenque czy innych wielkich świątynnych zespołach zabytków tej cywilizacji. Jest natomiast ogromna liczba steli, na których widnieją rysunki – niestety po części już zwietrzałe – nierzadko pozwalające na wyciągnięcie wniosku, że przedstawiają techniczne urządzenia. Hełmy na głowach to w zasadzie standard i nawet nie zasługują na dalszą wzmiankę. Jednakże „prety” ustawione przed ustami owych postaci w hełmach przywołują skojarzenie z nowoczesnymi mikrofonami. W niektórych zabytkach Majów są nawet widoczne całkiem współczesne zestawy słuchawkowe, bez których dzisiaj niemal żaden piosenkarz nie wybiegnie na scenę.

W tej części półwyspu Jukatan rzeki są – o czym już wspomniałem – głównymi szlakami komunikacyjnymi. Kolejna podróż wodnym nurtem, tym razem korytem rzeki Rio Usumacinto, zawiodła mnie z powrotem do Meksyku. Z położonej nad rzeką przygranicznej wioski Corozal jedzie się w kierunku zachodnim do Palenque, najbardziej tajemniczych ruin pozostawionych przez Majów. Po kilku kilometrach droga szutrowa rozdwaja się przed małą miejscowością San Javier i kończy na przystanku Nacal Ha. Stąd przez tropikalną dżunglę prowadzi prosta jak sznurek droga, po której odważają się jeździć zdezelowanymi autobusami Indianie z grupy Lakandonów, o bardzo jasnej cerze. Celem tej pełnej przygód wyprawy, odbywanej po części autobusem „odchudzonym” do tego stopnia, że zostały w nim tylko rama i siedzenia, jest święte miejsce Majów o nazwie

Bonampak.

Po przekroczeniu naturalnej polany, która służy za lądowisko dla małych samolotów, udaliśmy się na główny plac Bonampak. Miejsce to zostało odkryte w 1946 roku i jest od paru lat obiektem nieustannych prac renowacyjnych. Gdy stanie się na mającym ponad 300 metrów szerokości głównym placu, widać, że jest on otoczony 10 odrestaurowanymi dotąd świątyniami. Po prawej stronie zwiedzającego wznosi się Templo de las Pinturas z trzema pomieszczeniami i trzema wejściami. W każdym z tych pomieszczeń ściany i sufity są ozdobione malowidłami – w języku Majów z grupy Lakandonów nazwa Bonampak oznacza właśnie „malowane mury”. Niestety, na skutek działania światła od czasu otwarcia pomieszczeń niegdyś nasyczone barwy zaczynają blaknąć, w rezultacie czego szczegóły łatwiej rozpoznać na starych fotografiach oraz na bardzo udanej kopii Templo de las Pinturas, którą wzniesiono na odkrytym terenie Narodowego Muzeum Antropologii miasta Meksyk.

Spośród 10 odrestaurowanych świątyń jedna, usytuowana po lewej stronie, oferuje emocjonujące przeżycia. Bezpośrednio nad nadprożem widnieje paradny fryz o rozmiarach 50 na 80 centymetrów, na którym można rozpoznać zdumiewające techniczne urządzenia. Widać tam głowę w hełmie ze słuchawkami, od których wychodzą przewody sięgające niemal ust (fot. 15). Całość do złudzenia przypomina wspomniany już „zestaw słuchawkowy”, bez którego dzisiejszy muzyczny show-biznes przestałby funkcjonować. Lecz na tym nie koniec. Obie dłonie postaci uwiecznionej na tym fryzie obsługują za pomocą gałek jakieś przyrządy, które z całą pewnością pełnią określoną funkcję. Po lewej stronie przedstawionej sceny dwie osobliwe istoty przyglądają się temu, co się dzieje na reliefie.

CZŁOWIEK Z „RAMIONAMI ROBOTA”

Sceny, na których, przedstawione postacie bez wątplenia obsługują techniczną aparaturę, spotyka się w licznych zabytkach Majów niemal na każdym kroku. Zdecydowanie najbardziej charakterystycznym tego przykładem jest płyta nagrobna z Palenque, zarówno dawniej, jak i teraz budząca kontrowersje i szeroko dyskutowana. Na temat tego wspaniałego dzieła rzeźbiarskiego tyle już napisano i tyle o nim spekulowano, że w tym miejscu wspomnę je krótko. Nie mogę wszelako pominąć całkowicie milczeniem tej „kości niezgody archeologów”, choćby dla zachowania pełni obrazu.

Erich von Däniken w swoim debiutanckim dziele¹⁸ już o tym pisał i przedstawił swój pogląd na ten temat. Według niego być może przedstawiony jest tutaj kosmonauta w niewielkim pojeździe dostawczym. Wywołało to prawdziwą burzę gniewu i oburzenia w środowisku archeologów. Na tej płycie mogło być wyryte wszystko, z wyjątkiem motywów o tematyce astronautycznej – ponieważ nie powinno istnieć to, co istnieć nie może. Miałem to szczęście, iż wielokrotnie oglądałem płytę nagrobną umieszczoną głęboko pod Piramidą Inskrypcji. Być może jestem nieobiektywny, ale chyba każdy człowiek ma prawo do własnego osądu. Według mnie hipoteza, która mówi o kontekście technicznym, była i jest racjonalna i uzasadniona. Nie trzeba wcale odwoływać się do kultów, wydumanych alegorii oraz religijnych symboli. Przedstawiono tu scenę, której twórca owej płyty był naocznym świadkiem lub przynajmniej znał ją z relacji innych. Dlatego z prawdziwym trudem dostrzegam boga kukurydzy Yum Kox⁵³ w przedstawionej tu postaci, która manewruje jakimiś dźwigniami, co wyraźnie widać. Nie jestem też w stanie dostrzec składanego bogom w śmiertelnej ofierze młodzieńca z ludu Majów, który wpada w paszczę mitologicznego potwora⁵⁴. O wiele łatwiej przychodzi mi dojrzeć techniczne przyrządy niż „włosy z brody boga pogody”⁵⁵. Jedną rzecz pragnąłbym mocno podkreślić. W środowisku archeologów w żadnym razie nie panuje jednolity pogląd na temat tego, co przedstawiają reliefy na nagrobnej płycie. Zdania archeologów są w tym względzie bardzo podzielone. Lecz wszyscy przemawiają jak jeden mąż, gdy zachodzi potrzeba potępienia w czambuł hipotez o przybyszach spoza Ziemi.

Ponieważ pragnąłbym jak najkrócej wypowiedzieć się na temat płyty nagrobnej z Palenque, przypomnę w tym miejscu skromny fakt, że nikt z nas nie był obecny duchem i ciałem, gdy to

dzieło powstawało. Dopóki więc nie zostanie definitywnie rozstrzygnięte, która z niezliczonych teorii i hipotez okaże się słuszna, wszystkie sformułowane poglądy i teorie na temat tego, co przedstawia płyta znaleziona w deszczowym lesie na półwyspie Jukatan, powinno się poddawać dyskusji na równych prawach. Wymaga tego zwykła uczciwość. Rozmaite tabu oraz zakazy swobodnego formułowania poglądów nigdy nie przyczyniły się do wyjaśnienia jakiegokolwiek zagadki.

Na koniec przedstawię jeszcze jedno sensacyjne znalezisko z przebogatego dziedzictwa Majów. Wspomniałem już o Piramidzie Wróżbity z Uxmal, której strome stopnie budzą trwogę, oraz o głowach w hełmach. W odległości około 20 kilometrów na południowy wschód od Uxmal znajduje się osada Kabah. Obie miejscowości łączy ze sobą prosta droga wiodąca nasypem, którą jeszcze dzisiaj można jechać bez większego trudu. Koniec tego szlaku wyznacza „łuk triumfalny” wzniesiony z precyzyjnie dopasowanych do siebie kamiennych bloków. Odkąd półwysep Jukatan otworzono dla turystów i ruchu drogowego, trasa krajowa z Meridy do Campeche dzieli osadę na dwie części.

Budowlą, którą w Kabah wywiera największe wrażenie, jest mająca ponad 45 metrów długości Templo de Mascaras – Świątynia Masek, na której fasadzie widnieją setki kamiennych reliefów, nazwanych przez archeologów „maskami Chaca, boga deszczów z nosem w kształcie trąby” (fot. 16).

Nie udało mi się dojrzeć tam twarzy, a tym bardziej nosa w kształcie trąby. Zobaczyłem natomiast coś, co jest według mnie technicznym wyposażeniem przedstawionym w zdobieniach charakteryzujących się prostymi liniami. Jeszcze większe wrażenie zrobiły na mnie postacie ludzkie naturalnych rozmiarów. Pod zadaszeniem niedaleko wejścia do kompleksu świątynnego wykonałem zdjęcia takiej postaci w hełmie i z osłoną oczu. Owa postać z wielką uwagą spogląda na – najwyraźniej umiejscowione przed nim – jakieś urządzenie. Najbardziej uderzającą cechą owej figury są „ramiona robota” (fot. 17), podobne do tych, jakimi posługujemy się dzisiaj w laboratoriach, gdy manipulujemy substancjami radioaktywnymi lub silnie toksycznymi. Powyżej „ramion robota” znajdują się mankiety. Moim zdaniem wydają się przekonującą wskazówką, że postać, którą przedstawia posąg, ma założony na dłonie i przedramiona ochronny kombinezon. Logika nakazuje domniemywać, że nie są to naturalne kończyny górne⁵⁶.

Kto, świadomy zbieżności przedstawionych na tych wizerunkach scen z realiami doświadczalnych laboratoriów jądrowych lub chemicznych, ma odwagę widzieć w tej postaci kapłana celebrującego rytualne czynności? Jakżeż trzeba być zaślepionym, żeby z uporem zadawać kłam prawdom oczywistym. Przysłowie głosi, że królem ślepców jest jednooki. Zdejmijmy klapki z oczu i uwolnijmy się od zawodowej ślepoty, a wtedy uzyskamy bez porównania bardziej prawdziwy obraz świata!

5

DRAŻLIWY TEMAT: INŻYNIERIA GENETYCZNA

„DIZAJNERSKA FAUNA” STWORZONA RĘKĄ BOGÓW?

*Tempora mutantur et nos mutamur in illis.
Czasy zmieniają się, a my wraz z nimi.*

Sentencja starożytnych Rzymian

Zapewne nie było na świecie kultury, w której przed tysiącami lat nie istniał jakiś osobliwy kult, otaczający boską czcią przedziwne stwory o budzącym grozę wyglądzie, zwane chimerami. Istoty o dwojakiej naturze, po części ludzkiej, po części zwierzęcej, zasiedlały ziemię. Wywierające silne wrażenie ich wizerunki spotyka się we wszystkich muzeach na każdym kontynencie. Mity i legendy opowiadają o wojownikach mających tułów konia i żądło skorpiona, a także o istotach będących kobietami z rybnym ogonem. Były to budzące przerażenie monstra, do których ludzie z dawnych epok odnosili się zarówno z paniczną trwogą, jak i z nabożną czcią i które – mimo lub z powodu rozmaitych postaci, pod jakimi się pojawiały – miały jedną cechę wspólną: wszystkim przypisywano powstanie za sprawą perfidnego kaprysu bogów.

Zwłaszcza w historycznej spuściźnie Sumerów, Asyryjczyków i Babilończyków aż roi się od tego rodzaju hybryd, lecz także Hetyci, Egipcjanie i ludy z kręgu kultury kretańsko-mykeńskiej dobrze je znali⁷. Prastare rzeźby z położonych na wschód od Nowej Gwinei Wysp Salomona przedstawiają istoty z głową ptaka i torsem człowieka. Ich wielkie wytrzeszczone oczy spoglądają bezmyślnie w pustkę. Zdjęcia podobnych stworów – pół ptaków, pół ludzi – wyrzeźbionych w kamieniu na skale opadającej do morza, wykonałem niedaleko wygasłego wulkanu Rano Kao na owianej legendami Wyspie Wielkanocnej. Również w Państwie Środka – w Chinach – natrafiłem na kilka nieznanych mi dotąd sugestywnych przykładów chimer tego rodzaju, o czym dalej opowiem.

Zasadnicze pytanie dotyczące tych zagadkowych stworów o mieszanej naturze brzmi następująco: Czy są one wyłącznie poronionym tworem bujnej wyobraźni naszych praprzodków, czy może jednak w ich istnieniu kryje się cień prawdy? Te koszarne stworzenia naprawdę musiały – w mniemaniu ówczesnych ludzi – uchodzić za przerażająco realne, skoro były w ich życiu wręcz wszechobecne.

DOJMUJĄCY STRACH

Hybrydy są przedstawiane nie tylko na niezliczonych rysunkach, malowidłach, rzeźbach, rytach oraz utrwalone po wsze czasy w legendach i mitach. Również znani starożytni historycy rozwodzą

się na temat dziwacznych stworów. Euzebiusz z Cezarei (263-339 n.e.), wybitny biskup i jeden z ojców Kościoła, w swoim dziele *Kronika* napisał:

„I istniały także pewne potwory, których część, powstała sama z siebie, przybrała formy dające początek życiu: ludzi z dwoma skrzydłami, ponadto innych z czterema skrzydłami i dwiema twarzami lub z jednym tułowiem i dwiema głowami, kobiety i mężczyzn oraz istoty o naturze obojnaczej, męskiej i żeńskiej. I jeszcze inne z nogami kozła i rogami na głowie. I inne, o nogach konia, jak też z korpusem konia, jaką to postać miały centaury. I były również byki, z głowami ludzkimi i psimi, chodzące na czterech nogach, których ogon miał postać rybią i wychodził z zadu. A także konie z głową psa oraz ludzi i inne potwory z końskimi głowami i tułowiem człowieka oraz z rybimi ogonami. Do tego dochodziły wszelkiej postaci monstrialne stwory i ryby, i gady, i węże, jak też obfitość cudacznych istot, o przeróżnych postaciach i różnie uformowanych, których wizerunki widniały kiedyś, jeden obok drugiego, w świątyni Belosa”⁵⁷.

To, o czym pisze biskup Euzebiusz, wygląda na czystą fantazję. Jednak wizerunki tych stworów zachowały się dla potomności utrwalone w dziełach sztuki w różnych miejscach całego globu. Euzebiusz opisał te istoty szczegółowo dzięki egipskiemu kapłanowi imieniem Manetho. Kapłan ów objaśnił, że bogowie zesłali z niebios i nauczali ludzi. Wtedy też bogowie stworzyli przeróżne hybrydy, które niegdyś określano mianem „świętych zwierząt”.

Starożytni Egipcjanie mumifikowali nie tylko swoich bliźnich, głęboko wierząc, że dzięki temu znów powrócą oni do świata żywych, ale także psy, koty, ryby, ptaki i krokodyle. Poddawali mumifikacji również byki. Apis to byk czczony w starożytnym Egipcie jako wcielenie boga Ptaha, zwano go także Serapisem. Zabalsamowane zwłoki świętych byków umieszczano w Serapeum – rozległej podziemnej nekropoli znajdującej się w Sakkarze. Zachowały się tam największe ze wszystkich znanych nam sarkofagi. Wykonane były z wysokiej jakości granitu pozyskiwanego z kamieniołomów w Asuanie – odległego od Sakkary o 1000 kilometrów. Trudno wręcz sobie wyobrazić, jak odbywał się transport owych bloków granitu. Ciężar sarkofagów wynosił od 70 do 100 ton, a ich wieka od 20 do 30 ton. Kolejne krypty z „sarkofagami byków” znajdują się w Heliopolis, Baqarii i Abusirze niedaleko Gizy. O tym, że kiedyś w ich wnętrzu znajdowały się mumie byków, mówią archeolodzy oraz rzesza przewodników, przed którymi uciec w kraju nad Nilem jest wręcz niemożliwością. Jednak wszyscy oni nie mówią całej prawdy. W chwili otwarcia sarkofagi były puste albo zawierały brzydko pachnącą kleistą bitumiczną masę, w której tkwiły miliony drobnych fragmentów kości.

I tu pojawia się kolejna tajemnica. Oto w podziemnych kryptach w Abusirze odkryto dwie spore mumie świętych byków. Tak początkowo sądzono, ponieważ z głowy mumii wystawały bydłęce rogi, bandaże zaś, którymi owinięto mumie, były nietknięte. Gdy zabalsamowane szczątki zaczęto odwijać, zaskoczenie badaczy było kompletne! We wnętrzu domniemanych mumii byka leżały przemieszane bezładnie fragmenty kości przeróżnych stworzeń. Niektórych kości nie udało się przypisać żadnemu znanemu gatunkowi zwierząt. To, co wydawało się zabalsamowanym bykiem, okazało się w rzeczywistości stertą kawałków kości stworzeń połączonych lepką i ciągliwą masą bitumiczną oraz kilometrami lnianych bandaży, jakimi owinięto mumie⁵⁸.

I takie szczątki składano w sarkofagach z granitu. Były w nich lepiej chronione niż skarbcze w Fort Knox lub w Bank of England! Musiały mieć dla starożytnych Egipcjan wyjątkowo duże znaczenie, skoro podejmowali oni tak gigantyczny wysiłek, a poza tym w ludziach z tamtej epoki musiały wzbudzać strach, ogromny strach. W przeciwnym razie, dysponując takimi umiejętnościami mumifikowania zwłok, nie siekaliby owych stworzeń na drobne części, które ukryli w oszukańczym opakowaniu. Co naprawdę się w nim znajduje, skoro szczątki tego czegoś po jego śmierci posiekano na miazgę i zamknięto w ważącym wiele ton sarkofagu?

W poszukiwaniu odpowiedzi na powyższe pytanie zwróciłem uwagę na wydarzenia z przełomu wieków XX i XXI.

GREENPEACE WPADA WE WŚCIEKŁOŚĆ

W kwietniu 1987 roku Federalny Urząd Patentowy USA ogłosił, że w przyszłości będzie zapewniał ochronę patentową również „wielokomórkowym organizmom żywym”, których materiał genetyczny nie występuje w naturze. Jeszcze w tym samym miesiącu złożono 15 wniosków dotyczących organizmów zwierzęcych, jakie nie istnieją w przyrodzie. Na przykład genetykom z Uniwersytetu Kalifornijskiego udało się „stworzyć” metodami biotechnicznymi krzyżówkę owcy i kozy. Ta nowa istota wyhodowana w laboratorium ma przednią część ciała owcy i zad kozy. Krytyków, którzy dostrzegli w tym znak czasu, uspokojono deklaracją, że owo zwierzę stanowi jedynie prototyp⁵⁹, ostateczny wygląd zaś mieli jeszcze dopracować „dizajnerzy zwierząt”. Uprzedzając bieg wydarzeń, powinniśmy wprowadzić do słowników nowe pojęcie – „fauna dizajnerska”.

Przed świętami Bożego Narodzenia w 2000 roku aktywiści organizacji Greenpeace, zajmującej się ochroną środowiska, zorganizowali demonstrację przed siedzibą Europejskiego Urzędu Patentowego (EPA) w Monachium. Cóż takiego się wydarzyło, co wzbudziło wściekłość zażartych bojowników o czyste środowisko?

Trzeba przeczytać to dwukrotnie, żeby w pełni pojąć rangę sprawy. Greenpeace protestowała przeciwko przydzielaniu przez Europejski Urząd Patentowy patentów hybrydom między gatunkowym. Innymi słowy – wytwarzanym w przyszłości metodami inżynierii genetycznej wyższym organizmom, które będą wykazywały cechy genetyczne zarówno ludzkie, jak i zwierzęce.

Kilka tygodni wcześniej, w październiku 2000 roku, Europejski Urząd Patentowy twierdził jeszcze, że ze względów etycznych zasadniczo nie będą wydawane patenty na tworzenie hybryd człowieka i zwierząt. Jednak w wyniku prowadzonego przez nich dochodzenia działacze z Greenpeace przekonali się, że deklaracje te można włożyć między bajki. obrońcy środowiska stwierdzili bowiem, że wydano patent na tworzenie embrionów, w których skład wchodziły komórki zarówno ludzkie, jak i zwierzęce.

Był to wierzchołek góry lodowej. Już w 1999 roku EPA wydał australijskiej firmie AMRAD patent nr EP 380646. Dotyczył on metody izolowania i hodowli komórek embrionalnych człowieka i zwierząt oraz zastosowania tych komórek do stworzenia hybrydy, czyli organizmu o mieszanej naturze. Inne zezwolenia patentowe, jak odkryła to Greenpeace po październiku 2000 roku, dotyczyły embrionalnych komórek macierzystych człowieka, myszy, ptaków, owiec, świń, krów, kóz i ryb. Komórki te są przeznaczone do hodowania zwierząt hybrydowych. W tym przypadku powstawałyby międzygatunkowe mieszańce, w których poszczególne części ciała i narządy pochodziłyby od zwierzęcia lub od człowieka. Zastosowanie takiej metody wciąż jest zakazane na terenie Niemiec, ale nie we wszystkich krajach Unii Europejskiej, w których patent ten obowiązuje⁶⁰.

ŚWIADOME WPROWADZANIE W BŁĄD I TUSZOWANIE FAKTÓW

Po przejrzaniu oryginalnej dokumentacji ponad 100 wniosków patentowych Greenpeace była w stanie wykazać, że w 1999 roku doszło do wydania przez Radę Nadzorczą EPA decyzji niedozwolonej prawem oraz do przyznania patentu na tworzenie organizmów zwierzęcych, w których znajdowałyby się narządy człowieka lub ludzkie geny. Fakt ten zadaje kłam – o czym warto pamiętać – cytowanemu zapewnieniu EPA z października 2000 roku. Tym samym obalone zostały ostatnie etyczne przeszkody, chociaż Europejskie Porozumienie Patentowe (EPP) uznaje takie wnioski patentowe za sprzeczne z prawem. Wspomniane porozumienie zakazuje zdecydowanie i jednoznacznie udzielania patentów dla wynalazków zarówno w zakresie genetyki roślin i zwierząt, jak i tych, które są postrzegane jako nieetyczne. Jak z powyższego widać, władze Europejskiego Urzędu Patentowego mają te traktatowe postanowienia dokładnie za nic.

I nie tylko te postanowienia. EPA dopuszcza się łamania przepisów prawa na masową skalę, celowo zatajając przed opinią publiczną, że udzieliła swego błogosławieństwa projektom badaw-

czym tworzącym monstra – w najbardziej negatywnym znaczeniu tego słowa. Świadczą o tym dwa konkretne przykłady.

W październiku 2000 roku Greenpeace opublikowała wniosek patentowy dotyczący stworzenia hybryd człowieka i świni. EPA tłumaczył się tym, że wniosek firm Stern Celi Sciences i Biotransplant już w lutym tego samego roku został odrzucony ze względu na „powody o charakterze etycznym”. Lecz w dokumentacji przedłożonej przedstawicielom Greenpeace nie znaleziono żadnego potwierdzenia takiego stanowiska urzędu patentowego względem ubiegających się o patent firm. Akta nie zawierały żadnego pisma datowanego na luty 2000 roku. Wręcz przeciwnie, urząd patentowy wielokrotnie wzywał zainteresowane firmy do uiszczenia zaległych kwot za dopuszczenie wniosku do procedowania. Ostatnie wezwanie wystosowano we wrześniu 2000 roku.

Z kolei Uniwersytet Stanowy Massachusetts złożył wniosek o przyznanie patentu na metodę tworzenia hybryd międzygatunkowych. Po wniesieniu przez uniwersytet stosownej opłaty EPA przystąpił w 1999 roku do rozpatrzenia wniosku. Naukowcy z tego uniwersytetu opracowali metodę, w której jądro komórkowe z komórek człowieka umieszczano w otoczce z plazmy komórek bydła domowego. Powstające w rezultacie hybrydowe embriony były utrzymywane przy życiu w warunkach laboratoryjnych do fazy rozwoju liczącego około 400 komórek. Jednak do odrzucenia wniosku z przyczyn etyczno-moralnych nigdy nie doszło⁶¹.

To, co „zrodziło się” – w ścisłym znaczeniu tego słowa – pod przykrywką medycznego postępu przypomina mityczne potwory pokroju Minotaura, stworzenia o głowie byka i ciele człowieka. Małżonka Minosa, legendarnego króla Krety, z podpuszczenia boga Posejdona dokonała sprzecznego z naturą cielesnego złączenia się z bykiem. Owocem tego związku była zrodzona przez królową chimera – Minotaur.

Potwór wkrótce stał się postrachem całej Krety. Z tego powodu król Minos nakazał słynącemu z fachowych umiejętności rzemieślnikowi Dedalowi (który wraz z synem Ikarem podjął później próbę ucieczki z Krety drogą powietrzną) zbudowanie pod pałacem w Knossos labiryntu. Przetrzymano w nim Minotaura, którego żywiono ludzkim mięsem i co kilka lat składano mu w ofierze siedem dziewcząt i siedmiu młodzieńców.

Dopiero heros Tezeusz uwolnił udręczonych bliźnich od daniny na rzecz Minotaura. Odważył się wejść do owianego ponurą sławą labiryntu i uśmiercił krwiożerczego potwora. Przed zabłądzeniem w płataninie wejść i korytarzy uratowała go córka Minosa, Ariadna; dzięki podarowanemu przez nią kłębkowi nici (sławna nić Ariadny) Tezeusz odnalazł wyjście z labiryntu. Tyle mówi grecki mit⁶².

Któż jednak, po faktach ujawnionych przez aktywistów Greenpeace, może ze spokojnym sumieniem twierdzić, że takie potwory istniały tylko w wybujałej wyobraźni dawnych ludów? Co będziemy o tym sądzić za jakiś czas, kiedy rozwój nauki umożliwi stworzenie podobnych monstrów? Aby panować nad przyszłością, musimy zrozumieć przeszłość. Należy zatem postawić pytanie, czy pozaziemska cywilizacja nie prowadziła już niegdyś na ludzkiej i zwierzęcej populacji manipulacji genetycznych. Pamięć o takich eksperymentach oraz o ich przerażających rezultatach dotrwała do dziś w dawnych mitach, przekazach i podaniach.

CHINY A INŻYNIERIA GENETYCZNA

Asyryjskie dzieła sztuki często przedstawiają wizerunki chimer będących w połowie człowiekiem, w połowie zwierzęciem. Towarzyszące im opisy, sporządzone pismem klinowym, mówią o „pochwyconych ludziach-zwierzętach”, które spętane przywieźli żołnierze przed oblicze króla. Starożytni władcy sumeryjscy urządzali nawet polowania na takie stwory. Grecki dziejopis Herodot (ok. 485-421 roku p.n.e.), który odbył dalekie podróże do Afryki i Azji, pisał o tajemniczych „ludziach-rybach” mających skórę pokrytą łuskami, którzy jakoby zamieszkiwali deltę perskiej rzeki Araks⁶³.

Czy i my pewnego dnia zaprojektujemy „ludzi-ryby” ze skrzelami i łuskami, którzy będą optymalnie dostosowani do życia w wodnym żywiole? Albo skrzydlatych superżołnierzy, którzy

walecznością i skutecznością prześcigną komandosów z dzisiejszych armii? Inżynierię genetyczną można wykorzystać do celów zarówno dobrych, jak i złych. Jednak kontrola nad pozornie nieograniczonymi możliwościami wymyka się w momencie, w którym zaczyna przeważać chęć prześcignięcia konkurencji: „Jeśli my tego nie zrobimy, inni zrobią to przed nami”. Historia ludzkości dowodzi, niestety, że wszystko, co leżało w zasięgu ludzkich możliwości, bez skrupułów było wprowadzane w czyn. Nic nowego pod słońcem.

Wędrując na wschód, dotrzemy do Chin, dawniej i dziś nazywanych Państwem Środka. W muzeum prowincji Xian w jednej z gablot natrafiłem na figurkę wykonaną z brązu, która zgodnie z opisem miała liczyć ponad 3000 lat (fot. 18). Rzeźba ta, dzieło nieznanego artysty – powstała przypuszczalnie w okresie dynastii Zhou (1122-221 p.n.e.) – przedstawia postać o ciele i łapach psa i niewątpliwie ludzkiej głowie z dużymi uszami oraz brodą, która przypomina talerzowate płytki mocowane w dolnej wardze, po dziś dzień stanowiące „ozdobę” u niektórych afrykańskich plemion. Na grzbiecie tego osobliwego stworzenia znajduje się grzebień, taki jak u niektórych dinozaurów. Miał go dimetrodon, żyjący w epoce permu przed ponad 250.000.000 lat, kiedy potężne dinozaury szykowały się dopiero do panowania na Ziemi. Czy jest to kolejny przykład nieokiełznanej fantazji artysty sprzed kilku tysięcy lat, czy też wierne odbicie rzeczywistości?

Odbyłem siedem długich wypraw do odległych zakątków Chińskiej Republiki Ludowej, gdzie rzadko docierają turyści. Nie zliczę już, ile świątyń tam zdołałem zwiedzić. Obojętnie, buddyjskie, taoistyczne czy konfucjańskie, wszystkie wyglądają tak samo. Przynajmniej w tej części, którą udostępnia się turystom.

W Zou, rodzinnym mieście wielkiego filozofa i myśliciela Konfucjusza (551-479 p.n.e.), znajduje się świątynia upamiętniająca Mengzi (327-289 p.n.e.), filozofa, który rozwijał podstawowe reguły etyczne konfucjanizmu. Na tyłach obiektu, dokąd bardzo rzadko zapuszcza się turysta, natknąłem się w 2004 roku na wizerunki licznych chimer. Były to rzeźby oraz inskrypcje uwiecznione na stelach. Niektóre stoją nieosłonięte pod gołym niebem, wystawione na działanie pogody, lecz większość umieszczono na szczęście pod ochronnym zadaszeniem. Są tam między innymi dwie stele wysokości niecałych 2 metrów, pokryte misternie wykonanym wizerunkiem przedstawiającym postacie pół ludzi, pół zwierząt o ciele gada pokrytym łuskami, z długim ogonem oraz o twarzy, której rysy są jednocześnie kocie i ludzkie. Kończyny przypominają łapy drapieżnego kota. Te zagadkowe stwory unoszą nad głową okrągłą, podobną do słońca tarczę (fot. 19). Od razu nasunęło mi się skojarzenie z podobnym motywem słońca, znanym ze starożytnego Egiptu.

Interesujące posągi oglądałem 10 października 2007 roku w nowo wybudowanym Muzeum Historii Miasta Pekin. Stoją tam ustawione blisko siebie cztery postaci wyglądające jak ludzie, ale wszystkie są zwieńczone zwierzęcymi głowami. Jeden z posągów ma głowę ptaka, drugi – owcy. Najbardziej niepokojąca jest jednak postać o głowie węża (fot. 20). Od razu przypomniał mi się film Conan barbarzyńca. Jego bohater – grany przez młodego Arnolda Schwarzeneggera – uchodzi cało z masakry, jakiej ofiarą padają jego rodzice i wszyscy dorośli mieszkańcy wioski. Chłopiec zostaje wzięty w niewolę, przez wiele lat jest przymuszany do wykonywania pańszczyźnianej pracy, aż wreszcie wyrusza na poszukiwanie morderców. Uprawiali oni tajemniczy kult węży. Udaje mu się dotrzeć do popadającego w ruinę klasztoru, gdzie staje się świadkiem upiornej sceny. Podczas rytualnej ceremonii twarz najwyższego kapłana przeobraża się stopniowo w pysk węża. Na koniec ze szczeliny wypęłza olbrzymi gad.

Niewielki posąg w pekińskim muzeum nieodparcie nasuwa wspomnienie tej jeżącej włosów na głowie sceny; jednak – jeśli dać wiarę tabliczce z opisem – pochodzi sprzed 2500 lat!

Dawne Państwo Środka wypełniały rozliczne chimery i hybrydy. Bez wątplenia nie było strefą wolną od inżynierii genetycznej. Czy żółci bogowie Chin dokonywali genetycznych manipulacji, tworząc budzące zgrozę monstra i dając upust badawczej pasji? Z dużym prawdopodobieństwem można zakładać, że takie badania są prowadzone we współczesnych Chinach. Przed paroma laty genetycy z Chin ogłosili, że udało im się połączyć komórki macierzyste królika i człowieka, które utrzymywali przy życiu przez kilka kolejnych pokoleń tych komórek. Czy jest to kolejny krok na drodze do utworzenia chimer, które znamy z mitologii? Profesor Beda M. Stadler, dyrektor Instytutu Immunologii Uniwersytetu Berneńskiego, ostrzega stanowczo:

„To był jedynie początek. Już niebawem, ku naszemu przerażeniu, ktoś podejmie próbę stworzenia sfinksa lub centaury”⁶⁴.

GENY INNYCH GATUNKÓW DAJĄ O SOBIE ZNAĆ

Kontrargument przytaczany przez sceptyków w dyskusjach na temat mieszańców i chimer wymaga jakiegoś komentarza. Pytają oni, czy zachowały się gdzieś pozostałości tych stworów. Przecież powinny zostać odkryte kości lub całe szkielety, które dałoby się wykorzystać w badaniach DNA, nośnika informacji genetycznej.

Niestety, bardzo trudne jest znalezienie nietkniętych szczątków ludzi i zwierząt pochodzących sprzed tysięcy lat, jeśli nie zapewniono im „przepisowego” pochówku. A może ludzie z tamtych epok robili wszystko, by nie zostało śladu po tych okropnych stworach? Czy opisane tu wcześniej celowe potraktowanie rzekomych mumii byków i ukrycie ich w granitowym pancernym sarkofagu starożytnego Egiptu nie świadczy o tym, że uczyniono wszystko, co w ludzkiej mocy, by po wsze czasy pozbyć się doczesnych pozostałości pochowanych tam stworzeń?

A jednak w grobowcu faraona Udumusa znaleziono złoty naszyjnik, na którym leżał szkielet nieznanego dotąd nauce zwierzęcia¹⁸. Takie znaleziska są dziełem przypadku i, co zrozumiałe, trudno za ich pomocą dowiedzieć, że dokonywano w przeszłości genetycznych manipulacji. Badanie laboratoryjne fragmentów kości tkwiących w masie bitumicznej wewnątrz „mumii byka” byłoby właściwym postępowaniem. Ale być może natrafimy wreszcie na ślad, który stanie się dowodem manipulacji, do jakich doszło w dawno minionych czasach. Mimo gwałtownego rozwoju inżynierii genetycznej wciąż mamy stosunkowo małą szansę zidentyfikowania genów zmodyfikowanych w zamierzonych dziejach. Jedną z istotnych trudności z uzyskaniem odpowiedzi jest fakt, że nie nauczyliśmy się jeszcze stawiać właściwych pytań. Jednak oddziaływania zmodyfikowanych genów lub, mówiąc ściślej, ich niepożądane skutki uboczne mogą naprowadzić nas na właściwą drogę. Wiemy już, że gen obcego gatunku wprowadzony do jakiegoś innego organizmu może wywołać w nim niepożądane skutki uboczne, odkąd przeprowadzono doświadczenia, w których do organizmu zwierząt wszczepiono ludzkie geny. Okazało się, że może dochodzić do alergicznych reakcji na obce gatunkowo geny. Dlaczego?

Na lekcjach biologii dowiedzieliśmy się, że komórki danego organizmu wytwarzają białka zgodnie z informacją genetyczną, która jest zapisana w genach przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Na tym polega zjawisko dziedziczności. Białko też może wywoływać reakcję alergiczną. Lekarze stanęli wobec tego problemu przy okazji przeprowadzonej u człowieka operacji kosmetycznej nosa, w której do modelowania jego kształtu użyto chrząstki pobranej od krowy, czyli, innymi słowy, obcej gatunkowo tkanki. Niestety, pozytywne efekty operacji nie trwały dłużej niż dwa-trzy tygodnie. Później organizm człowieka przystępował do rozkładania obcej tkanki⁷.

Jeszcze bardziej groźne w skutkach mogą okazać się transplantacje narządów, skóry i tkanek. Również w obrębie jednego gatunku, także człowieka, dochodzi bowiem, w rezultacie tkankowej nietolerancji, do odrzucania przeszczepionych narządów. Z tego właśnie powodu pierwsi w historii współczesnej biorcy serca – a operacja przeszczepu serca była przed kilkudziesięciu laty sensacyjną ingerencją – nie zdołali przeżyć dłużej niż kilka dni. Wkrótce chirurdzy przekonali się, że po wykonanym przeszczepie jakiegoś narządu konieczne jest stłumienie aktywności systemu odpornościowego pacjenta za pomocą silnych leków, co z kolei wiąże się z ryzykiem wystąpienia groźnych skutków ubocznych.

W ostatnim czasie nowoczesna inżynieria genetyczna daje realną możliwość izolowania genów i ich modyfikowania, a także wprowadzania ich do innych organizmów. Ponieważ jednak obce geny uruchamiają produkcję zmienionych białek, wszczepienie obcych genów do jakiegoś organizmu z góry warunkuje wystąpienie reakcji alergicznych.

POWAŻNE SKUTKI UBOCZNE...

Doktor Martina Steinhardt, lekarz i specjalista w zakresie biologii człowieka, naukowy współpracownik Instytutu Ludwiga Boltzmanna w Wiedniu, zetknęła się z poważnym problemem przy okazji zastosowania terapii genowej w zwalczaniu choroby nowotworowej. W tym przypadku u pacjenta doszło rzeczywiście do reakcji uczuleniowej na poddawany manipulacjom gen. Doktor Steinhardt zajęła się poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie, w jakim stopniu da się rozpoznać obcy gen na podstawie objawów reakcji alergicznej. Przystępując do badań, stwierdziła, że łączy się z tym tematem niedostatecznie jak dotąd klinicznie poznany zespół chorób autoimmunologicznych.

Najczęściej są to procesy zapalne (infekcje), które powstają w rezultacie nagłej reakcji alergicznej organizmu na własną tkankę, ale przyczyna samej reakcji jest nieznaną.

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego organizm przestaje rozpoznawać własne białka? Jakie przyczyny leżą u podstaw tego oczywistego błędu w sterowaniu metabolizmem?

Wydaje się, że niektórzy ludzie są szczególnie podatni na choroby autoimmunologiczne, natomiast inni nigdy nie stają się ich ofiarami. Przykład: jedni wiosną cierpią na uciążliwy katar sienny, innym nigdy się ta choroba nie przytrafia. Przyczyny alergii na ogół można określić. W przypadku kataru siennego jest to pyłek kwiatów; uczulenie na koty wywołują unoszące się w powietrzu fragmenty włosów tych zwierząt. Coraz częściej reakcje alergiczne są wywoływane przez substancje dodawane do artykułów spożywczych. Po przeprowadzonym przeszczepie narządu białko dawcy pobudza do reakcji układ odpornościowy biorcy. Od niedawna wiemy, że również geny innego gatunku wyzwalają alergię.

Warto w tym miejscu wymienić kilka przykładów chorób autoimmunologicznych, które, jak już wspomniano, przejawiają się najczęściej w postaci procesów zapalnych:

- zapalenie mięśni, mięśnia sercowego po zawale, a także określone formy zapalenia oczu;
- zapalenie opon mózgowych w następstwie szczepienia;
- zapalenie błony śluzowej żołądka, które może prowadzić do całkowitego zaniku śluzówki żołądka;
- zapalenie nerek wraz z zatruciem komórek nerkowych;
- zapalenie tarczycy (choroba Gravesa-Basedowa);
- stany zapalne układu nerwowego, w szczególności zaś stwardnienie rozsiane;
- chroniczne zapalenie jelita grubego (choroba Morbusa-Crohna), w tym zanik tkanki jelita grubego.

Jaki jest jednak mechanizm, który prowadzi do schorzeń autoimmunologicznych? W pełni poprawna odpowiedź brzmi następująco: jeszcze tego nie wiemy! Po dziś dzień nie potrafimy przekonująco odpowiedzieć na pytanie, dlaczego organizm traktuje jako obcą tkankę własną (czytaj: własne białko) i zwalcza ją za pomocą układu odpornościowego. Cóż jest obcego we własnej tkance? Choroby autoimmunologiczne pojawiają się często w następstwie „zwykłych” zachorowań. Podobnie niektóre reakcje alergiczne występują dopiero po zaindukowaniu wrażliwości w wyniku przebytej choroby albo kontaktu z substancją wyzwalającą uczulenie. Najczęściej takie reakcje pojawiają się nagle i bez ostrzeżenia.

Te dotąd niewytłumaczone procesy skłoniły doktor Steinhardt do sformułowania śmiałej hipotezy. Stawia ona pytanie: czy jest możliwe, że choroby autoimmunologiczne powstają w rezultacie uczulenia organizmu człowieka na obce geny, które niegdyś zostały do niego wprowadzone, ale po upływie tysiącleci nadal są dlań obce i zawsze będą obce?⁶⁵

Ta hipoteza z całą pewnością wzbudzi silny sprzeciw. Jestem jednak przekonany, że w miarę postępów w dziedzinie inżynierii genetycznej mgła, która otacza zagadnienia związane z możliwością tego rodzaju ingerencji w odległej przeszłości, zostanie rozwiana. Obecnie postępujemy jak uczeń czarodzieja z Fausta Goethego i na próżno staramy się unicestwić złe moce. Być może nie jest odległy dzień, w którym odtworzymy dokładną sekwencję wszystkich nukleinowych zasad w DNA człowieka. Czy wtedy będziemy w stanie „projektować” żywe organizmy na tej planecie według życzenia i zgodnie z najnowszą modą?

DIZAJNERSKA FAUNA I: NAJWIERNIEJSZY PRZYJACIEL CZŁOWIEKA

Po cóż jednak sięgać po takie przykłady przedziwnych stworów, jak rozmaite starożytne chimery czy też twory zrodzone w wyniku laboratoryjnych eksperymentów, żeby doszukiwać się w nich śladów ewentualnych genetycznych manipulacji, jakich dokonali przedstawiciele pozaziemskej inteligencji. W bezpośrednim otoczeniu człowieka można napotkać takie ślady, o czym świadczą niewyjaśnione dotąd zagadnienia, jak choćby kwestie związane z udomowionymi przez człowieka zwierzętami.

W epoce kamienia – najstarszej i najdłuższej epoce w pradziejach, która rozpoczęła się prawie 4.000.000 lat temu w Afryce i trwała do około 1800 roku przed naszą erą – pojawili się pierwsi zwierzęcy towarzysze człowieka. Dzisiaj za pewnik uchodzi to, że pierwszym udomowionym zwierzęciem był pies. Czasy, kiedy go przyzwyczajano do człowieka, pogrążone są w pomroce dziejów i pozostają poza zasięgiem naszej wiedzy. Prawdopodobnie proces udomowienia psa zakończył się w środkowej epoce kamienia, czyli 8300-4500 lat temu. W budowlach patowych z młodszej epoki kamienia w Europie Środkowej badacze odkryli kości niezbyt dużego udomowionego psa, którego nazwano szpicem torfowym (*Canis familiaris palustris*):

Pamiętajmy jednak, że nie mamy dokładnej wiedzy o przodku psa domowego. Jedna z hipotez stawianych przez biologów zakłada, że pies pochodzi od krzyżówki wilka z szakalem. Gdyby jednak ta hipoteza miała okazać się prawdą, oznaczałoby to, że najwierniejszy przyjaciel człowieka jest ewidentnie tak zwaną krzyżówką między gatunkową (hybrydą). I tu, w dosłownym sensie, leży pies pogrzebany. Niemożliwe jest bowiem otrzymanie odpornej na choroby i zdolnej do rozmnażania krzyżówki międzygatunkowej konwencjonalnymi metodami, czyli przez naturalny rozród zapewniający przedłużenie gatunku. Przykładem takiej bezpłodnej krzyżówki jest muł – potomek samca osła i samicy konia.

Jeśli dzisiaj skrzyżujemy psa z wilkiem, to u potomstwa takiej pary wspólne cechy obu gatunków nie utrzymają się długo. Najpóźniej w piątym lub szóstym pokoleniu potomstwo znowu podzieli się na wilki i psy. Sam wygląd zwierzęcia wszelako nie świadczy o tym, czy mamy do czynienia z psem, czy z wilkiem bądź też z psem czy z szakalem. Pewna liczba cech wrodzonych jest u psa w mniejszym lub większym stopniu przytłumiona. Wykazuje on natomiast wzorce zachowań, nietypowych dla dzikiego zwierzęcia. Do nich należą na przykład bezwarunkowa wierność i przywiązanie do człowieka, a także uczenie się najróżniejszych czynności, dzięki czemu może on pełnić funkcję psa myśliwskiego, psa policyjnego czy psa ratującego ludzi przysypanych lawiną by podać kilka tylko przykładów. Problem polega na tym, że te wzorce zachowań muszą mieć charakter dziedziczny, czyli muszą być „wprowadzone” do kodu genetycznego psa lub innego udomowionego zwierzęcia. Zmiana cech zaprogramowanych w materiale genetycznym wymaga niewątpliwie zastosowania bardzo wyrafinowanych metod. Moim zdaniem nasi przodkowie, prymitywni zbieracze i myśliwi, nie byli w stanie dokonać tak zasadniczego przeprogramowania puli genów zwierząt żyjących dziko⁶⁶. Kim zatem byli ci, którzy dzikie stworzenia przemienili w zwierzęta domowe?

DIZAJNERSKA FAUNA II: TAJEMNICZY STEPOWY SPRINTER

Jeszcze bardziej tajemniczo przedstawia się pochodzenie zwierzęcia, które dziś zamieszkuje sawanny Afryki, a także rozległe połacie Półwyspu Arabskiego oraz subkontynentu indyjskiego. Jest to gepard. Już w starożytności używano go do polowań, o czym świadczą wizerunki tego zwierzęcia spotykane na egipskich naściennych freskach. Także hinduscy maharadzowie i królowie perscy wykorzystywali fenomenalną szybkość tego zwierzęcego sprintera ze stepów i sawann.

Brytyjski biolog Joy Adamson uważa, że gepardy dają się o wiele łatwiej oswoić niż inne drapieżne koty. Dotąd nie jest znany przypadek napaści geparda na człowieka, choć dochodziło do tragicznego zdarzeń w cyrkach i w ogrodach zoologicznych, gdzie człowieka atakowały lwy, tygrysy i pantery. Roy – niemiecki artysta sztuki performance ze słynnego duetu Siegfried i Roy – również ledwo uszedł śmierci zaatakowany przez białe tygrysy, gdy występował z nimi w jednej ze swoich artystycznych akcji.

Wspomniana Joy Adamson stawia z pełną powagą pytanie, czy gepard nie został celowo „stworzony do szybkiego biegu”? Spośród wszystkich zwierząt lądowych jest on absolutnym mistrzem w sprincie. Na krótkich dystansach potrafi osiągać prędkość ponad 100 kilometrów na godzinę. Jego „dane techniczne” nie mogłyby zostać lepiej wymyślone przez bioinżyniera. Ma głowę z krótką brodą lekką budowę ciała, długie i smukłe kończyny jak u charta. Serce, płuca i naczynia krwionośne są proporcjonalnie wyraźnie większe niż u pozostałych kotów. Podczas sprintu tempo oddechów zwiększa się ponad dwukrotnie, z 60 do 150 na minutę. Nawet najszybsze antylopy nie są w stanie uniknąć przed nim w stepie i na półpustyni⁶⁷.

Gepard łączy cechy typowe dla dwóch różnych zwierzęcych rodzin, mianowicie psów i kotów. Chociaż jest porównywany do „charta z kocią głową”, to nauki zoologiczne jednoznacznie lokują go w rodzinie kotów (*Felidae*), będących ssakami drapieżnymi. Jego pazury są wyciągane tylko częściowo, nie tak, jak pazury innych kotów; sylwetka siedzącego geparda bardzo przypomina sylwetkę psa.

Jak wszystkie koty, mógłby używać pazurów do wspinania się na drzewa, ale gepard tego nie potrafi. Jego złotożółte futro jest podobne do sierści gładko włosych psów, natomiast czarne cętki są puszyste jak sierść kota. Gepardy, łączące w sobie wiele cech psów i kotów, cierpią nawet na schorzenia typowe dla jednej z obu rodzin, na przykład na psią piropłazmozę, chorobę zakaźną przenoszoną przez kleszcze, która prowadzi do rozkładu czerwonych ciałek krwi, oraz na kocie zapalenie jelit, chorobę układu trawiennego o podłożu zapalnym.

Reasumując, geparda można uznać za „niemożliwy” produkt skrzyżowania dwóch różnych rodzin w gromadzie ssaków. Moglibyśmy zatem zaliczyć go do tej samej kategorii, co opisane na początku rozdziału hybrydy czy chimery, które znamy z antycznych dzieł sztuki.

Jeśli oprzemy się na najnowszych rezultatach badań genetycznych, to dojdziemy do wniosku, iż gepard mógł powstać wyłącznie w rezultacie manipulowania genami. I rzeczywiście, wyniki badań genetycznych DNA pobranego od gepardów zdają się dokładnie potwierdzać taki wniosek. Analiza próbek krwi wziętych od 50 różnych osobników zamieszkujących bardzo oddalone od siebie obszary wykazała, że wszystkie te zwierzęta są identyczne pod względem genetycznym. I to jest prawdziwa sensacja, ponieważ oznacza, ni mniej, ni więcej, że dowolnie wybranemu osobnikowi z gatunku geparda można byłoby przeszczepić narządy i tkanki pobrane od innego dowolnie wybranego przedstawiciela tego gatunku, bez najmniejszego ryzyka odrzucenia przeszczepu⁶⁸. Taki przeszczep byłby niemożliwy w przypadku gatunku *Homo sapiens*.

Tak wysokiego poziomu genetycznej zbieżności, o ile wiadomo, nie stwierdzono u żadnego innego żyjącego dziko gatunku fauny. Naukowcy, którzy prowadzą eksperymenty w nowoczesnych laboratoriach genetycznych, zaobserwowali natomiast taką zbieżność wyłącznie u zwierząt „hodowanych celowo”, mianowicie szczurów laboratoryjnych.

JAK Z HIEN POWSTAŁY GEPARDY?

W połowie maja 2006 roku podróżowałem po włoskiej Sardynii, wyspie położonej na Morzu Śródziemnym. W Nuoro, głównym mieście usytuowanej w środkowej części wyspy prowincji o tej samej nazwie, zwiedziłem Museo Speleo-Archeologico. Jest to nieduże muzeum, w którym są eksponowane liczne skamieniałości znalezione w okolicznych jaskiniach. W jednej z wielu wpuszczonych w ścianę gablot znajduje się skamieniała czaszka i inne kości zwierzęcia, uważanego przez niektórych biologów za praprzodka geparda. Jest to *Chasmaporthetes*, kopalny gatunek hieny z trzeciorzędu, który wymarł na początku epoki lodowej (fot. 21).

Graficzna rekonstrukcja, na której przedstawiono *Chasmaporthetes*, ukazuje hienę zdolną do szybkiego biegu. W przeciwieństwie do tego gatunku żyjące dzisiaj cztery podgatunki hien mają znacznie dłuższe przednie kończyny niż tylne, co znacznie utrudnia im szybkie przemieszczanie się do przodu i czyni z nich padlinożerców, którym sporadycznie udaje się schwytać chorą lub osłabioną ofiarę. Natomiast anatomiczna budowa *Chasmaporthetes* wykazuje liczne cechy dzisiejszych gepardów.

Jakim sposobem naturalna ewolucja zdołała w tak krótkim czasie – w skali filogenezy – przekształcić drapieżną hienę z trzeciorzędu w kociego sprintera? Pytanie to pozostaje na razie bez odpowiedzi. W tym kontekście jest uprawomocnione wzięcie pod uwagę ewentualnej sztucznej ingerencji w genotyp i nieodrzućanie takiej hipotezy zbyt pośpiesznie – tylko dlatego, że nie powinno istnieć to, co istnieć nie może. Wyspy szczególnie nadają się do badań nad genetycznie zmienionymi zwierzętami. W biologii znane jest pojęcie endemizmu. Tak nazywa się zamieszkiwanie przez określony gatunek bardzo ograniczonego terytorium, poza którym ten gatunek w ogóle nie występuje. Któż może z całkowitą pewnością stwierdzić, że w tym przypadku nie chodzi o laboratorium pod gołym niebem? Czyżby kolejny Park Jurajski!



Rys. 3. Ten rysunek zwierzęcia noszącego nazwę *Chasmaporthetes* znajduje się w Museo Speleo-Archeologico w Nuoro. Wykazuje ono cechy, jakimi wyróżniają się dzisiaj gepardy.

KRZYŻÓWKA PSA I KOZY?

Takie myśli, jak wyżej, krążyły mi po głowie już w maju 2005 roku, kiedy w miejskim muzeum w Ciutadella na wyspie Minorce w archipelagu Balearów zobaczyłem kopalne zwierzę. I ono wydało mi się organizmem zaprogramowanym nie przez naturę.

Występujący wyłącznie na Minorce – w przybliżeniu w tym samym czasie co *Chasmaporthetes* na Sardynii – gatunek *Myotragus balearicus* (fot. 22) był zwierzęciem wielkości psa. Wyglądem przypominał krzyżówkę psa i kozy. Na głowie miał rogi, lecz kończyny tylne i ogon były typowe

dla przedstawiciela *Canidae* – tak brzmi łacińska nazwa rodziny, do której są zaliczane psy oraz ich krewni⁶⁸.

Poznawszy fakty dotyczące krzyżówek międzygatunkowych oraz mieszańców, mogę bez trudu wyobrazić sobie, że i tutaj eksperymentowano z genami dwóch różnych rodzin zwierząt. Z całkowitą pewnością wykluczyć tę hipotezę mógłby tylko ten, kto żył w owych czasach, a więc na pewno ani ja, ani orędownicy konwencjonalnych wyjaśnień.

Dopóki klasyczna teoria ewolucji nie będzie w stanie w zadowalający sposób wyjaśnić tego rodzaju licznych sprzeczności dotyczących powstawania i dalszego rozwoju gatunków oraz procesu udomowiania zwierząt, dopóty nikt nie powinien arbitralnie odsyłać do krainy bajek wyjaśnień, które wyglądają na nieprawdopodobne, bez ich uprzedniego zweryfikowania. Dzieje naszej rzekomo „ściślej” wiedzy dowodzą, że popełniano bolesne błędy i pomyłki. Przecież jeszcze nie tak dawno temu uważano, że skonstruowanie rakiety, która wyniosłaby człowieka na Księżyc, to czysta utopia.

Lecz czyż błędy nie są popełniane właśnie po to, żeby je nieustannie korygować? Nie po to, żeby się na nich uczyć? Do niedawna opisy chimer i monstrualnych dziwolągów przyjmowano za baśnie z tysiąca i jednej nocy. Wizerunki takich istot miały być wyłącznie wyrazem artystycznej inwencji ich autorów. Dzisiaj wiemy, że inżynieria genetyczna daje nam do ręki narzędzia, które umożliwiają stworzenie potworów w rezultacie połączenia tkanek zwierzęcia i człowieka. Po raz kolejny otworzono puszkę Pandory. Wolę nawet sobie nie wyobrażać, co obecnie dzieje się w ściśle strzeżonych laboratoriach – pod baczным okiem wojskowych.

Mimo wszystko sprawy te, choć mogą budzić przerażenie, mają też pozytywny aspekt. Każde uważane dotąd za niewyobrażalne odkrycie czy wynalazek nadaje wydarzeniom z legendarnej zdawałoby się przeszłości wymiar, który jest dla nas zrozumiały. Zapadają one w naszą świadomość. To, co wczoraj było nie do pomyślenia, jutro może okazać się znane nam od dawna.

Ponieważ w zamierzchłych czasach stanowiło konkretną rzeczywistość.

DOPISEK

W lipcu 2007 roku Europejski Urząd Patentowy ponownie trafił na pierwsze strony gazet. Tym razem jednak nie chodziło o próby stworzenia organizmów hybrydowych. Greenpeace, organizacja walcząca o ochronę środowiska, zgłosiła sprzeciw wobec patentu, który dotyczył normalnych roślin, niezmodyfikowanych genetycznie, na przykład słonecznika. Ponadto obrońcy środowiska przestrzegali przed skutkami zarejestrowania tego patentu. Dotknęłyby one przede wszystkim rolników i konsumentów żywności.

„Jeśli całkiem zwyczajne rośliny, jak słonecznik czy brokuły, zostaną uznane za wynalazek, to w przyszłości będzie można opatentować każdą roślinę i każde zwierzę”, oświadczył Christoph Then, ekspert organizacji do spraw patentów. Później ktoś zgłosiłby patent na olej ze słonecznika. Ponadnarodowe koncerny rolno-spożywcze z pomocą prawników zajmujących się patentami zdobędą pełną kontrolę nad wszystkimi etapami wytwarzania artykułów żywnościowych.

W październiku 2006 roku amerykański koncern Pioneer uzyskał patent na niezmieniony genetycznie słonecznik, który wykazywał odporność na szkodniki dzięki naturalnym cechom dziedzicznym. Urząd patentowy podjął później, zajmując się odmianą brokułów, strategiczną decyzję dotyczącą udzielania patentów na metody hodowli zwierząt lub roślin, nawet jeśli nie zastosowano przy tym technik inżynierii genetycznej. Pewna firma już w 2002 roku usiłowała opatentować brokuły hodowane konwencjonalnie, lecz konkurencyjne przedsiębiorstwo wniosło protest.

„Urząd patentowy usuwał, jak dotąd, systematycznie niemal wszystkie bariery związane z udzielaniem patentów”, dodaje Christoph Then. „Głęboko niepokojący jest fakt, że urząd, którego źródłem finansowania są pieniądze pozyskiwane od przemysłu, sam podejmuje we własnej sprawie decyzje o kardynalnym znaczeniu”⁶⁹.

Najwyraźniej choroba „patentowa” EPA coraz silniej się rozprzestrzenia. Oto nowy, piękny świat...

6

PREHISTORYCZNE ŚWIECE ZAPŁONOWE ORAZ KOSMICZNE ODPADY Z EPOKI LODOWCOWEJ

WYSOKO ROZWINIĘTA MIKROTECHNOLOGIA W STARSZEJ EPOCE KAMIENIA

*Na tym świecie nie ma nic baśniowego. Wszystko, co wydaje się cudowne,
w rzeczywistości ma konkretne realne podstawy.*

Maksym Gorki (1868-1936), rosyjski poeta i pisarz

Trzynastego lutego 1961 roku trójka przyjaciół, Mike Mikesell, Wallace Lane i Virginia Maxey, wybrała się w góry Coso. Ten górski łańcuch rozciąga się na północny wschód od Olancha w amerykańskim stanie Kalifornia oraz na zachód od okrytej złą sławą Doliny Śmierci. Tym, czego wszyscy troje poszukiwali, były geody – kuliste skalne bryłki z jamami w środku, wypełnionymi skupieniami kryształów. Zamierzali je wystawić na sprzedaż w charakterze pamiątek we wspólnie prowadzonym sklepie LM&V Rockhound Gem and Gift Shop. Jednak to, co znaleźli tamtego dnia, powinno przyczynić do wyrzucenia po raz kolejny na śmietnik historii wszystkich naszych sądów na temat dziejów techniki.

Początkowo niepozorny kamień, który wraz z wieloma innymi znaleźli na szczycie góry o wysokości 1300 metrów, oddalonej o 100 metrów od wyschniętego jeziora Owens, uznali za geodę. Ów fragment skały był otoczony skorupą, w której tkwiły skamieniałe muszle mięczaków, co wskazywało na sędziwy wiek bryłki. Po powrocie do domu czekała ich niespodzianka. Próba przecięcia na pół rzekomej geody zakończyła się zniszczeniem najdroższej piły Mike'a Mikesella, wyposażonej w diamentowe ostrze.

Z pewnością to nie skała przyczyniła się do zniszczenia narzędzia tak wysokiej jakości. W środku owej bryłki nie było pustej przestrzeni. Znajdował się tam idealnie okrągły cylinder z twardego materiału ceramicznego, w którym był umieszczony błyszczący, nieskorodowany metalowy drut grubości 2 milimetrów. Tę ceramiczną tuleję otaczał, jak stwierdziła trójka poszukiwaczy geod, miedziany pierścień, który również nie uległ korozji.

Znalezisko coraz bardziej rozpałało ciekawość przyjaciół. Dalsze oględziny doprowadziły do odkrycia dwóch metalowych obiektów pozbawionych właściwości magnetycznych. Z wyglądu przypominały podkładkę. Osadowa otulina na jednej trzeciej grubości wyglądała jak skrzemieniałe drewno i była o wiele miększa niż agat czy jaspis, kamienie półszlachetne zwykle spotykane w geodach. Metalowy płaszcz miał kształt sześcioboku i otaczał rdzeń z nadzwyczaj twardego materiału ceramicznego.

JAK GROMEM RAŻONY

Mike Mikesell, Wallace Lane i Virginia Maxey przesłali zagadkowe znalezisko Towarzystwu Charlesa Forta. Organizacja ta, założona przez wolnomyśliciela Charlesa H. Forta (1874-1932), zajmuje się badaniami faktów i zjawisk pozostających w jaskrawej sprzeczności z tradycyjnym naukowym obrazem świata.

Tam do pracy nad nim zabrał się badacz Ron Calais. Na temat obiektu, nazwanego artefaktem z Coso, wypowiedzieli się też specjaliści z różnych dziedzin, opierając się na jego zdjęciach rentgenowskich (fot. 23-24). Uzyskane wyniki oraz wnioski końcowe Calais opublikował w numerze 4 biuletynu *INFO Journal*. Wydawcy czasopisma, Paul J. Willis i jego brat Ron, z ogromnym zdziwieniem stwierdzili, że artefakt ten budową i wykonaniem nasuwa porównanie ze świecą zapłonową!

„Poczułem się jak gromem rażony”, pisał Ron Willis, „ponieważ tylko w ten sposób elementy układanki dawały się do siebie dopasować. Obiekt przecięty na dwie części miał przekrój heksagonalny (sześciokątny) i zawierał ceramiczny (porcelanowy) izolator oraz drut wpuszczony w jego środek; są to najważniejsze elementy każdej świecy zapłonowej”.

Bracia postanowili przeciąć na pół świecę zapłonową w tej części, w której ma ona kształt sześcioboku. Przepiłowanie twardego porcelanowego izolatora okazało się trudnym zadaniem, lecz w końcu udało im się tego dokonać.

„Mogliśmy przekonać się, że wszystkie części (nowoczesnej świecy zapłonowej) przypominają część artefaktu Coso – z kilkoma różnicami”, kontynuował swoją wypowiedź Ron Willis. „Pierścień wykonany z miedzi, otaczający ceramiczną tuleję znaleziska z Coso, zdaje się odpowiadać miedzianemu pierścieniowi, jaki otacza górny segment stalowego płaszczka każdej świecy zapłonowej”. Zdaniem Rona i Paula Willisów sześcioboczny segment składa się z rdzy, jaka pozostała po pierwotnie zainstalowanym stalowym płaszczu. Zwrócili również uwagę, że drut umieszczony w środku obiektu jest wykonany z mosiądzu.

Górna część wydawała się zakończona czymś w rodzaju sprężyny. Paul i Ron Willisowie wysunęli hipotezę, że obiekt widoczny na zdjęciach rentgenowskich jest „pozostałością skorodowanego elementu metalowego z nawierconym na nim gwintem”. I chociaż większy metalowy fragment na górnym końcu artefaktu z Coso niezupełnie odpowiada budową współczesnym świecom zapłonowym, znalezisko jako całość sprawia wrażenie, iż jest to jakiś rodzaj urządzenia elektrycznego.

Chociaż pierwotny cel zastosowania zdumiewającego znaleziska pozostaje przedmiotem swobodnych dociekań i spekulacji, jego wiek udało się określić z wystarczającą dokładnością – ma ona w przybliżeniu 500.000 lat. A przecież, według „niezbitych ustaleń” w odniesieniu do dziejów techniki, była to na Ziemi epoka kamienia³⁷⁻⁷⁰.

NANOTECHNIKA PRZYSZŁOŚCI

Oprócz inżynierii genetycznej, która w minionych latach poczyniła ogromne postępy, jeszcze jedna dziedzina nauki rozwija się równie szybko i dynamicznie. Jest to nanotechnologia. Jej nazwa wywodzi się od greckiego słowa *nanos*, co znaczy „karzeł”. Eksperci, wybiegający myślą naprzód – choć głoszone przez nich idee spotyka krytyka ze strony konserwatywnych uczonych – są przekonani, że nanoroboty o wymiarach rzędu ułamkowych części milimetra będą w przyszłości w znaczącym stopniu determinować rozwój technologiczny ludzkości.

Termin „nanotechnologia” pojawił się w 1959 roku. Wówczas to fizyk oraz laureat Nagrody Nobla, Richard Feynman (1918-1988), wyraził pogląd, że gdyby dało się manipulować pojedynczymi atomami, możliwe stałoby się wytwarzanie wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić⁷¹.

Gdyby to przypuszczenie znalazło potwierdzenie w praktyce, doszłoby do największej rewolucji w dziejach ludzkiej cywilizacji. Głód przestałby nękać ludzkość, ponieważ nanourządzenia zostałyby użyte do syntetyzowania produktów spożywczych. Podobnie takie mikroskopijne urządzenia

można byłoby wykorzystać do oczyszczenia tak bardzo zniszczonego niebezpiecznymi odpadami środowiska naturalnego. Absorbowałyby one substancje szkodliwe, a potem rozkładały na pierwiastki składowe, z których ponownie powstawałyby użyteczne dla człowieka. Także w medycynie znalazłyby zastosowanie, o jakim dotąd odważali się pisać wyłącznie autorzy science fiction. Rozmaite choroby serca i naczyń krwionośnych przestałyby raz na zawsze zagrażać życiu człowieka. Dzięki zdalnie sterowanym mikrosomom przeprowadzano by operacje chirurgiczne w obrębie serca, tętnic i żył (fot. 25). Operacje, jakich nie można wykonać metodami konwencjonalnymi. Czy są to jedynie mrzonki i utopijne wizje garstki niepoprawnych fantastów?

Bez wątplenia takie wizje należały do science fiction w 1966 roku. Wtedy to nakręcono – być może czerpiąc inspirację z pomysłów głoszonych przez Richarda Feynmana – intrygujący thriller filmowy zatytułowany „Fantastyczna podróż”.

Oto w skrócie jego fabuła. Agent wywiadu, który przeszedł na drugą stronę i dysponuje ważnymi dla służb specjalnych informacjami, zapada na chorobę. W jego mózgu tworzy się zakrzep krwi. Zator znajduje się w miejscu niedostępnym dla skalpela – ingerencja konwencjonalnymi metodami niemal na pewno zakończyłaby się śmiercią człowieka, o którego walczyli agenci po obu stronach. Z tego powodu zdecydowano się zastosować nową, przełomową metodę operacyjną. Łódź podwodną wraz z załogą, w której znaleźli się specjaliści, zmniejszono do mikroskopijnych rozmiarów i wstrzyknięto do krwiobiegu pacjenta. W trakcie „fantastycznej podróży”, która wiodła przez serce i naczynia krwionośne, bohaterowie napotkali wiele niebezpieczeństw i przeżyli mnóstwo przygód. Ponadto – jak zawsze w tym gatunku filmowym – w zespole znalazł się czarny charakter, który sabotował niezwykłą akcję ratunkową. Na szczęście rozprawiły się z nim żarłoczne białe ciała krwi, które wypełniły sumiennie swoje zadanie jako podstawowy element układu odpornościowego człowieka. Zgodnie z hollywoodzką konwencją nastąpił *happy end*.

Gdy w 1986 roku na ekrany kin wszedł remake tego filmu (który zdążył stać się klasykiem), tym razem zatytułowany *Innerspace*, z gwiazdorem Dennisem Quaidem w roli głównej, techniki w nim przedstawione wciąż z konieczności umieszczano w rubryce „nie do zrealizowania”.

RZECZYWISTOŚĆ PRZEŚCIGA SCIENCE FICTION

Jednak czasy się zmieniają. Można odesłać do lamusa wszystkie nasze wyobrażenia o technologii przyszłości. W październiku 1999 roku media obiegrała sensacyjna wiadomość, że już wkrótce opisana wyżej fabuła thrillera stanie się rzeczywistością.

„Nagły przypadek w klinice chorób serca. Lekarz wstrzykuje do układu krwionośnego pacjenta roztwór. W tym roztworze płynie łódź podwodna w skali mikro, niedostrzegalna dla ludzkiego oka. Łódź zmierza do zatkanego skrzepu naczynia w mózgu i za pomocą maciupieńkich szczotek udrażnia naczynie. Pacjent jest uratowany!”

Scenariusz filmu science fiction? W żadnym razie – taka łódź podwodna już istnieje. Zbudował ją Reiner Gotzen, dyplomowany inżynier i fachowiec od supermałych obiektów w specjalistycznej firmie Micro-Tec w Duisburgu⁷².

Wiadomo, że prasa bulwarowa zamieszcza na swoich łamach sensacje i ma skłonność do przesady. Jednak dwa lata później ze zdziwieniem przeczytałem podobne doniesienie w fachowej prasie medycznej. Wprawdzie taka miniaturowa łódź podwodna miała wtedy postać tylko makiety, prezes firmy Micro-Tec, Andrea Reinhardt, podkreślała z optymizmem: „Za dziesięć lat (byłby to zatem 2010 rok) powinny zacząć się pierwsze próby takich mikrosystemów”⁷³.

Miniaturowy cud techniki skonstruowano dzięki zastosowaniu komputera. Wszystkie informacje są kierowane do płynnego syntetycznego materiału za pośrednictwem laserowego promienia, który tnie z precyzją brzytwy cienkiej jak włos. W rezultacie powstaje miniaturowa łódź podwodna, mająca 4 milimetry długości oraz pół milimetra grubości. Napęd zapewniają maciupieńkie magnesiki umieszczone w śrubie, która jest wprawiana w ruch za pomocą cewki umieszczonej poza organizmem. Ostatnio inżynierowie eksperymentują z „napędem hydromechanicznym”, który działa na podobnej zasadzie jak wykonująca szybkie uderzenia płetwa ogonowa⁷³.

Jak już wspomniano, taka miniaturowa łódź podwodna – podobnie jak jej filmowy pierwowzór z 1966 roku, choć rzecz jasna bez zminiaturyzowanej załogi na pokładzie – około 2010 roku powinna wejść do klinicznego zastosowania w fazie prób na pacjentach. Oprócz mechanicznego usuwania zakrzepów krwi mogłaby służyć jako mikropojemnik ze specjalistycznymi lekami i za pośrednictwem krwioobiegu dostarczać te leki bezpośrednio do guzów nowotworowych. W przypadku chemioterapii agresywne środki zwalczające raka oddziaływałyby bezpośrednio na tkanki nowotworowe, dzięki czemu w znacznym stopniu zredukowano by uciążliwe dla pacjenta skutki uboczne takiej terapii, a nawet wyeliminowano je całkowicie. Warto też wspomnieć o wykorzystaniu nanotechnologii do usuwania kamieni w nerkach i pęcherzu moczowym. Miniaturowe frezy zamontowane na takiej łodzi podwodnej mogłyby zostać użyte do rozbicia kamieni. Ten zabieg dziś wykonuje się przy użyciu fal ultradźwiękowych, poza tym nadal kamienie usuwa się konwencjonalnymi inwazyjnymi metodami operacyjnymi.

Ale już dziś żyjemy w świecie przyszłości!

TWÓRCZA MASZYNA

Miniaturowa łódź podwodna, która znajdzie zastosowanie w medycynie, nie jest oczywiście jedynym wytworem rozwijającej się coraz bardziej dynamicznie nanotechnologii. W innej firmie, która również specjalizuje się w aparaturze medycznej, pracuje się obecnie nad otrzymaniem szczególnego materiału na który można nanieść linie oddalone od siebie o zaledwie 11 nanometrów. Przypomnę: 1 nanometr odpowiada jednej miliardowej części metra lub 0,000001 milimetra. W materiale tym będą umieszczane uszkodzone nerwy lub ściętna zaś proces ich gojenia zostanie niezwykle przyspieszony wskutek tworzenia nowych tkanek w mikroskopijnych bruzdach⁷³.

Na całym świecie prowadzi się badania nad skonstruowaniem mikroskopijnych tłoków, przełączników, dźwigni i kół zębatach, które, zastosowane w nanorobotach, powinny pewnego dnia posłużyć do wytwarzania nowych produktów. A także pozwolić na maksymalnie precyzyjne wykonywanie prac, których skala jest zbyt mała dla człowieka i konwencjonalnej techniki.

Prekursorem takich badań, mających na celu skonstruowanie skrajnie małych elementów budulcowych i sterujących, jest od lat 70. XX wieku amerykański fizyk, doktor K. Erie Drexler. Międzynarodowe uznanie zyskał dzięki pionierskim pracom nad twórczymi maszynami (*engines of creation*). W 1992 roku podczas przesłuchania przed komisją Izby Reprezentantów Kongresu USA Drexler wyjaśnił, jakie nieoczekiwane możliwości techniczne wynikają z wykorzystania nanorobotów – nazywał je również asemblerami lub replikatorami – do taniej produkcji rozmaitych urządzeń.

Takie wizjonerskie myślenie spotkało się, co zresztą wcale nie dziwi, z reakcją, i to głośną, krytyków. Według niektórych konserwatywnie nastawionych naukowców Drexler uczynił z nanotechnologii nowego boga, który pojawił się niczym starożytny *deus ex machina*. Poważniej należy potraktować zarzuty, które odnoszą się do potencjalnych zagrożeń związanych z tą nowatorską technologią. Co by się stało, gdyby nanoreplikatory wymknęły się spod kontroli? Jak uda się zapobiec wykorzystaniu nanotechnologii do opracowania broni masowego rażenia nowej generacji? A jeśli w posiadaniu nowej techniki znaleźliby się terroryści? Takie obawy należy traktować z pełną powagą. Potwierdza to posiedzenie Senatu USA, na którym poruszono kwestię możliwości niszczenia wrogich czołgów przy użyciu nowatorskich nanorobotów⁷¹.

Pozostaje mieć nadzieję, że korzyści z nanotechniki przewyższą ewentualne zagrożenia. Jest duże prawdopodobieństwo, że ta technika przyszłości już w niedługim czasie zaowocuje wyprodukowaniem zminiaturyzowanej aparatury medycznej, która posłuży do walki z największymi plagami nękającymi człowieka. Postępujący proces miniaturyzacji wywrze również ogromny wpływ na technologie informatyczne. Na początku 2007 roku przodujące firmy z tej branży, Intel i IBM, ogłosiły, że nastąpił przełom w technikach wytwarzania tranzystorów. Intel zamierzał wejść na rynek z nowymi układami scalonymi wielkości 45 nanometrów w 2007 roku, natomiast IBM – w 2008 roku. W każdym chipie Intela umieszczonych ma być miliard tranzystorów – nanotechnologia

stwarza takie możliwości⁷⁴.

Doktor K. Erie Drexler tak uspokaja wszystkich obawiających się o to, gdzie nas doprowadzi gwałtowny rozwój nanotechnologii:

„Jest raczej mało prawdopodobne, żeby wyprodukowany przez człowieka nanorobot, zastosowany na przykład do pozyskiwania surowców ropopochodnych, przyjął przez przypadek formę, w której przetrwa samodzielnie w niekontrolowanym przez człowieka środowisku. To tak jakby stojący w garażu samochód któregoś dnia odmówił jazdy na benzynie lub oleju napędowym i zamierzał jeździć tylko na biopaliwie”⁷¹.

NANOTECHNIKA Z EPOKI LODOWCOWEJ

Niewątpliwie w najbliższej przyszłości osiągnięcia techniki jeszcze niejedną raz wprawiają nas w zdumienie. Ale już teraz niewypowiedziane zdumienie budzą artefakty, które należy uznać za produkt wysokorozwiniętych technologii. Jednakże, o dziwo, pochodzą one z prehistorycznych czasów. „Wszystko już było!”, jak mówił przy każdej niemal sposobności rabin Ben Akiba, jeden z bohaterów dramatu *Uriel Acosta* Karla Gutzkowa (1811-1878). W tym miejscu mogę z czystym sumieniem powtórzyć za Ben Akibą jego słowa, odnosząc je tym razem do nanotechnologii.

Od 1991 roku poszukiwacze rud, a także złota, na zlecenie dużych konsorcjów poszukujący metali kolorowych, znajdują coraz więcej osobliwych obiektów, często mających formę spirali, na wschodnim obrzeżu górskiego łańcucha Ural w Rosji. Wielkość tych artefaktów wynosi od maksymalnie 3 centymetrów do ułamkowych części milimetra i, co wręcz niewiarygodne, 0,003 milimetra! Do dzisiaj w rozmaitych stanowiskach w pobliżu rzek Kozim, Narada i Balbanju oraz dwóch potoków o nazwie Wetwistyj i Lapczewoż znaleziono w sumie wiele tysięcy tych artefaktów o niewyjaśnionym pochodzeniu. Wszystkie znaleziska znajdowały się na głębokości 3-12 metrów. Różne ekspertyzy datują te warstwy – oraz tak licznie znajdowane w nich obiekty – na wiek, zależnie od głębokości konkretnych pokładów osadowych, od 20.000 do 300.000 lat⁷⁵.

Tworzywem tych artefaktów są różne metale: największe z nich są z miedzi, mniejsze (najmniejsze mają wymiary rzędu ułamka milimetra) – z rzadkich metali: wolframu i molibdenu. Wolfram cechuje się bardzo dużą masą atomową i dużą gęstością. Temperatura topnienia wynosi 3410°C. Jest stosowany jako dodatek stopowy do stali konstrukcyjnych oraz do wyrobu materiałów odpornych na ścieranie. Technicznie jest też wykorzystywany do wyrobu żarników lamp żarowych, elektrycznych styków, dysz silników raketowych oraz jako odporna na wysoką temperaturę powłoka ochronna promów kosmicznych.

Molibden również cechuje się dużą gęstością; temperatura topnienia wynosi 2650°C. Metal ten, podobnie jak wolfram zaliczany do pierwiastków występujących w znikomych ilościach w skorupie ziemskiej, jest stosowany jako składnik stopowy stali szlachetnych, przede wszystkim do wyrobu elementów broni wytrzymałych duże obciążenia, płyt pancernych oraz narzędzi, głównie ostrzy narzędzi skrawających.

Znalezione artefakty, których liczba sięga już setek tysięcy, zwracają uwagę swoim wyglądem. Świadczy on o zastosowaniu zaawansowanej technologii. Podobnie jak w przypadku produktów powstających dzięki osiągnięciom współczesnej nanotechnologii, uralskie artefakty również musiały służyć ściśle określonej celowi. Do czego na przykład służyła malutka wolframowa spirala (fot. 26 i 27) owinięta wokół rdzenia, której średnica nie przekracza pół milimetra? W instytucie naukowym w Helsinkach, dokąd trafił ten obiekt, zmierzono go z dokładnością do mikrometrów, czyli jednostek miary równych jednej tysięcznej milimetra!

PRACE WYKOPALISKOWE NAD RZEKĄ BALBANJU

Badaniem owych tajemniczych artefaktów zajęło się wiele placówek badawczych i naukowych. Bezpośrednio na miejscu prac wykopaliskowych zaangażowali się:

- eksperci z oddziału Akademii Nauk w Syktywarze, stolicy dawnej Autonomicznej Republiki Radzieckiej Korni,
- zespół pracowników Centralnego Instytutu Badawczego Geologii oraz Nauki o Metalach Kolorowych i Szlachetnych (ZNIGRI); ta moskiewska placówka naukowa podlega Komitetowi Federacji Rosyjskiej ds. Geologii oraz Wykorzystania Bogactw Naturalnych,
- niezależny rosyjski badacz, doktor Walerij Ołtarow, któremu w głównej mierze zawdzięczam przedstawione tu informacje⁷⁵.

Dalszym analizom i badaniom naukowym poddano nanoartefakty w moskiewskim i petersburskim instytutach Rosyjskiej Akademii Nauk, a także w fińskim Instytucie Metalurgii w Helsinkach. W moim archiwum znajduje się ekspertyza sporządzona w wymienionym wyżej Centralnym Instytucie Badawczym Geologii oraz Nauki o Metalach Kolorowych i Szlachetnych (ZNIGRI) w Moskwie. Doktor Jelena W. Matwiejewa, pracownik naukowy Wydziału Geologii, Metod Poszukiwania oraz Ekonomii Metali Szlachetnych w Złożach Okruchowych, zamieściła w niej rezultaty badań, przeprowadzonych przez nią wspólnie z kolegami, W. W. Stoljarenko i N. N. Rindziunską.

W ekspertyzie numer 18/485 z 29 listopada 1995 roku przedstawiono szczegółowy opis jednego ze stanowisk wykopaliskowych:

„W okresie prac wykopaliskowych podjętych przez ZNIGRI w 1995 roku w rejonie dolnego biegu rzeki Balbanju znaleziono dwa spiralne obiekty w próbkach pobranych waluwalnej złotonośnej ciężkiej frakcji rudy wzbogaconej. Próbkę pobrano w przekroju złóż aluwialnych trzeciej terasy zalewowej na lewym brzegu rzeki Balbanju, zorientowanej wzdłuż linii 106 (wiercenia 110-112). Odkryto w tym miejscu, we wzmocnionej stemplami ścianie kopalni odkrywkowej, luźne pokłady biegnące od dołu ku górze”⁷⁶.

Dalej następuje wyliczenie poszczególnych zidentyfikowanych warstw wraz z podaniem ich miąższości, jednoznaczne przyporządkowanie geologiczne znalezionych tajemniczych artefaktów, jak również ich datowanie stosownie do przyporządkowania geologicznych pokładów:

„Wzbogaconą rudę, w której znajdowały się omawiane spiralne obiekty, można uznać za typowe złożo żwirowe oraz osuwiskowe trzeciego pokładu, który według naszej oceny (...) stanowi rezultat wewnątrzsedymencyjnego wymywania zakumulowanych warstw o różnorodnej genezie. Pokłady te można szacunkowo datować na 100.000 lat; odpowiadają one poziomym fragmentom »pokładów mikulskich« górnego plejstocenu”⁷⁶.

Plejstocen to wczesna epoka czwartorzędu, trwająca od około 1.800.000 do około 10.000 lat temu. W tej epoce okresy zlodowaceń występowały na przemian z okresami cieplejszego klimatu. Po plejstocenie nastąpił holocen – współczesna epoka historii Ziemi.

„POZAZIEMSKIE TECHNOGENNE POCHODZENIE”

Choć brzmi to niewiarygodnie, te uralskie artefakty pochodzą z epoki kamiennej, w której – według „niezbitej fachowej wiedzy” – żyli tam jedynie neandertalczyki, dzicy jaskiniowcy z maczugami. Po raz kolejny podstawy naszego tradycyjnego poglądu na przeszłość zaczynają się chwiać. Jednak wygodniejsze jest chowanie głowy w piasek strusim zwyczajem i zamiatanie kłopotliwego problemu pod dywan, wystawienie go na pośmiewisko lub po prostu całkowite przemilczenie. Ale nie wolno nam przejść obok takich faktów, musimy zająć się nimi, bez względu

na rezultat.

Dalej w ekspertyzie ZNIGRI opisano pobrane przez instytut próbki, które przebadano za pomocą mikroskopu elektronowego JSM T-330 japońskiej firmy JEOL Electronics. Analizę widmową wielokrotnie przeprowadzono, a uzyskane na tej podstawie dane zestawiono w tabeli zamieszczonej w wymienionej ekspertyzie.

Przedmiotem dogłębnych badań były nie tylko formy krystalizacji oraz strukturalne osobliwości pierwiastka wolframu, który w przyrodzie występuje tylko w stanie związanym. Stwierdzono w ekspertyzie, że metal ten „w niezwyklej formie spirali” w ogóle w naturze nie występuje, co w dużym stopniu uprawdopodobnia wnioski o sztucznym pochodzeniu tych artefaktów. Na uwagę zasługują też przedstawione na końcu opracowania wnioski, do jakich doszli pracownicy moskiewskiego instytutu, gdyż stanowią one jawne zaprzeczenie poglądów głoszonych przez naukowy establishment. Doktor Matwiejewa i jej koledzy stwierdzają „że wiek pokładów oraz warunki pobrania próbki wskazują tylko na wysoką wiarygodność twierdzenia, że niezwykle krysztaly wolframu w kształcie spirali nie mogły się tu znaleźć wskutek przelatywania nad obszarami Uralu rakiet wystrzeliwanych z kosmodromu Plisieck”⁷⁶.

O co tu chodzi? Pora na wyjaśnienie powyższych wniosków. Tajemnicze obiekty nie są pozostałością metalowych elementów rakiet wyprodukowanych współcześnie. Przemawia za tym choćby głębokość pokładów, w których na masową skalę występują owe artefakty. W przeciwnym razie obiekty te byłyby zgrupowane na powierzchni gruntu lub wymyte do podłoża na głębokość co najwyżej kilku centymetrów.

Ostatnie zdanie raportu ekspertyzy definiuje istotę sprawy:

„Przedstawione dane pozwalają na postawienie pytania o ich pozaziemskie, technogenne pochodzenie”⁷⁶.

Kim byli ci, którzy w zamierzonych czasach pozostawili po sobie te obiekty? Na pewno wyprzedzali nas o lata świetlne w rozwoju technologicznym. My stawiamy dopiero pierwsze kroki w obszarze nanotechnologii. Dzięki wizjonerom takim jak doktor K. Erie Drexler dojdziemy w niedalekiej już przyszłości do etapu rozwoju myśli technicznej, który już kilkaset tysięcy lat temu osiągnęli pozaziemscy wytwórcy artefaktu z Coso oraz obiektów ze wschodnich obrzeży Uralu.

ZGŁASZA SIĘ CICAP

Chciałbym w tym miejscu przedstawić czytelnikom ostatnie wydarzenia związane z artefaktami ze wschodniego Uralu. Poprzez fizyka doktora Stefano Bagnasco nawiązał ze mną kontakt Comitato Italiano per il Controllo delle Affermazioni sul Paranormale, w skrócie CICAP. Pod tą przydługą nazwą kryje się włoska sekcja organizacji Committee for Scientific Investigation of Claims of Paranormal, w skrócie CSICOP. Jest to organizacja obecnie obejmująca swoim zasięgiem cały świat. Jej głównym celem jest występowanie przeciwko wszystkiemu, co nie mieści się w głównym nurcie naukowego establishmentu. A zatem przeciwko wszystkiemu, co paranormalne, pozaziemskie, kryptozoologiczne i tak dalej, a więc co podważa uświęcony obraz świata, wywodzący się od Kartezjusza.

Członkowie tej nowej inkwizycji nie noszą wprawdzie habitów, nie stawia się już również stosów heretykom, lecz za to kierują do środków publicznego przekazu oraz rozmaitych instytucji „naukowych” epistoły i argumenty mające, w miarę możliwości, podawać w wątpliwość poglądy odbiegające od ortodoksji.

Doktor Bagnasco, pracownik Narodowego Instytutu Fizyki Nuklearnej w Turynie, przedstawiający się jako „fellow of CICAP” (członek CICAP), zwrócił się do mnie w piśmie z 5 grudnia 2006 roku z prośbą o przekazanie mu wyczerpujących materiałów na temat rosyjskich nanoznalezisk, ponieważ uzyskał informacje, jakoby zaliczał się do bardzo wąskiego grona osób na Zachodzie, które dysponują największym zasobem materiałów – wliczając w to fotografie oraz naukowe ekspertyzy – poświęconych tym artefaktom. Opracowanie Instytutu ZNIGRI uznał za

„intrygujące” i poprosił o odpis rosyjskiego oryginału oraz, jeśli takowe posiadam, tłumaczenie na język angielski lub włoski.

W dalszych słowach zapewnił mnie, iż nie jest jego zamiarem uznanie tego znaleziska za z góry nieprawdziwe, lecz chciałby przebadać dostarczone materiały „z możliwie dużym obiektywizmem, bez jakichkolwiek uprzedzeń i bezstronnie”⁷⁷.

Ponieważ jestem przekonany o autentyczności uralskich artefaktów, a poza tym nie mam nic do ukrycia, przesłałem żądane materiały na początku 2007 roku na adres podanej w liście instytucji. Wierzę, że obiektywna ocena wymaga sporo czasu, ponieważ do dziś dnia nie otrzymałem potwierdzenia odbioru czy też zwrotu.

Uznanie tajemniczych nanoobiektów za fałszerstwo lub za coś, co zgoła nie istnieje, byłoby jednocześnie grubiańskim aktem dyskredytującym instytucje, które do tej pory zaangażowały się w badanie artefaktów. Prawdopodobnie w CICAP i CSICOP mozolą się teraz nad próbą nadania tym znaleziskom piętna nonsensu lub zdezwuowania ich w taki czy inny sposób. Poczekamy, zobaczymy...

7

ZNIKNĄŁ W OTCHŁANI BŁĘKITNEGO ŚWIATŁA

GWIEZDNE WROTA W ANDACH

Jestem przekonany, że wiele pradawnych budowli, na które spoglądamy dzisiaj ze zdumieniem, na przykład Tiahuanaco w boliwijskich Andach, nie jest dziełem ziemskich istot.

Profesor Hans Schindler-Bellamy (1901-1982), uczonec i badacz starożytności

Teoria – której nie można zarzucić, że nie opiera się na naukowych podstawach – zakładająca, iż z bezkresów kosmosu przybyła na Ziemię obca cywilizacja, przyciągnęła też uwagę przemysłu rozrywkowego. Jedną z najbardziej godnych obejrzenia produkcji filmowych ostatnich lat, czerpiącą po części z dorobku dziedziny paleo-SETI, jest „Gwiezdne wrota”, kultowe dzieło niemieckiego reżysera Rolanda Emmericha. Bohaterowie filmu, po przejściu przez pozostawione na Ziemi przez technicznie nieporównywalnie bardziej od nas zaawansowanych obcych gwiazdne wrota, mogli podróżować po wszechświecie, w którym przestał obowiązywać wymiar czasu. Potem nakręcono równie udany serial telewizyjny z Richardem Deanem Andersonem w roli głównej (aktor ten pozostał w pamięci widzów jako odtwórca roli McGyvera, samotnego bojownika obdarzonego niespożytą siłą i inwencją).

Gdy filmowa załoga ma zostać wysłana do jakiegoś zakątka wszechświata, bohaterowie przechodzą przez galaretowatą powierzchnię aktywowanych gwiazdnych wrót, by krótko potem wyłonić się na światło dnia z identycznego urządzenia na odległym o wiele tysięcy lat świetlnych ciele niebieskim. „Beam me up, Scotty!”

Można podejrzewać, że twórcy filmu i telewizyjnego serialu wpadli na pomysł dzieła, znalazłszy się w rozrzedzonym powietrzu Andów, w pobliżu położonego na wysokości 3800 metrów nad poziomem morza jeziora Titicaca. Tam bowiem znajduje się owiany tajemnicą skalny obiekt, któremu przypisuje się dokładnie takie samo działanie jak jego filmowemu odpowiednikowi. Nazywany jest Gwiazdnymi Wrotami Andów (fot. 28-29).

W październiku 2002 roku odwiedziłem to zagadkowe miejsce, tak odległe od Europy. Znalazłszy się tam, zyskałem sposobność poznania opowieści osiadłych tu od wieków Indian. Jeśli dać wiarę lokalnym przekazom i podaniom, działy się tu rzeczy niesłychane.

NIE Z TEGO ŚWIATA

To miejsce nosi nazwę Hayu Marca i leży w odległości 85 kilometrów od Puno, miasta położo-

nego nad jedną z zatok w północno-zachodniej części jeziora Titicaca i stanowiącego ośrodek administracyjny peruwiańskiego departamentu o tej samej nazwie. Stąd dowozi się turystów do usytuowanej w pobliżu nekropoli Sillustani z jej widocznymi z daleka grobowymi wieżami. Kto przy okazji tam zajrzy, powinien koniecznie zobaczyć kamienny krąg z Sillustani. Z Puno również wypływają wycieczkowe łodzie ku malowniczym wyspom zbudowanym z trzciny, jeszcze przed kilkudziesięciami laty zamieszkanym przez lud Uru. O tym tajemniczym, obecnie już wymarłym, ludzie krąży wiele opowieści wręcz fantastycznych, które po raz kolejny kierują nasze myśli ku wpływowi spoza Ziemi.

KofSunowie, jak Uru siebie nazywali, nie chcieli mieć nic wspólnego z innymi Indianami. Nie zawierali małżeństw z członkami sąsiednich plemion, ponieważ – jak twierdzili – przybyli tu z kosmosu i pragnęli zachować tylko im właściwe cechy związane z ich wyjątkowym pochodzeniem. Odizolowani od reszty świata, żyli na pływających trzciniowych wyspach i bardzo rzadko, przy wyjątkowych okazjach, schodzili na stały ląd.

Pierwotnie zamieszkiwali nad brzegami jeziora Titicaca i zajmowali tereny aż po wybrzeże Oceanu Spokojnego. Kiedy jednak przed około 1400 laty na położony w Andach płaskowyż najechał wojowniczy indiański lud Ajmarów, a potem hiszpańscy konkwistadorzy, Indianie Uru zbudowali wyspy z trzciny, na których od tamtej pory żyli²⁴.

Lecz uznając swoją wyjątkowość, z arogancją traktowali innych mieszkańców regionu. Uważali, iż ich ciała nie toną i że nie odczuwają lodowatego zimna. Nie szkodziła im też wilgotna mgła, która u innych indiańskich ludów powodowała choroby, podobnie jak nie bali się „ognia niebios” – gromów i błyskawic. W ich żyłach krążyć miała czarna krew, a język, w którym rozmawiali ze sobą był całkowicie nieznanym pozostałym Indianom⁷⁸.

„My, ci inni, my, mieszkańcy jeziora, KofSunowie, nie jesteśmy ludźmi. Byliśmy tu wcześniej niż Inkowie, nawet przed Tatiu, ojcem niebios, który stworzył ludzi, Indian Ajmarów i Keczua oraz białych. Byliśmy tu już, zanim Słońce zaczęło oświetlać Ziemię. (...) Już wtedy, kiedy jezioro Titicaca było o wiele większe niż dzisiaj, (...) nasi ojcowie żyli tutaj. Nie, nie jesteśmy ludźmi. Nie mówimy ludzką mową, ludzie nie rozumieją też tego, co mówimy. Nasza głowa jest inna od głowy Indian. Jesteśmy bardzo starzy, jesteśmy Starszymi. Nie, nie jesteśmy ludźmi”⁷⁹.

W 1960 roku na wyspach z trzciny pływających po jeziorze Titicaca mieszkało jeszcze ośmioro czystej krwi członków ludu Uru. W 1962 roku zmarł ostatni z nich²⁴. Oglądani przez turystów przywożonych z Puno na krótką wycieczkę po pływających jeszcze trzciniowych wyspach rzekomi Urowie są w rzeczywistości Ajmarami, a więc należą do plemienia, z którym wymarli już „nie-ludzie” nie chcieli mieć żadnych kontaktów.

„WROTA DO ŚWIATA BOGÓW”

Powróćmy jednak do gwiazdnych wrót Hayu Marca. Dopiero pod koniec lat 90. XX wieku Jose Luis Delgado Mamani, przewodnik trekkingowych wypraw, natknął się na ten obiekt o ewidentnie nienaturalnym pochodzeniu. Jako przewodnik turystów z zagranicy, często prowadzący amatorów górskich wędrówek przez granie na zachodnim brzegu jeziora Titicaca, ciągle poszukiwał jeszcze nieprzetartych szlaków trekkingowych⁸⁰.

Do gwiazdnych wrót można dotrzeć po półtoragodzinnej jeździe samochodem główną drogą, która prowadzi do granicy Peru z sąsiadującą od południa Boliwią. Należy się zatrzymać za niezwykłą, mającą wężowaty kształt skałą. Później trzeba pokonać pieszko wyboiste skalne ścieżki i zbocza. Aż wreszcie pojawi się formacja o regularnej strukturze. Poza garstką niezmordowanych fanów trekkingu dociera w to miejsce naprawdę niewielu turystów.

Trzeba przyznać, że jest to sytuacja, która satysfakcjonuje osiadłych w tym regionie Indian, dla nich bowiem od niepamiętnych czasów Hayu Marca jest miastem bogów, świętym, rzecz jasna. I chociaż dotąd w pobliżu nie znaleziono żadnych ruin wskazujących na istnienie tu niegdyś miasta, niektóre z skalnych formacji przypominają budynki lub inne sztuczne twory. Natomiast bez

wątpienia nie jest dziełem natury ogromne wcięcie w skale. Z wielką precyzją wycięto pionowe wrota w naturalnej formacji skalnej o wysokości około 7 metrów – też sprawiającej wrażenie, że została wycięta z większej całości. Według miejscowych mitów i przekazów Ajmarów mają to być wrota do świata bogów, przez które mogli przechodzić nie tylko bogowie, ale także zwykli ludzie.

Skala o przedziwnie pofalowanej powierzchni, w której wykuto gwiazdne wrota, nie jest szczególnie gruba – jej grubość wynosi zaledwie kilka metrów. Nie ma się co łudzić, że wewnątrz niej znajdują się grotty lub jamy, w których można byłoby ukryć ludzi lub skarby. Pośrodku wrót, u podnóża skalnej ściany, leży kolejny portal, wysokości człowieka, mający około 1 metra szerokości i nieco ponad pół metra głębokości. Przekazy mówią o bohaterach, którzy w zamierzonej przeszłości przechodzili przez wrota, aby składać wizyty bogom – a przy tym zyskać nieśmiertelność. Od czasu do czasu powracają przez te wrota w towarzystwie bogów, by po krótkim pobycie na tym świecie znów udać się w kierunku przeciwnym. Tak jak dzieje się to w filmie i telewizyjnym serialu.

W TUNELU EMANUJĄCYM BŁĘKITNĄ POŚWIATĄ

Znacznie mniej stary przekaz pochodzi z nieszczęsnej epoki, w której potężne niegdyś imperium Inków zostało przez Hiszpanów ujarzmione, a potem systematycznie rabowane. Działo się to w latach 1532-1533, a hiszpański szlachcic Francisco Pizarro (1478-1541) okazał się szczególnie krwawym zdobywcą. Legenda z tamtych dni opowiada o inkaskim kapłanie Aramu Maru ze Świątyni Siedmiu Promieni, który uciekał przed ogarniętymi nienasyconą żądzą złota hiszpańskimi konkwistadorami. Miał przy sobie świętą tarczę z czystego złota, którą nazywano Kluczem Bogów Siedmiu Promieni.

Inkaski kapłan schronił się przed Hiszpanami w górach w pobliżu Hayu Marca. Gdy dotarł do szamanów strzegących gwiazdnych wrót, pokazał im Klucz Bogów. Po odprawieniu rytuału Indianom udało się otworzyć wrota za pomocą złotej tarczy. Ich oczom ukazał się tunel emanujący jaskrawą niebieską poświatą, w którym Aramu Maru zniknął na wieki. Hiszpanom nigdy nie udało się go znaleźć, a także zabranych przez kapłana złotych skarbów⁸⁰.

Nie odnaleziono też złotej tarczy, którą inkaski kapłan przekazał szamanom strzegącym wrót, zanim wkroczył do tunelu z błękitną poświatą.

Tyle opowiada legenda o Aramu Maru. Czy jest to tylko legenda o herosie, stworzona przez ludy Andów, czy może kryje się w niej ziarno prawdy? Któż dzisiaj zna rytuały, jakie odprawiali szamani? Czy nie miały one żadnego sensu? A może w trakcie ucieczki przed ogarniętymi żądzą złota Hiszpanami zastosowano technologię, którą do dziś uznaje się za science fiction.

Kiedy przyjrzałem się dokładnej owym gwiazdnym wrotom w Hayu Marca, moją uwagę przyciągnęło znajdujące się po lewej stronie portalu okrągłe zagłębienie wielkości talerzyka, do którego dałoby się włożyć złotą tarczę z indiańskiej legendy. Czy jest to, być może, ślad po – dzisiaj już niedziałającym bez pasującego doń „klucza” – mechanizmie, za pomocą którego kiedyś można było aktywować gwiazdne wrota?

W każdym bądź razie Indianie opowiadają – przysięgając przy tym na wszystkie świętości – że te wrota są miejscem, przez które wszyscy ich bogowie któregoś dnia w nie bardzo odległej przyszłości, powrócą tu. Wtedy też znów nastąpi złota epoka

GŁÓWNY OBÓZ BOGÓW

Gdy opuścimy gwiazdne wrota z Hayu Marca i podążymy wspomnianą główną trasą w kierunku południowym, w niedługim czasie przekroczymy granicę z Boliwią, sąsiadem Peru od południa. Po przejechaniu około 150 kilometrów dotrzemy do niezwykle fascynujących i zagadkowych ruin dawnych miast: Tiahuanaco i Puma-Punku.

Byłem tam już trzy razy. Wędrowałem po płaskowyżu, na wysokości 4000 metrów nad poziomem morza, i nie mogłem wyjść z podziwu, oglądając arcydzieła techniki budowlanej, które mogą zachwycić nawet nas, ludzi XXI wieku. Dzięki asfaltowej szosie prowadzącej do obu sąsiadujących ze sobą miejsc można wygodnie dojechać z La Paz po około 90 minutach. Gdy odbywałem moje pierwsze dwie podróże, w roku 1993 i 1996, ze stolicy Boliwii jechało się tam co najmniej cztery godziny wyboistą drogą, pełną głębokich po kolana wyrw i dziur. Podróż starą wąskotorową koleją andyjską, której trasa biegnie w pobliżu ruin, trwałaby chyba wieczność, jednak kolej tę i tak zamknięto z powodu braku rentowności.

Indianie Ajmarowie – lud, którego ubiorem są tylko przepaski na biodrach – mieli przed 2000-3000 lat, przy użyciu kamiennych narzędzi, miedzianych pił oraz nasyconych wodą drewnianych klinów, wznieść tu wspaniały zespół świątyń. Tak twierdzą archeolodzy. W o wiele wcześniejszych czasach inteligencja nie pochodząca z tej Ziemi, dysponująca zaawansowanymi technicznie narzędziami, wykorzystując jako budulec występujące tu twarde jak stal skały, andezyty, zbudowała tam obóz główny do własnych celów. Takie jest moje zdanie.

Warunki panujące w tej części świata, gdzie w rozrzedzonym powietrzu centralnych Andów oddycha się z trudem, nie pozwalają uwierzyć, że pónadzy Indianie byliby w stanie wznieść potężne budowle, z którymi mało innych może się równać. Kto chociaż raz widział na miejscu te kolosalne ruiny, ten potraktuje zdanie archeologów z wyrozumiałym uśmiechem.

WODOCIĄGI, KTÓRE NIGDY NIE BYŁY WODOCIĄGAMI

Ruiny miasta Tiahuanaco otacza tajemnica. Płaskowyż, na którym się one znajdują, wygląda jak surrealistyczny krajobraz z innej planety. „Żaden człowiek – o czym mówią miejscowe podania i przekazy – nigdy nie widział Tiahuanaco w innej postaci niż jako ruiny, ponieważ miasto „zostało wzniesione przez bogów w ciągu zaledwie jednej nocy”. Nad ruinami, których wiek wciąż nie jest dokładnie określony, unosi się mgła niewiedzy^{81,82}.

Ważące nawet do 100 ton, wykute z jednej bryły elementy budowlane wykonane z twardych skał głębinowych otaczają dziedziniec, który nosi nazwę Calasasaya. W ostatnich latach pracujący tam archeolodzy popełnili fatalne „błędy budowlane”. Wolne przestrzenie między potężnymi monolitami wypełniono w sposób całkowicie dowolny skalnymi prostopadłościennymi blokami, jakie były rozrzucone po całym terenie. Tak zrekonstruowano mur, który w tej postaci bez wątpienia nigdy nie istniał. Nawet laik dostrzeże, że mur ustawiono niefachowo, tak jak dzieci ustawiają klocki.

Miejsce to, które padło ofiarą radosnej twórczości archeologów, powinno stanowić ostrzeżenie, że nie wszystko, co ma profesorski cenzus, należy bez zastrzeżeń brać za dobrą monetę.

Opinia ta odnosi się także do tak zwanych wodociągów z Tiahuanaco. Są to obiekty w kształcie rozpołowionych podłużnie rur, które znaleziono w ziemi i które sprawiają wrażenie, jakby wykonano je techniką przemysłową. Niektóre z nich, niewątpliwie wbrew pierwotnemu przeznaczeniu, obecnie wmontowano w „zrekonstruowany” mur, jakby były elementami dekoracyjnymi.

Półowki rur o prostokątnym przekroju mają gładką powierzchnię i obrobione krawędzie. Są perfekcyjnie dopasowane do siebie i dają się układać niczym elementy budowli z gotowych modułów. Precyzją wykonania przypominają współczesne betonowe prefabrykaty odlewane z formy. Po raz kolejny nasuwa się pytanie, czy niedysponujący technicznym doświadczeniem Indianie, używający prymitywnych narzędzi, mogli być ich twórcami. Jeszcze bardziej niewiarygodne wydaje się uznanie przez archeologów niektórych z tych znalezisk za zwykłe rury wodociągowe, mające postać dwóch zetkniętych ze sobą półówek o dokładnie oszlifowanych krawędziach.

Drobnym defektem tej interpretacji jest fakt, że wszystkie półowki rur, które wykopano z ziemi w Tiahuanaco, są górnymi półówkami. Gdyby rzeczywiście miały to być wodociągi, od biedy można byłoby zrezygnować właśnie z górnych półówek – nigdy zaś z dolnych⁸³.

Takie przynajmniej jest moje stanowisko. Uważam, że półowki rur, wykonane tak precyzyjnie, iż wyglądają jak odlewy, nigdy nie służyły za wodociągi. Inne elementy budowlane, wykonane ręcznie

i obrobione technicznie z niewiarygodną precyzją – opiszę je dalej bardziej szczegółowo – pozwalają wysunąć przypuszczenie, że jakaś wyżej rozwinięta obca inteligencja urządziła własną bazę operacyjną na Płaskowyżu Boliwijskim (Altiplano). Ta budowla nie była świątynią i nie miała nic wspólnego z kultem czy religią. Dopiero Indianie, już w późniejszych czasach, nadali jej takie znaczenie. Ale wtedy projektanci i budowniczowie już dawno opuścili ów obiekt na płaskowyżu w Andach.

Obcy, którzy przybyli z bezkresnej dali wszechświata, dysponowali wysokorozwiniętą technologią – przyrządami do cięcia laserowego, precyzyjnymi frezarkami oraz innymi narzędziami umożliwiającymi dokładność wykonawstwa. Zabrali je ze sobą w powrotną podróż przez kosmos. Korzystając z budulca dostępnego na miejscu – andezytu i diorytu, dwóch skał głębinowych dorównujących twardością granitowi – wzniesli funkcjonalne budowle. Między budowlami ułożono górne połówki rur, dziś błędnie interpretowane jako „wodociągi”. Według mnie była to ochronna obudowa kabli energetycznych, których sieć pokrywała cały obszar kompleksu budynków.

Inteligentne istoty, które potrafiły wykonać takie rury, jak te znalezione w Tiahuanaco, mogły dysponować wysoko zaawansowaną wiedzą techniczną. Zatem nie postąpiłyby wbrew regułom sztuki budowlanej i nie zbudowałyby oraz nie ułożyły wodociągów z rozpołowionych rur. Stosując o wiele prostszą technikę i przy o wiele mniejszym nakładzie pracy, można było przecież nawiercić nieco większy otwór, którym dałoby się transportować dwu- lub trzykrotnie większą ilość wody. Przede wszystkim zaś nie wybrałyby dla rur prowadzących wodę przekroju prostokątnego, ponieważ wiedzieli z pewnością, że w narożnikach woda się spiętrza i gromadzą się tam osady. Ponadto, gdyby zamierzali poprowadzić nimi wodę, specjaliści wykonaliby dolne połówki rur.

Omawiając na początku rozdziału gwiazdne wrota z Hayu Marca, wspomniałem o hiszpańskich konkwistadorach, którzy najechali Peru w pierwszych trzech dekadach XVI wieku. Pragnęli oni dowiedzieć się czegoś o budowniczych Tiahuanaco, jednak miejscowa ludność przekazała im wyłącznie dawne podania, mówiące, że Tiahuanaco było miejscem, w którym niegdyś bogowie stworzyli człowieka. Prawdopodobnie te same istoty wykonały też i ułożyły rury, lecz z całą pewnością nigdy nie były to wodociągi.

DRUGA STRONA BRAMY SŁOŃCA

Bezspornie najbardziej znanym obiektem w Tiahuanaco, przedstawianym w rozlicznych publikacjach, jest Brama Słońca. Nadanie tej nazwy jest wyrazem całkowitej samowoli archeologów – żaden człowiek nie wie, jak nazywała się pierwotnie ta wykuta z monolitu budowla. Na przedniej stronie tego gigantycznego monolitu można rozpoznać 48 figur, które – umieszczone w trzech fryzach – otaczają znajdującą się pośrodku sylwetkę leżącego boga. Żadnemu z archeologów nie udało się do dziś przedstawić przekonującego wyjaśnienia, co znaczą owe figury na fasadzie Bramy Słońca mającej wysokość 3 metrów, a szerokość 4 metrów. Spekulacje na ten temat są różnorakie.

Francuski badacz i autor, Robert Charroux (1909-1978), doszedł do przekonania, że zdołał odczytać fantastyczną opowieść z fryzów na frontowej stronie bramy. Według niego dotyczy ona bogini imieniem Orejona, która przybyła z sąsiadującej z Ziemią planety Wenus. Ze związku bogini z samcem tapira miał się zrodzić rodzaj ludzki⁸⁴.

Szczerze wątpię, czy Charroux z pełnym przekonaniem ogłosił tę opowiastkę. Z wielkim trudem przychodzi mi zrozumienie, dlaczego niektórzy współcześni ludzie odczuwają potrzebę ucieczki do utopii. Przecież rzeczywistość, z jaką spotykamy się na Altiplano, jest bez porównania bogatsza niż fantazja.

Nieco bardziej przekonujące są założenia, jakie przyjął pochodzący z Wiednia Hans Schindler-Bellamy (1901-1982), który zajmował się mitologią i historią Ameryki Południowej. Jego zdaniem 48 postaci, których wizerunki budzą skojarzenia z techniką należy interpretować jako kalendarz sięgający w przeszłość odległą 22.000 lat.

W kwestii datowania budowli wciąż można się sprzeczać, chociaż dzisiaj archeolodzy szacują jej

wiek na nie mniej niż 2000-3000 lat. Lecz ja wciąż nie rozumiem, dlaczego Brama Słońca jest ukazywana tylko i wyłącznie od przedniej strony. Tylna strona monumentu, wykutego z jednego bloku andezytu, jest według mnie o wiele bardziej interesująca. Sposób obróbki tego obiektu, wykonanego z bardzo twardej skały, jest – bez przesady – fascynujący. Musiała tu znaleźć zastosowanie technologia, która była co najmniej równoważna współczesnej. Cięcia były dokonywane jak przy linijce lub, mówiąc trafniej, jak przy użyciu promieni lasera – wszelkie wyżłobienia, krawędzie i kąty cechuje maksymalna precyzja wykonania. Nigdzie nie znajdzie się najmniejszego choćby odchylenia. Wszystko jest obrobione z dokładnością do dziesiątych części milimetra.

Jakim sposobem Indianie Ajmarowie, którzy – zdaniem oficjalnej archeologii – są twórcami tego wspaniałego kompleksu, byli w stanie wykonać takie trójwymiarowe i o najwyższym stopniu skomplikowania prace, wykorzystując jako budulec twardą jak stal skałę i posługując się wyłącznie prymitywnymi narzędziami. Badacze starożytności uważają że Ajmarowie znali jedynie prymitywne kamienne młotki, kliny z moczonego drewna oraz piły z miękkiej miedzi. Gdybyśmy chcieli dzisiaj postawić od fundamentów podobną budowlę, stosując narzędzia uzyskane dzięki nowoczesnej technologii, rezultat daleko odbiegałby od oryginału na Altiplano.

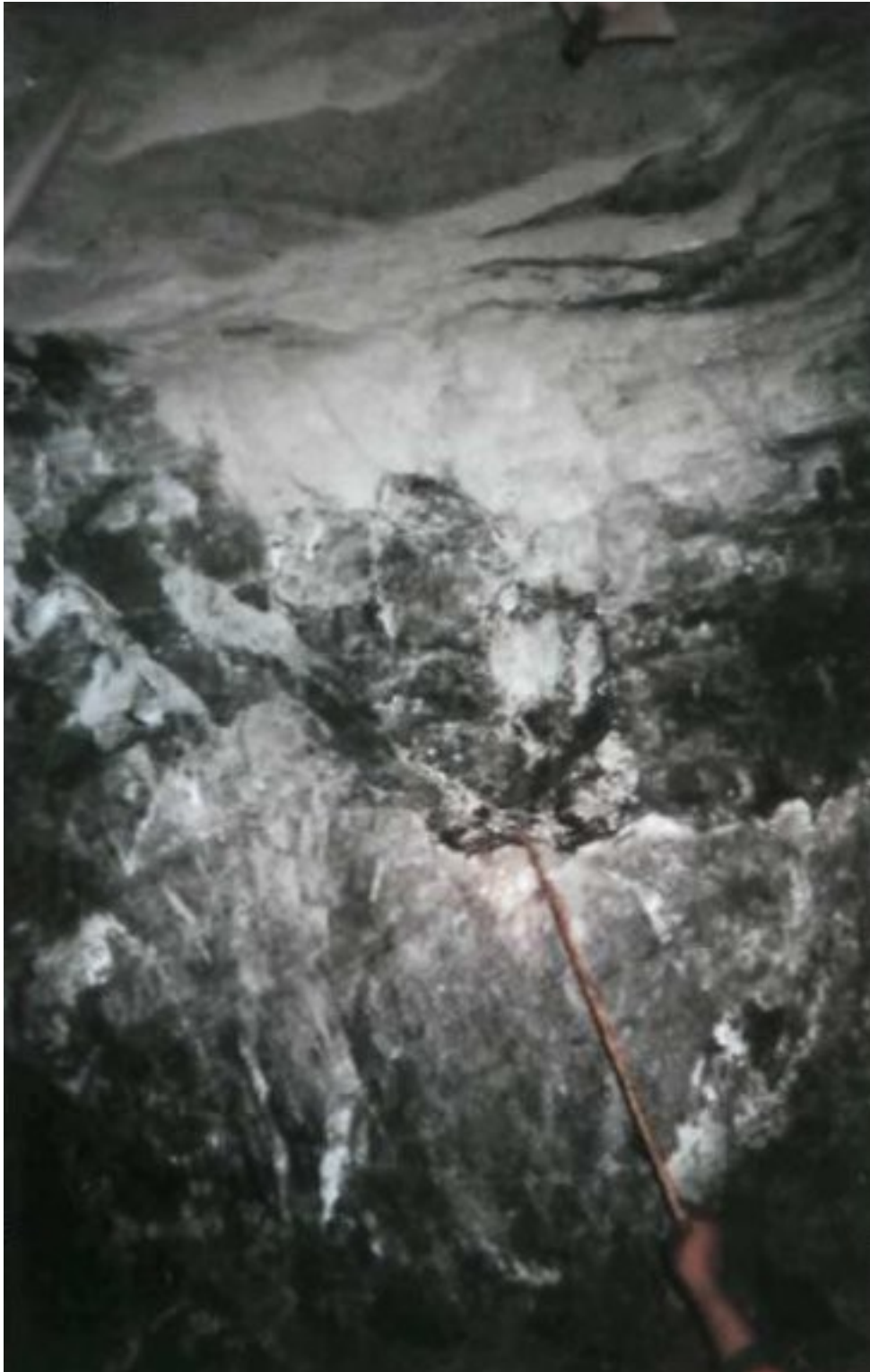
Czyż nie powinno się uczonym przypisującym Ajmarom to dzieło wcisnąć w dłonie miedziane piły i kamienne dłuta i, stosując łagodny, ale stanowczy przymus, nakłonić ich do wykonania choćby jednej wiernej kopii prastarej kamieniarskiej roboty? Byłoby to dla nich wystarczającą nauzką.

Przychodzi mi tu na myśl porównanie z innym badaczem starożytności. W 1956 roku na Wyspie Wielkanocnej w kraterze wulkanu Rano Raraku, gdzie kiedyś stały setki słynnych kolosalnych posągów (*moais*) wykutych w kamieniu, norweski podróżnik i badacz Thor Heyerdahl (1914-2001) postanowił sprawdzić, ile czasu zajmie wytworzenie jednej takiej rzeźby. Heyerdahl wynajął do pracy dwa tuziny mieszkańców wyspy, którzy całymi dniami zawzięcie obrabiali twardą wulkaniczną skalną bryłę kamiennymi dłutami. Po jakimś czasie całkowicie przeszła im ochota na dalszą mozolną kamieniarską robotę. Pozwolono mi obejrzeć na miejscu rezultaty ich wysiłków. Było to jedno wyżłobienie długości około 6 metrów, szerokości zaledwie kilku milimetrów.

Przeprowadzona przez Heyerdahla próba, którą uznać należy za jednoznacznie nieudaną może stanowić przykład tego, co wydarzyło się bez wątpienia na andyjskim płaskowyżu na wysokości prawie 4000 metrów w Boliwii. Według wszelkiego prawdopodobieństwa kolosalne monumenty zostały wzniesione przez kogoś innego niż Ajmarowie. I znacznie dawniej, niż uważa klasyczna archeologia.



1. Kopalnia uranu w Okło. Na pierwszym planie widać wyrobisko powstałe wskutek odkrywkowej eksploatacji, dalej – wieżę szybową kopalni. W 1988 roku kopalnię zalano.



2. Wskaźnik pokazuje liczący prawie 2 miliardy lat rdzeń reaktora, widoczny w postaci ciemniejszej inkluzji (wrostków) w skale macierzystej.



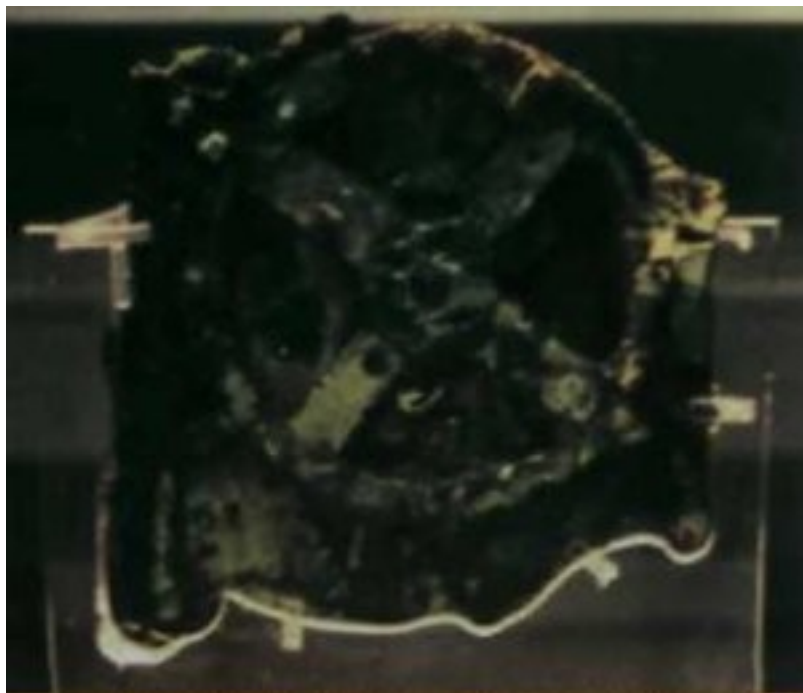
3. Ten reaktor obudowano ochronnym płaszczem z betonu.



4. Kolumna wciąż opiera się działaniu rdzy. Według najnowszych ustaleń nie jest jedynym tego rodzaju obiektem w Indiach.



5. Ten obiekt nie powinien istnieć! Przeprowadzone badania wykazały w nim niewiarygodnie wysoką zawartość tlenu, sięgającą 15%! Gdzie wytworzono taki stop?



6. W Muzeum Narodowym w Atenach znajduje się „maszyna z Antikithiry”. Dopiero w 2006 roku potwierdzono, że jest to komputer, liczący ponad 2000 lat.



7. Najbardziej spektakularną częścią „gwiazdowego komputera” jest tarcza obrotowa dyferencjału. Ten wynalazek opatentowano dopiero w 1828 roku.



8. Ta częściowa rekonstrukcja przedstawia najważniejsze koła zębate i przekładnie urządzenia owianego mgłą tajemnicy, zarówno dawniej, jak i dziś.



9. Kulty cargo – prymitywni mieszkańcy Nowej Gwinei naśladowali technikę, której nie rozumieli. A jeśli nasi przodkowie z zamierzchłej przeszłości, jak oni, nie rozumieli cywilizacji pozaziemskiej?



10. Ta figura w hemie znaleziona w Meksyku ma typowe atrybuty astronauty. Bardzo funkcjonalnie jest rozwiązane połączenie hełmu z częścią barkową skafandra.



11. Uwieczone w Kamieniu wizerunki głów w hełmach, podobnych do współczesnych wielofunkcyjnych hełmów.



13. Tak wyglądają najchętniej fotografowane obiekty w Narodowym Muzeum Antropologii w stolicy Meksyku. Podobne do nowoczesnych zespołów napędowych rakiet nośnych *Saturn V* są nazywane przez archeologów „ceremonialnymi naczyniami Tolteków”.



15. Co wspólnego mają dawni Majowie z nowoczesnymi „zestawami słuchawkowymi”? Podobieństwa z nowoczesną techniką estradową nie sposób przeoczyć.



16.



17. Ramiona tej postaci do złudzenia przypominają ramiona robotów, jakimi posługujemy się dzisiaj w laboratoriach do manipulowania niebezpiecznymi materiałami. Czyż można nadal upierać się, że jest to „kapłan wykonujący rytualne czynności”?



18. Ten przedziwny stwór liczy ponad 3000 lat i pochodzi okresu dynastii Zhou. Sfotografowałem go w muzeum prowincji Xian (Chiny).



19. W Zou znajdują się te dwie wysokości około 2 metrów stele, na których są wizerunki chimer o pokrytym łuską ciele gada. Unoszą one nad głową – pozdrowienia z Egiptu – tarczę słoneczną. Dla lepszej wyrazistości oblane wodą.



20. Postać człowieka z głową węża (po lewej). Ta licząca prawie 2500 lat figura wystawiona w Muzeum Historii Miasta Pekin, przypomina „kapłana-węża” z filmu „Conan barbarzyńca”. Czy jest to twór zaawansowanej inżynierii genetycznej, czy też dzieło pozaziemskej inteligencji?



22. W Ciutadella na Minorce jednym z eksponatów jest szkielet zwierzęcia *Myotragus balear* będącego osobliwą hybrydą psa i kozy.

PRZESŁANIE W KAMIENIU

Puma-Punku to kompleks oddalony w linii prostej o około 800 metrów od Bramy Słońca. Jego nazwa oznacza: Brama Lwów. W przeciwieństwie do innych ruin Tiahuanaco Puma-Punku sprawia wrażenie miejsca celowo i systematycznie zburzonego. Leżą tu porzucane liczne, po części gigantyczne elementy budowlane, jak po potężnej eksplozji. Nie można ich przesunąć ani stąd zabrać, ponieważ nie istnieją dźwigi, które byłyby w stanie podnieść kamienne bloki ważące kilkaset ton. Wiele tych brył przypomina gotowe odlewy z betonu, choć z pewnością nie są betonowe. Po raz kolejny zwracam uwagę czytelnikom, że są one wykonane z bardzo twardych skał magmowych – andezytu i diorytu.

To jednak tylko część zagadki. Kolejna wiąże się z pytaniem, jak w ogóle te bloki dotarły do tego miejsca. Większość bloków andezytu znajdujących się w Puma-Punku pochodzi z Cerro Capira, oddalonego stamtąd o 80 kilometrów wygasłego wulkanu. Północna strona wulkanu przylega do jeziora Titicaca. Z tych 80 kilometrów nie mniej niż 50 kilometrów można byłoby przebyć drogą wodną. Na boliwijskim Altiplano nie rosną jednak drzewa, które dałoby się wykorzystać do budowy tratw, jakimi można byłoby przewieźć kamienne kolosy ważące 100 ton. Do budowy tratw nadaje się wyłącznie drewno z drzew balsa, które rosną w o wiele niżej położonych lasach u wschodnich podnóży Kordyliery Andyjskiej. Wiadomo jest, że Indianie z wysokich gór aż po najnowsze czasy budowali tratwy z drewna balsa, służące do przewożenia ciężarów do 10 ton. Jakież supertratwy byłyby konieczne do przetransportowania elementów budowlanych o ciężarze dziesięciokrotnie większym?

Ale to nie koniec pytań. Jakim sposobem da się załadować potężny monolit na hipotetyczną tratwę, która przed obciążeniem musi wystawać z wody na wysokość co najmniej 4 metrów, by potem na te 4 metry zanurzyć się po załadowaniu? Ponadto na trawie musiałyby znajdować się urządzenia do bezpiecznego zamocowania skalnych bloków, ich załadunku zaś można było dokonać jedynie na krótkich odcinkach wybrzeża jeziora. Do tego musiałyby być użyte żurawie, drewniane rolki oraz bardzo wytrzymałe liny, niemal nie do zdarcia, jak również – *last but not least* – ogromna armia robotników, których zadaniem byłoby ścinanie drzew, ściąganie ich do jeziora Titicaca i tam budowanie z nich kolosalnych tratw zdolnych do przetransportowania bloków andezytu i diorytu. Należałoby rozwiązać nie tylko poważne problemy w zakresie wykonawstwa, ale także jeszcze większe związane z logistyką!⁴⁸

Elementy budulcowe, które wyglądają jakby były rezultatem produkcji seryjnej, zdobią krajobraz, ustawione przez archeologów i ich pomocników – w sposób równie dowolny jak bezsensowny – niczym perły nanizane na sznur. Na przedniej stronie każdego z tych bloków są wycięte dwie nisze; dalsze bruzdy, krawędzie i zagłębienia znajdują się z tyłu. Erich von Däniken, autor bestsellerów, zlecił wykonanie animacji komputerowej z wykorzystaniem tych „prefabrykowanych” materiałów budulcowych na potrzeby swojej książki oraz dokumentalnej serii telewizyjnej opatrzonej tytułem *Aufden Spuren der All-Machtigen* („Na tropach Wszechmogącego”). Komputer dopasował wirtualnie poszczególne bloki i okazało się, że wszystkie wpusty i wnęki doskonale do siebie pasowały. Niczym z kompletu z gotowymi modułami powstał mur, który wzniesiono bez użycia zaprawy murarskiej. Środek wiążący okazał się zbędny. Mur był wodoszczelny i nie przepuszczał powietrza, ponadto z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością nie zniszczyłoby go nawet potężne trzęsienie ziemi⁴⁶.

Na kolejny blok diorytu natknąłem się w pobliżu, obiegając wzrokiem cały teren, który wyglądał jak po wybuchu bomby. Blok miał 1,10 metra wysokości, był w przekroju kwadratowy, a boczne ściany mierzyły nieco ponad 40 centymetrów. Zbędne chyba jest stwierdzenie, że pomiary wykonane kątownikiem ze stali szlachetnej wykazały, iż kąty tego bloku mają 90° z dokładnością do kątowej sekundy. Wzdłuż jednego boku na całej jego długości przebiega pionowa, wykuta precyzyjnie bruzda, szerokości około 5 milimetrów. W bruzdzie w równie perfekcyjnie równo oddalonych od siebie odstępach są nawiercone otwory średnicy niecałych 4 milimetrów. Jeśli ktoś chciałby mnie przekonać, że jakiś Indianin w swojej pełnej wyrzeczności egzystencji z nieskończoną

cierpliwością, używając drewnianych i kościanych narzędzi, obrabiał ten kamienny blok, ten traci czas na próżno.

Jakie technicznie zaawansowane wiertła i frezarki zastosowano tu w rzeczywistości? Kto powątpiewa w istnienie tak doskonale obrobionej skalnej materii, tego odsyłam do fotografii 30.

Mógłbym opowiedzieć jeszcze wiele niezwykle ciekawych rzeczy o każdym większym kamieniu w Puma-Punku, ale zbyt wiele jest miejsc i obiektów na świecie, które zasługują na naszą uwagę, żebyśmy teraz trzymali się tylko tego tematu.

Niemniej jednak nie mogę tutaj pominąć jednego obiektu, gdyż to jemu zawdzięczam najbardziej osobliwą obserwację, jaka stała się moim udziałem. Nieznani budowniczy otoczonych nimbem tajemniczy architektonicznych kompleksów na Altiplano pozostawili nam niebywałe przesłanie, uwiecznione w kamieniu – ma ono postać odchylenia igły magnetycznej, które zmieniają się raptownie w obrębie jednego i tego samego obiektu, przy czym zmiany układają się w regularną prawidłowość.

MAGNETYCZNE ODCHYLENIA NA PAPIERZE MILIMETROWYM

Wykonanie dowolnej liczby powtórzeń tego eksperymentu daje zawsze ten sam wynik, co powinno zmusić do zastanowienia nawet największych sceptyków. Wskazuje na istnienie zjawiska, które nie znajduje dotąd wytłumaczenia.

Nieco z boku terenu, który wygląda jak po eksplozji, z rozrzuconymi w nieładzie kamiennymi płytami, ważącymi wiele ton, tkwi w zapomnieniu osobliwie obrobiony monolit. Kiedyś był większy, ale dzisiaj jest obłamany na obu końcach. Między dwoma gzymsami widać pięć jednakowej wielkości zagłębień, wykutych wzdłuż jednej linii. Ich krawędzie nadal są tak ostre, że przy nieostrożnym dotknięciu łatwo można skaleczyć się w palec.

Już wcześniej posługiwałem się kompasem, badając monolity w Tiahuanaco i Puma-Punku. Sprawdzałem, czy kamienie powodują odchylenia igły magnetycznej. Dokonałem również pomiaru – w obecności świadków – opisanego wyżej kamiennego bloku, długości około 1,5 metra i wysokości nieco ponad 1 metr. Zaczynając od lewej strony, wsunąłem kompas do pierwszego z pięciu zagłębień i odczyt wskazał na pewne niewielkie odchylenie. Wynosiło około 5 stopni kątowych.

W kolejnym zagłębieniu odchylenie miało już wielkość 10 stopni. Nie robiłem z tego jeszcze sensacji. Kompas wsunąłem do trzeciego zagłębienia. Ogarnęło mnie zdumienie: tym razem igła kompasu odchyliła się o całe 20 stopni.

Co się tu dzieje? Jeszcze bardziej się zdumiałem, gdy w czwartym zagłębieniu kompas wskazał odchylenie równe 40 stopni. Zdumienie sięgnęło zenitu, gdy w ostatnim zagłębieniu, po prawej stronie bloku z diorytu, igła odchyliła się dokładnie o 80 stopni kątowych.

Krótko mówiąc, przejściu od jednego zagłębienia do następnego zawsze towarzyszyło dwa razy większe odchylenie igły kompasu. Takie wyniki są całkowicie sprzeczne z naszą „niezbitą szkolną wiedzą”. Jednak uzyskuje się je w każdej próbie pomiaru (fot. 31, 32).

I to jest punkt, w którym zaczynają się ścierać poglądy. Sceptycy i przeciwnicy niekonwencjonalnego sposobu myślenia żądają przecież przeprowadzenia takich powtarzalnych prób jako warunku niezbędnego do uznania wyników doświadczenia. Jednak żadne naukowe dywagacje nie sprawiają, że zjawisko to przestanie istnieć.

Skalny blok nadal tam leży, a kto nie daje temu wiary, może osobiście przekonać się o jego realnej egzystencji. Ale to jeszcze nie wszystko, co wiąże się z opisanym wyżej blokiem.

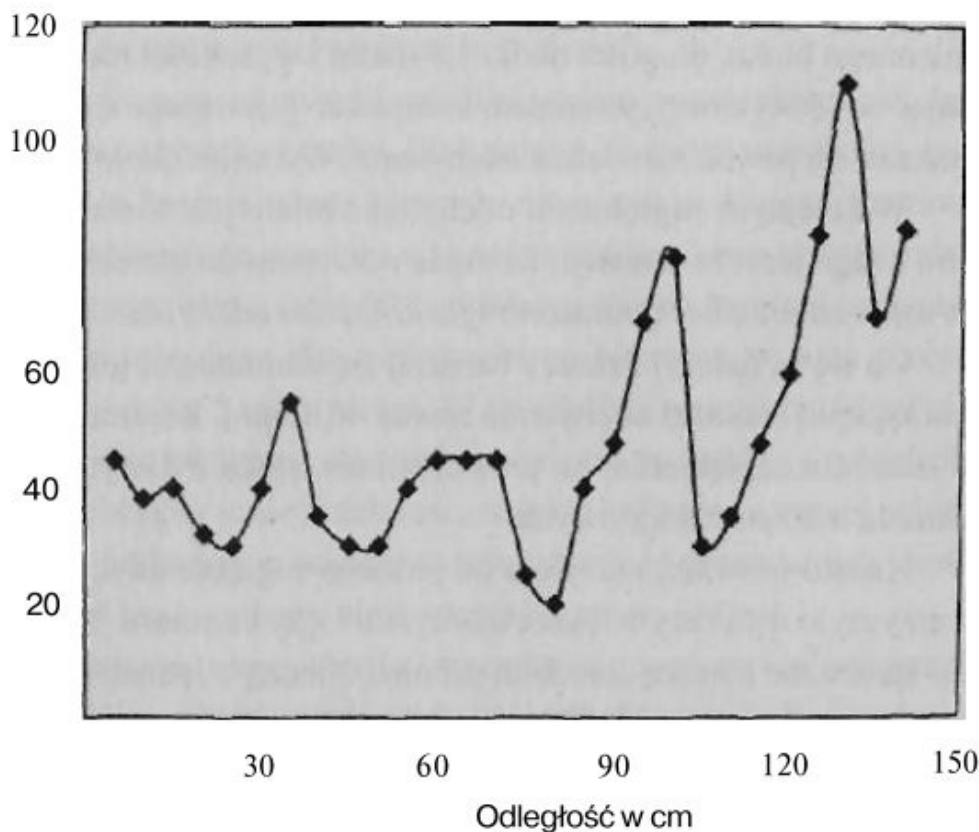
Jesień 2002 roku. Kolejny raz znalazłem się w Boliwii, gdzie oprowadzałem grupę moich czytelników po tajemniczych ruinach. Nie omieszkalem rzecz jasna napomknąć o sprzecznych z naszą konwencjonalną wiedzą odchyleniach igły kompasu przy owym kamiennym bloku. Wszystkich zdjęło zdumienie. Potem zaproponowałem jednemu z uczestników, mającemu wykształcenie techniczne, Klausowi Deistungowi z Wismaru, wykonanie pomiarów bloku z diorytu, konkretnie przesunięcia kompasu wzdłuż krawędzi ciągłego gzymsu, bezpośrednio pod pięcioma zagłębie-

niami.

Jakie odchylenia pokaże teraz kompas? Czy odchylenia igły wzdłuż krawędzi również będą rosnąć w kierunku ostatniego z zagłębień? Czy też igła się nie odchyli, gdyż jej odchylenia występują wyłącznie w obrębie zagłębień? Czy tajemnicze zjawisko okaże się jedynie moim złudzeniem?

To ostatnie przypuszczenie się nie sprawdziło. Bowiem to, co stało się teraz, przyćmiło wcześniejsze wyniki. Odczytów dokonywaliśmy w regularnych odstępach co 5 centymetrów wzdłuż krawędzi biegnącej w pobliżu zagłębień, w których stwierdzono odchylenia igły kompasu. Uzyskane rezultaty pomiarów przenieśliśmy na papier milimetrowy. Wykres, jaki powstał, po raz kolejny kazał wyrzucić do lamusa wszystkie wyobrażenia o wiedzy w czasach prehistorycznych i technicznych ówczesnych technicznych możliwościach. To, co ukazało się naszym oczom, było po prostu niepojęte.

Odległość w cm	Kąt w stopniach
5	45
10	38
15	40
20	32
25	30
30	40
35	55
40	35
45	30
50	30
55	40
60	45
65	45
70	45
75	25
80	20
85	40
90	48
95	69
100	80
105	30
110	35
115	48
120	60
125	84
130	110
135	70
140	85



Rys. 4. Ku naszemu zaskoczeniu, gdy przenieśliśmy na papier milimetrowy odchylenia wskazane przez igłę kompasu, powstał wykres znanej w matematyce krzywej.

Z połączenia punktów powstała krzywa, która okazała się zdumiewająco podobna do wykresu funkcji wykładniczej. Wzrost następował w stosunkowo regularnych odstępach, przy czym towarzyszyły mu powtarzające się, krótkotrwałe spadki przebiegu funkcji. Wierzchołki krzywej (patrz rys. 4) odpowiadają położeniu dość dokładnie lokalizacji pięciu opisanych już zagłębień w bloku diorytu. Była to prawdziwa sensacja!⁸⁶

CO NAM MÓWI TO PRZESŁANIE?

Dodatkowy pomiar dokonany zabranym również przeze mnie magnetometrem w pełni potwierdził odczyty kompasu. O technicznych podstawach tego zjawiska, potwierzonego każdorazowo eksperymentalnie, możemy obecnie jedynie spekulować. Nie wolno nam jednak

pomijać w rozważaniach poniższych stwierdzeń:

1. Naturalny magnetyzm z pewnością należy wykluczyć, gdy w żadnym razie nie zmanifestowałby się tak, jak opisano. Przede wszystkim zaś miałyby taką samą wartość w obrębie całego bloku.
2. Nie przekonuje mnie nic niewnoszące do sprawy „wyjaśnienie”, że mamy tu do czynienia wyłącznie z tak często nadużywanym „przypadkiem”.
3. Obecnie nie znamy technologii, która umożliwiłaby takie manipulowanie strukturami w rodzaju bloku z diorytu, żeby uzyskać tak niebywałe odchylenia igły kompasu.
4. Materiał, z którego wykonano badany blok, nie jest metalem, co należy podkreślić, lecz magmową skałą głębinową. Skały cechują się co prawda niekiedy pewnymi właściwościami magnetycznymi, których jednak z reguły nie da się porównać z magnetycznym zachowaniem takich metali, jak żelazo, kobalt czy nikiel.

Moje spekulacje zmierzają ku tezie, że w tym kamiennym bloku dawno temu było zamontowane jakieś elektryczne urządzenie, na przykład w postaci pięciu połączonych szeregowo transformatorów, z których każdy następny miał moc dwa razy większą od poprzedniego, czego skutki dają się zmierzyć jeszcze dzisiaj⁷. I dopóki nie pojawi się żadne lepsze, bardziej przekonujące wyjaśnienie tego zjawiska – „przypadek” lub „przyczyny naturalne” brzmią w kontekście stwierdzonych faktów wprost groteskowo – dopóty będę uważał mój pogląd, wyrażony w tej kwestii, za co najmniej uprawniony.

Wypada zatem przede wszystkim ponowić pytania: Co mówi nam to niezwykle przesłanie uwiecznione w kamieniu? I kto je dla nas pozostawił?

8

„RUINY POZOSTAWIONE PRZEZ LUDZI SPOZA ZIEMI”

NIEBYWAŁE ZNALEZISKA POTWIERDZONE PRZEZ WŁADZE CHIN

*Kto poświęca myśli wszystkiemu po trosze, będzie wyśmiewany
przez całe lata. Gdy w końcu pojmie się odkrycie,
każdy nazywa je zrozumiałym i oczywistym.*

Wilhelm Jensen (1837-1911), dziennikarz

Latem 2002 roku świat mediów obiegnęła wiadomość, która przyciągnęła uwagę wszystkich, którzy interesują się tematyką związaną z istnieniem inteligentnych form życia poza Ziemią. Czasopisma, w tym niemiecki *Spiegel*, donosiły o znalezisku, na jakie natrafiono w Kotlinie Cajdamskiej, położonej w prowincji Qinghai (Cinghaj) na zachodzie Chin. Według najnowszych doniesień w odległości około 80 kilometrów od obwodowego miasta Delingha odkryto budowlę lub górę, przypominającą kształtem piramidę, mającą 70 metrów wysokości. Do dziś nie ma pewności, jaka jest rzeczywista natura tego obiektu. W strukturze tej znajduje się system rur o nieznanym wieku i niewyjaśnionym pochodzeniu⁸⁷. Jak dotąd, brzmi to tajemniczo. Ale prawdziwe emocje dopiero przed nami.

Miejscowe przekazy z tego regionu głoszą, że obiekt ten, nazywany górą Baigong, służył dawno temu za „rampę startową gości spoza Ziemi”. Być może osoby z kręgu oficjalnych czynników Chińskiej Republiki Ludowej przeczytały zbyt dużo książek van Dänikena lub Hausdorfa, ale relikw ten uznano, i to na wysokim szczeblu, za „ruiny pozostawione przez ludzi spoza Ziemi”. Na podstawie informacji, jakie do tej pory wyciekły poza Wielki Mur i dotarły do nas, znalezisko to daje przyczynek do wysuwania najbardziej niesłychanych wniosków.

ZABAWKA DLA OLBRZYMÓW?

W niewielkiej odległości od wspomnianej góry Baigong znajdują się dwa stosunkowo płytkie jeziora. Są to Toson-Hu i Koluke. Jezioro Koluke ma wodę słodką, natomiast Toson-Hu jest słonym jeziorem.

W tej okolicy występuje kilkadziesiąt słonowodnych jezior, stanowiących pozostałości morza, jakie rozciągało się tu do epoki kredy, czyli przed około 60.000.000 lat. Nieco dalej omówię dokładniej jeden z rozpuszczonych w nim pierwiastków chemicznych, który wykazuje szczególne właściwości nadzwyczaj nas interesujące w kontekście technologii przyszłości.

Przejdę teraz do omówienia zagadkowych artefaktów, które są do tego stopnia tajemnicze, że zdołały skłonić kilku chińskich uczonych do sformułowania niezwyklej wniosków (fot. 33-35). U podnóża mierzącego prawie 70 metrów wzniesienia znajdują się trzy jaskinie. Do każdej z nich prowadzi trójkątne wejście. Dwie mniejsze groty są niestety zasypane, lecz większa leżąca między nimi jest dostępna dla zwiedzających. Głębokość i wysokość tej jaskini są mniej więcej jednakowe i wynoszą około 6 metrów. Ściany tworzą lita skała oraz utwardzona warstwa piasku.

Już na pierwszy rzut oka obserwator zauważy przekrojoną podłużnie rurę (cylinder) o średnicy prawie 40 centymetrów, która biegnie pionowo od stropu ku posadzce. Barwa przypomina rdzę, lecz określenie surowca, z jakiego ją wykonano, wcale nie jest prostym zadaniem. Można odnieść wrażenie, że nieznanne nam inteligentne istoty wsunęły w górę Baigong rury, niczym w zabawce dla olbrzymów. Nawet dzisiaj byłoby to dla nas niełatwe przedsięwzięcie mimo technologii, jaką dysponujemy.

Kolejna rura, o podobnej średnicy, tkwi w podłożu, widoczny jest jednak tylko jej koniec wystający nad powierzchnię. Dalsze trzy tuziny rur, różnej średnicy, od 10 do 40 centymetrów, znajdują się ponad wejściem do jaskini. Wchodzą w skalny masyw i zapewne stanowią pozostałość prastarej, dla nas niepojętej technologii.

Niemal dokładnie 80 metrów na południowy zachód od góry Baigong leży jedno ze wspomnianych jezior, słone Toson-Hu. Na jego brzegu także znaleziono rury, po części zniszczone, leżące na skalnym i piaszczystym podłożu. Liczne rury leżą dokładnie, według informacji przekazanych przez Chińczyków, na osi wschód-zachód. Ich średnica wynosi jednak tylko od 2 do 4,5 centymetra.

Z całą pewnością sceptycy, szukając wyjaśnienia, uciekną się do ulubionych argumentów. Jeśliby relikty te znaleziono w pobliżu dużych miast lub obiektów przemysłowych, to ewentualnie, w pobieżnej ocenie, dałoby się je potraktować jako przemysłowe odpadki z naszej epoki i tylko wtedy, gdyby nie przeprowadzono dokładnych badań. Takie badania wykazały, że artefakty te są w rzeczywistości bardzo stare.

Jest to oczywiste, ponieważ metal połączył się z mineralnymi składnikami otaczającej go skały. Poza tym znalezisko jest umiejscowione w rejonie skrajnie nieprzystępnym i niegościnnym. Nigdzie dookoła nie ma żadnych większych ludzkich sadyb, spotyka się tam jedynie nielicznych pasterzy prowadzących koczowniczy tryb życia. W ich opinii natomiast miejsce to jest święte, o czym zresztą można wnioskować na podstawie licznych ułożonych tu kamiennych piramid. Na bezkresnych obszarach Azji Wschodniej jest to nieomylny znak, że takie miejsce jest otaczane czcią lub wzbudza trwogę. Albo jedno i drugie.

NA SZLAKU PRZYGÓD

Dopiero w 2002 roku mieszkańcy Zachodu dowiedzieli się o znalezisku na górze Baigong. Lecz, jak się okazuje, już w połowie lat 90. XX wieku Chińczycy natrafili na ślady tajemniczych pozostałości po nieznannej inteligencji, bowiem w publikacji poświęconej prowincji Qinghai, jaka ukazała się w 2003 roku, autor cytuje Ma Pei Hua pod nagłówkiem „Zwiedzanie reliktu pozaziemskich istot”:

„Pierwszego czerwca 1996 roku grupa złożona z ośmiu osób, wśród nich ja osobiście, wyruszyła na wyprawę do wspomnianego wcześniej regionu. Jechaliśmy na południe trasą, która łączy prowincję Qinghai z Xinjiang, mijając po drodze pustynię i mokradła. W końcu za dwoma piaszczystymi pagórkami dostrzegliśmy jezioro Toson-thu. Ponieważ nasz samochód grzązał w piasku, musieliśmy wysiąść i pchać go. Było już południe, kiedy dotarliśmy na brzeg jeziora. Wyczerpani do cna, ujrzeliśmy wreszcie liczne rury (cylindryczne artefakty), które pozostawiły po sobie istoty pozaziemskie”⁹¹.

Dietmar Schrader, badacz amator z Hanoweru, który od paru lat również zajmuje się artefaktami z Baigong, zdołał zdobyć egzemplarz książki „Nieznana prowincja Qinghai” w bibliotece miasta Xining, będącego ośrodkiem administracyjnym tej prowincji. Sfinansował przekład tej publikacji, a w grudniu 2006 roku zaprezentował jego fragmenty w czasopiśmie *Sagenhafte Zeiten* („Mityczne

czasu”⁹². Podążmy tropem opisu ekspedycji z 1996 roku, w której uczestniczył autor relacji, Ma Pei Hua:

„Góra ta składa się w zasadniczym stopniu z białego piaskowca z pewnymi domieszkami ilastej ziemi. Około 80 metrów od góry Baigong zaczyna się słone jezioro (Toson-Hu), między nimi leży łąka z piaskowca i piasku, na której fale jeziora pozostawiły ślady. Na przedniej ścianie góry znajdują się trzy jaskinie o trójkątnych wejściach. Dwie umieszczone są na wysokości blisko 5 metrów, lecz nie da się do nich wejść ze względu na ryzyko zawału. Środkowa i największa natomiast, usytuowana zaledwie 2 metry na podłożem, mierzy 6 metrów długości. Jeśli porównać ją z naturalną wyżłobioną przez wodę grotą to nasuwa się wniosek raczej ojej sztucznym powstaniu. (...) Jedna rura średnicy około 40 centymetrów biegnie prosto z góry na dół. Druga z kolei, takiej samej średnicy, wystaje bezpośrednio z podłoża, przy czym widoczny jest jedynie jej wierzchołek”⁹¹.

Opis ten, autorstwa jednego z uczestników ekspedycji z 1996 roku, odpowiada zresztą niemal ze wszystkimi szczegółami temu, o czym we wrześniu 2004 roku na własne oczy mógł się przekonać badacz hobbysta Dietmar Schrader. Jak mnie osobiście poinformował, udało mu się z wieloma przygodami dotrzeć do zagadkowych relikwów. W Delingha wraz z żoną musiał skryć się pod plandeką pikapa Toyoty, żeby niepostrzeżenie opuścić miasto. Większość dostępnych wówczas materiałów zdjęciowych pochodzi od niego, za co jestem mu ogromnie wdzięczny.

„...KOSMODROM POZAZIEMSKICH ISTOT”

Pozwólmy jednak raz jeszcze Ma Pei Hua podjąć opowieść o jego odkryciach dokonanych w 1996 roku. Wyodrębnił on trzy rodzaje znalezisk i trzy sektory, w których je znaleziono:

„Pierwszy wydzielony obszar obejmuje jaskinie z ponad 30 rurami o większej średnicy (od 10 do 40 centymetrów). Drugi sektor rozciąga się w kierunku brzegu jeziora, gdzie znaleziono bardzo dużo żelaznych rurek rozrzuconych wśród piasku i skał. Rurki są zorientowane w kierunku zachodnim i mają średnicę od 2,0 do 4,5 centymetra. Cechują się różnymi kształtami. Najcieńsze z nich mają grubość wykałaczek, jednak w środku nie są zatkane, nawet po upływie tak długiego czasu, gdy przebywały w piasku. I na koniec wyróżniam jeszcze trzeci sektor. Rozciąga się on wzdłuż jeziora Toson-thu, z fragmentami licznych połamanych rur najprzeróżniejszej długości. Takie fragmenty pokrywają odcinek długości od 800 do 1000 metrów, na osi wschód-zachód. Niektóre z rur wystają z wody i „zażywają kąpieli”, inne natomiast można dostrzec w przezroczystej wodzie. Nie ulega wątpliwości, że kiedyś wszystkie rury znajdowały się w wodzie”⁹¹.

Mocno poruszony Ma Pei Hua stwierdza, że całe to miejsce, uwzględnivszy odkryte dotąd bardzo liczne rury w trzech wydzielonych sektorach oraz ich rozprzestrzenienie na obszarze przekraczającym łącznie pół kilometra kwadratowego, jest pod każdym względem nad wyraz osobliwe. Stoimy tu przed faktem – podobnie jak w przypadku opisanych wcześniej nanoobjektów z Coso oraz ze wschodnich rubieży Uralu – że ktoś w zamierzchłej przeszłości pozostawił nam konkretne artefakty, obiekty o bezsprzecznie technicznym charakterze. Ich istnienie stoi w rażącej sprzeczności z możliwościami epoki, z której pochodzą. Przynajmniej o tyle, o ile poruszamy się na gruncie oficjalnej doktryny odnoszącej się do badania czasów starożytnych.

Lecz jakim cudem władze w Chinach doszły do przekonania, że wszystkie to rury mają związek z istotami spoza Ziemi? Stanowisko przedstawiciela rządu prowincji Qinghai, Qin Jianwena, nie pozostawia w tym względzie wątpliwości. Przybysze ze wszechświata, twierdzi Qin, wybrali ten odosobniony region jako miejsce startu i lądowania swoich statków kosmicznych. W wywiadzie udzielonym 16 czerwca 2002 roku oficjalnej agencji informacyjnej Chin, Xinhua, oświadczył:

„Przyjęto założenie, że miejsce było kosmodromem istot pozaziemskich. Teoria ta opiera się na fakcie, że wspomniany region leży na wysokości 2200 ponad poziomem morza, a silnie rozrzedzone powietrze sprzyja prowadzeniu obserwacji astronomicznych”⁹⁰.

Dygnitarz prezentuje to samo stanowisko, co astronom Yang Ji zatrudniony w oddalonym o 70 kilometrów obserwatorium, którego budowę w tym odludnym regionie zleciła Akademia Nauk w Pekinie. Oto jego słowa:

„Hipoteza o pozaziemskich reliktach jest ze wszech miar zrozumiała i warta bliższego rozważenia. Naukowe podejście wymaga bowiem dowodu zarówno na to, co jest prawdą, jak i na to, co jest fałszem”⁹⁰.

Gdybyż wszyscy naukowcy byli tak rzetelni i uczciwi, zwłaszcza na Zachodzie, gdzie często sprawiają wrażenie ludzi, którzy uczestniczyli osobiście w wydarzeniach z pradziejów. Odbiegające od konwencjonalnych postulowane rozwiązania należy poddawać merytorycznej dyskusji, bez odrzucania z góry wyjaśnień niezwykłych. Lecz także i inne cechy owych artefaktów, stwierdzone na miejscu w Chinach, doprowadziły do sformułowania brzmiących fantastycznie wniosków, które tu w Europie zbyt łatwo i ochoczo są wyśmiewane oraz traktowane niepoważnie.

OSIEM PROCENT PRÓBEK NIE DO ZIDENTYFIKOWANIA

Po pierwsze, należy podkreślić uderzającą różnicę między opisywanymi tu artefaktami a innymi znaleziskami dokonanymi w tym regionie. W Kotlinie Cajdamskiej w rejonie góry Baigong ludzie żyli już ponad 3000 lat temu. Pozostawili po sobie przedmioty wykonane z kości, wyroby kamienne oraz garncarskie, a także odzież ze skóry i wełny. Wszystkie te rzeczy wykonywano ręcznie, przy zastosowaniu prostych metod. W grobach w oazie Turfan, pochodzących z tamtej epoki, znaleziono też drobne artefakty z brązu oraz strzały, łuki i odzież. Lecz nie było wśród nich choćby jednego przedmiotu, który wskazywałby na pochodzenie przemysłowe. Nie natrafiono też na żadne narzędzia do wydobywania rudy czy do hutniczego przerobu metali⁹².

Do tego dochodzi fakt, że rejon ten zamieszkiwali jedynie pasterze prowadzący koczowniczy tryb życia, na nieurodzajnej, porośniętej trawami ziemi. Co się tyczy zagadkowego systemu rur, to nawet współczesne zakłady przemysłowe miałyby problemy z ich wyprodukowaniem i z takim ich rozmieszczeniem, jak w przypadku pierwotnego. O wiele trudniejsze – i tu nasuwa się termin „niemożliwe” – zrealizowanie tego wspaniałego dzieła techniki musiało być dla dawnych, niezaawansowanych pod względem techniki kultur!

Argument o największej wadze, wskazujący na ewentualność, że mamy tu do czynienia z technologią, która nie pochodzi z Ziemi, wyłania się po uzyskaniu wyników analiz chemicznych zagadkowych rur. Artefakty składają się w około 30% z tlenku żelaza, przy wysokim udziale dwutlenku krzemu. Ten drugi związek, znany pod nazwą krzemionki, stanowi główny składnik minerału o nazwie kwarc. Kwarc z kolei stanowi główny składnik szkła. W próbkach zawarty jest też tlenek wapnia. Nam znany jest w postaci wapna palonego, jakiego używamy głównie w budownictwie.

Jedno jest absolutnie tajemnicze – prawie 8% analizowanych próbek nie zostało jednoznacznie określonych. Stajemy więc przed całkowitą zagadką!

Wspomniane analizy zostały przeprowadzone przez inżyniera Liu Shaolina z Zakładów Hutniczych Xitieshan, które dysponują jednym z najbardziej zaawansowanych technologicznie laboratoriów w całych Chinach. Jego eksperci znani są z rzetelności i niezawodności. Sformułowany przez Liu wniosek końcowy, na podstawie wyników analiz oraz geologicznego usytuowania znaleziska, brzmi następująco:

„W rezultacie długiego okresu wystawienia artefaktów na działanie erozji, spowodowanej przez wiatr i czynniki atmosferyczne, piasek i żelazo weszły ze sobą w związek. Oznacza to, czego jesteśmy pewni, że również tlenek wapnia oraz dwutlenek krzemu nie stanowiły pierwotnie elementów składowych zagadkowych rur. Obserwacja to potwierdza bardzo sędziwy wiek cylindrycznych artefaktów”.

TO NIE POWSTAŁO W SPOSÓB NATURALNY

Przeprowadzono też dalsze analizy próbek, jakie pobrano na górze Baigo Wspomniany już Dietmar Schrader z Hanoweru, któremu udało się dotrzeć do owego miejsca, pobrał stamtąd w sumie 12 próbek, ze środkowej jaskini oraz w miejscach odległych o około 100 metrów po lewej i po prawej stronie tej jaskini. Badania analityczne przeprowadzone w Instytucie Geochemii i Mineralogii Uniwersytetu we Freiburgu wykazały w przypadku dwóch próbek bardzo wysoką zawartość selenu i wanadu.

Selen używany w przemyśle jest produktem ubocznym w elektrolitycznym otrzymywaniu miedzi oraz niklu. Znajduje zastosowanie głównie do wyrobu półprzewodników, w fotokomórkach oraz w produkcji lamp dających światła przeciwmgielne. Cechujący się srebrzystym połyskiem wanad znany jest z wysokiej odporności na korodujące działanie wodorotlenków metali alkalicznych oraz kwasów siarkowego i solnego, ponadto stosowany jest w stopach tytanu używanych w lotach kosmicznych⁹³.

Jaką opinię formułują uczeni w kontekście wieku artefaktów wciąż okrytego tajemnicą? Postulowane datowanie znacząco się różni. Cytowany już inżynier Liu Shaolin ocenia wiek reliktyw na maksymalnie 5000 lat, ale szacunki inne opiewają na 300.000 lat i więcej. Geolog profesor Zheng Jiandong, który uczestniczył także w badaniach na miejscu, daje cylindrycznym artefaktom, które w wielu miejscach wchodzi w skałę, nawet do 6.000.000 lat. Zheng skłaniał się nawet początkowo ku naturalnym przyczynom ich powstania: procesom kamienienia form roślinnych albo wynoszenia ku górze płynnych, czyli magmowych skał⁹⁰. Nawiązując do ostatniej hipotezy, stwierdzić wypada, iż w pobliżu nie występują, niestety, żadne wulkany, do których erupcji mogłoby tam dochodzić w ciągu ostatnich kilku milionów lat. Później profesor geologii wycofał się do pewnego stopnia z hipotezy o skamieniałościach pochodzenia roślinnego:

„Poświęciłem temu wiele przemyśleń, nie znajduję jednak żadnego przekonującego wyjaśnienia, gdyż skamieniałości tego rodzaju szczątków zwierzęcych i roślinnych zachowałyby swoją pierwotną formę. Nie są w stanie utworzyć regularnego i z góry założonego kształtu cylindrycznego. Do tego dochodzi fakt, że tym rejonie nie występują uwarunkowania, jakie pozwoliłyby na utworzenie piaskowych skamieniałości. W położonych w pobliżu górskich masywach także (...) nie udało nam się odnaleźć żadnych skamieniałości. Oznacza to, że nie występują naturalne czynniki, które doprowadziłyby do powstania skamieniałości lub takich cylindrycznych tworów. Jak dotąd, nie znaleźliśmy w rzeczywistości żadnego powodu do odrzucenia tak sformułowanych wniosków końcowych. Innymi słowy, twory w postaci cylindrów (rur) nie są produktem naturalnych procesów geologicznych”⁹².

METAL LEKKI NA POTRZEBY TECHNOLOGII PRZYSZŁOŚCI

Obojętnie, czy ich wiek wynosi 5000, 300.000 czy nawet 6.000.000 lat, cylindryczne artefakty stanowią prawdziwe wyzwanie dla naszego naukowego oglądu świata – ponieważ w żaden sposób do niego nie pasują!

À propos geologii. Kotlina Cajdamska, w której znajduje się góra Baigong i otoczony mgłą tajemniczy system rur, kryje obok złóż ropy naftowej także bogate pokłady gazu ziemnego. Jednak w tym miejscu muszę z pełną stanowczością stwierdzić, że prastare cylindryczne artefakty nie mają nic wspólnego z jakimkolwiek systemem rurociągów, jakie są budowane współcześnie.

W trakcie własnych prac badawczych natknąłem się w tym rejonie na jeszcze jedno bogactwo naturalne. Wcześniej wspominałem już o występujących w tej okolicy dziesiątkach słonych jezior, stanowiących pozostałość po istniejącym tu ongiś morzu z epoki kredy. Dobięła ona kresu przed 60.000.000 lat, czemu towarzyszyło gwałtowne wymarcie dinozaurów.

W wielu tych wypełnionych słoną wodą jeziorach – także w jeziorze Toson-thu w pobliżu góry Baigong – znajduje się w rozpuszczonej formie lit, pierwiastek zaliczany do metali.

Lit jest pierwiastkiem chemicznym z grupy metali alkalicznych. Ten bardzo miękki, srebrzysto-

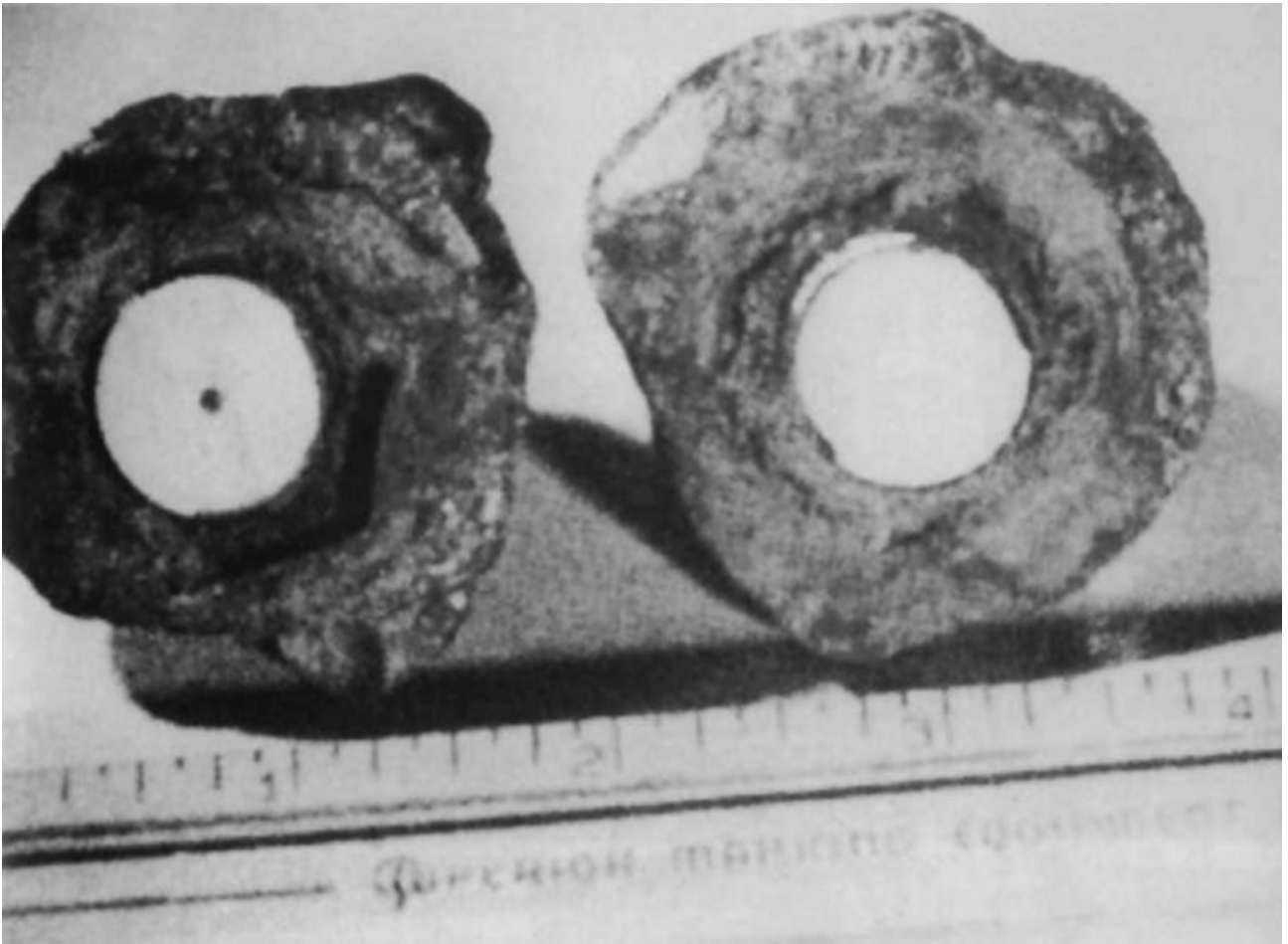
biały metal lekki występuje w skałach wulkanicznych w ilościach śladowych, lecz ponadto w postaci rozpuszczonej w wodach o dużej zawartości soli mineralnych. Jego pozyskanie wymaga dużych nakładów technicznych. Jednak dalece bardziej interesujące są jego zastosowania. Zna je każdy z nas – choćby w poręcznych, ładowanych wielokrotnie bateriach do telefonów komórkowych. Jeszcze ważniejsze jest wykorzystanie tego pierwiastka w technice nuklearnej, gdzie służy do otrzymywania trytu – izotopu wodoru – oraz do chłodzenia i osłony reaktorów jądrowych.

Także związki tego alkalicznego metalu znajdują liczne zastosowania w technologiach przyszłości. Wodorek litu (wzór chemiczny LiH) oddaje bardzo łatwo związany w nim wodór i działa jako bardzo silny reduktor. Dzisiaj używany jest w paliwach raketowych. Kolejny związek, nadchloran litu (wzór chemiczny LiClO₄), również wykorzystywany jest w paliwach raketowych jako źródło ważnego w procesie spalania tlenu. Czy występowanie lekkiego metalu litu, który dzisiaj znajduje zastosowanie w technice nuklearnej i raketowej, stanowi jakiś klucz do zrozumienia tajemniczych artefaktów z Baigong? Nasze pędne materiały raketowe zawierają związki litu, a struktury dziś oficjalnie nazywane „ruinami pozaziemskiej cywilizacji” miały służyć jako rampa startowa dla statków kosmicznych obcej inteligencji. Czy może ten układ rur stanowił instalację używaną do pozyskiwania tak potrzebnego lekkiego metalu? Kto pozyskiwał lit w zamierzchłych czasach, jakimi metodami i w jakim celu?⁹⁰

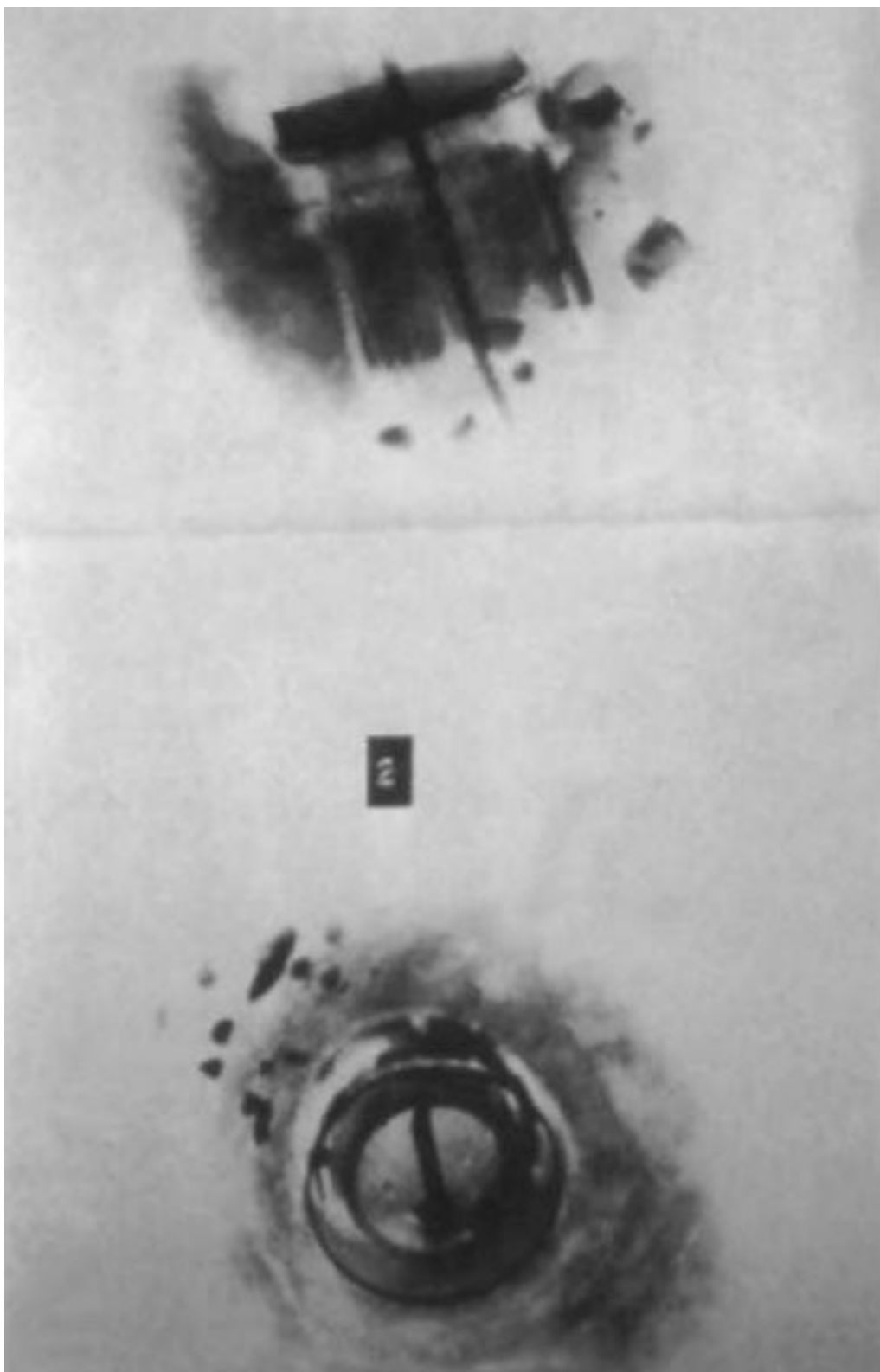
Jakby tego wszystkiego było jeszcze nie dość, wspomniany już Ma Pei Hua w książce „Nieznana prowincja Qinghai” wspomina też o radioaktywnych śladach wykrytych w niektórych z cylindrycznych artefaktów. Metalowe rury średnicy 40 centymetrów, przebiegające z góry na dół w jaskini, do której da się wejść, są silnie radioaktywne i powodują skażenie całego otoczenia. Siła promieniowania gamma w przypadku tych skał przekraczała dwudziestokrotnie poziom typowy dla tego typu utworów geologicznych. W miejscach, w których nie przebiegają rury, nie stwierdzono natomiast podwyższonej wartości promieniowania⁹¹.

Tyle Ma Pei Hua. W jego opinii oraz zdaniem wielu innych naukowców Chińskiej Republiki Ludowej, którzy zajęli się dokładnymi badaniami zagadkowych artefaktów, niezbity jest fakt, że cylindryczne obiekty w Baigong nie są dziełem dawnych mieszkańców tych okolic. Jest to raczej wytwór technicznie wysoko zaawansowanych obcych, którzy dawno temu przybyli tu z odległych planet.

Jakkolwiek rzecz się ma, miejsce to kryje tajemnicę, którą należy zbadać. Podobnie tajemnicze są położone w wysokich górach rejony tej zachodniocchińskiej prowincji. Krąży tam legenda o pewnym wydarzeniu, do którego podobno doszło w zamierzchłych czasach. Legenda opowiada, ni mniej, ni więcej, o przymusowym lądowaniu obiektu pochodzenia pozaziemskiego – o chińskim Roswell, jeśli użyć takiego porównania. W następnym rozdziale pragnę wykazać, iż nie chodzi tu wyłącznie o legendę.



23. W tej przeciętej bryle trójka poszukiwaczy z Kalifornii odkryła tak zwany artefakt z Coso, który budową do złudzenia przypomina świecę zapłonową.



24. Zdjęcia rentgenowskie również wskazują, że mamy do czynienia z urządzeniem elektrycznym.



25. W niedalekiej przyszłości takie mikroskopijne łodzie podwodne będą docierały do miejsc w organizmie człowieka, w których skalpel nie znajduje zastosowania, i dokonywały niezbędnych zabiegów medycznych. Nanotechnika współczesna...



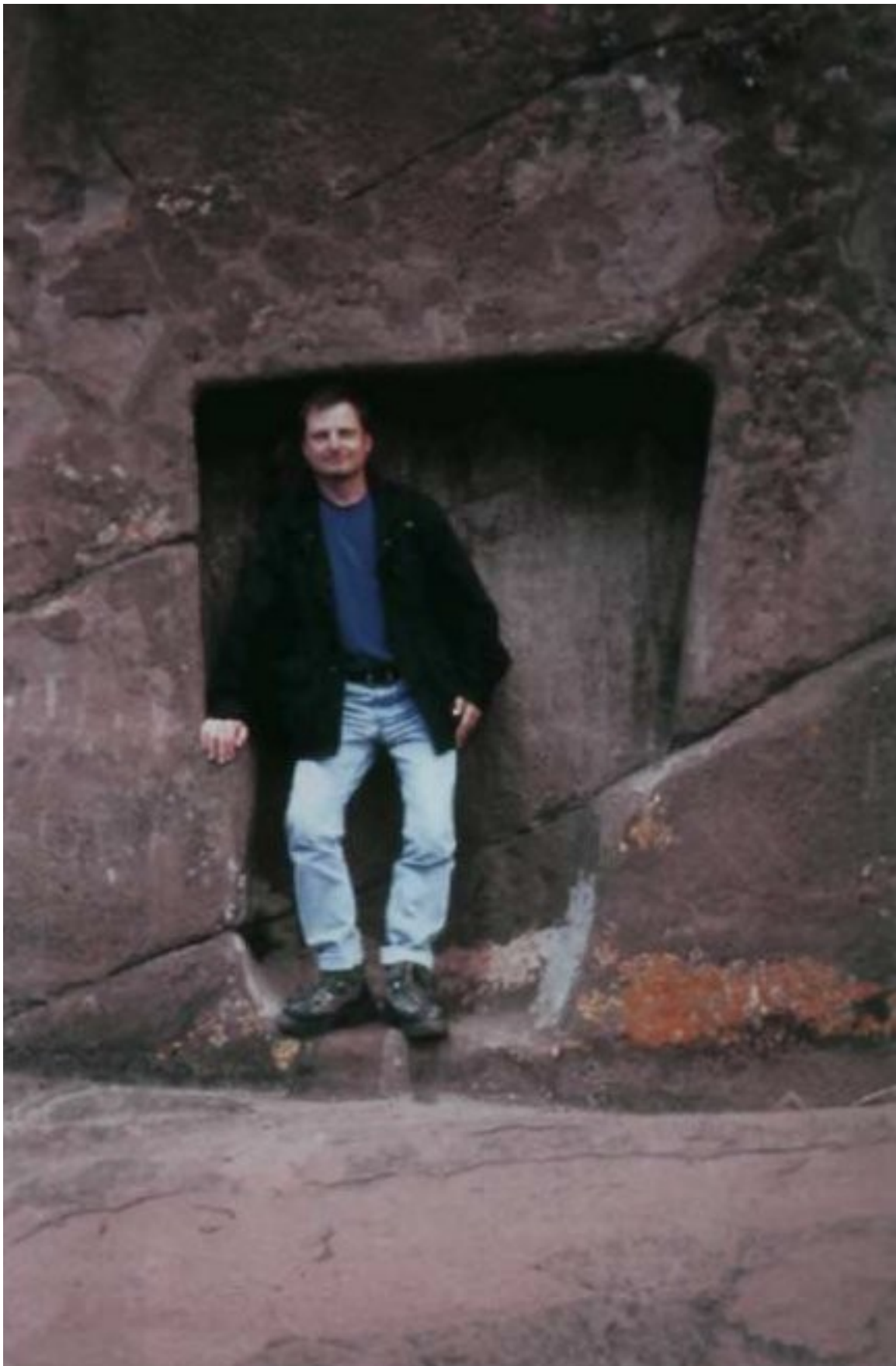
26. ...i z zamierzchłych czasów. Od 1991 roku we wschodniej części Uralu znaleziono setki tysięcy zagadkowych artefaktów z wolframu i molibdenu. Ich wiek datuje się na ponad 100.000 lat!



27. Naukowa analiza tych artefaktów pozwoliła na wyciągnięcie wniosku, że ich pochodzenie wiąże się z „wpływami pozaziemskiej, rozwiniętej technicznie inteligencji”.



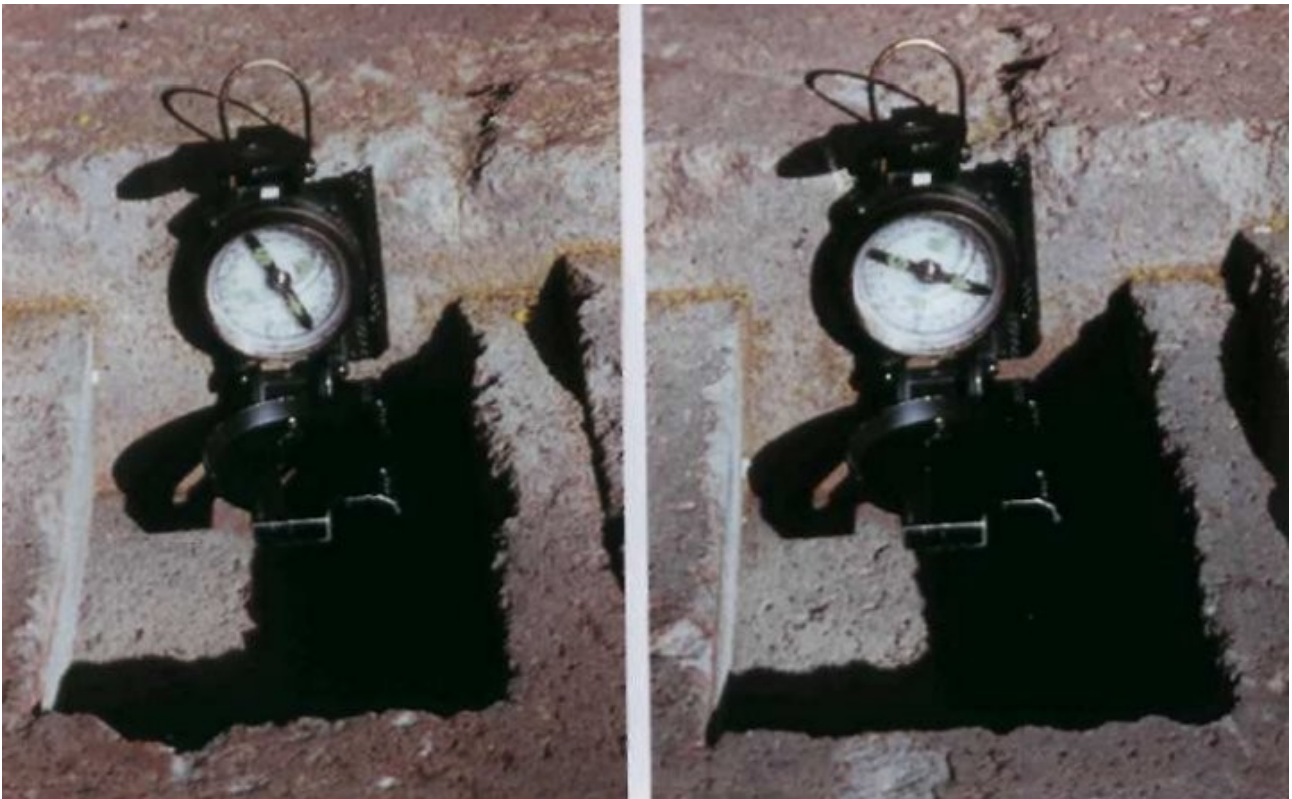
28. Wrota do świata bogów w Hayu Marca niedaleko od jeziora Titicaca. Według dawnych indiańskich przekazów rozgrywały się tu podobne sceny, jak w serialu telewizyjnym „Gwiazdne wrota”.



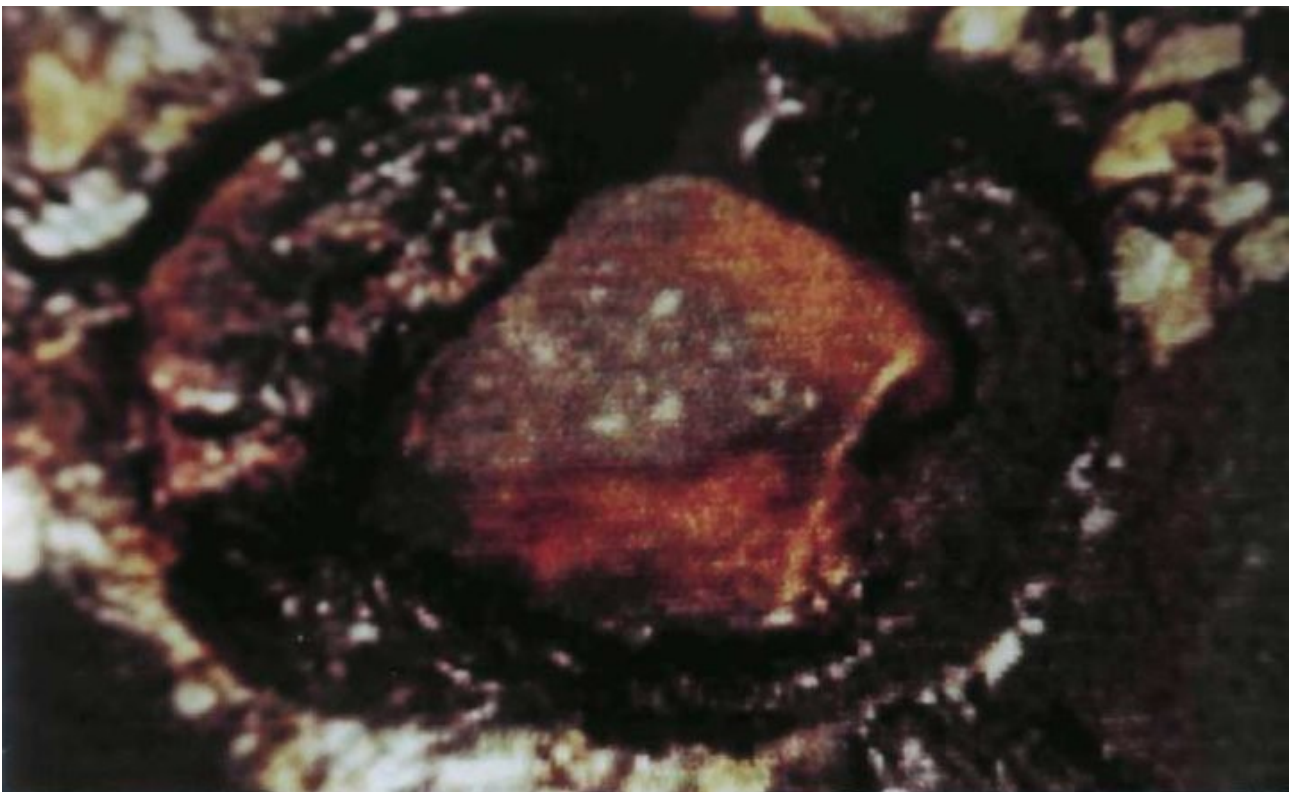
29. Dawni bogowie przechodzili przez ten portal, znikając w niebieskiej, jaskrawej poświacie. Obiecali jednak, iż pewnego dnia powrócą przez te osnute tajemnicą gwiazdne wrota. W czasach historycznych przeszedł przez nie inkaski kapłan, Aramu Maru, uciekając przed opętanymi żądzą złota hiszpańskimi konkwistadorami.



30. Indianie Ajmarowie mieli jakoby wykonać tak mistrzowskie dzieło, używając wyłącznie kamiennych dłut, pił z miękkiej miedzi oraz namoczonych drewnianych klinów. Kto chce, niech wierzy. Tu, w Puma-Punku, na boliwijskim płaskowyżu na wysokości prawie 4000 metrów, rzeczywistość przerasta fantazję!



31. i 32. Przesunięcia kompasu od jednego do drugiego zagłębienia w tym bloku diorytu towarzyszy podwojenie wielkości odchylenia igły. Trudno w to uwierzyć, ale wyniki te otrzymuje się za każdym razem.



33. Jedna z tajemniczych rur w rejonie góry Baigong w prowincji Qinghai. Oficjalne czynniki w Chinach mówią o pozaziemskich reliktach oraz o miejscu lądowania UFO.



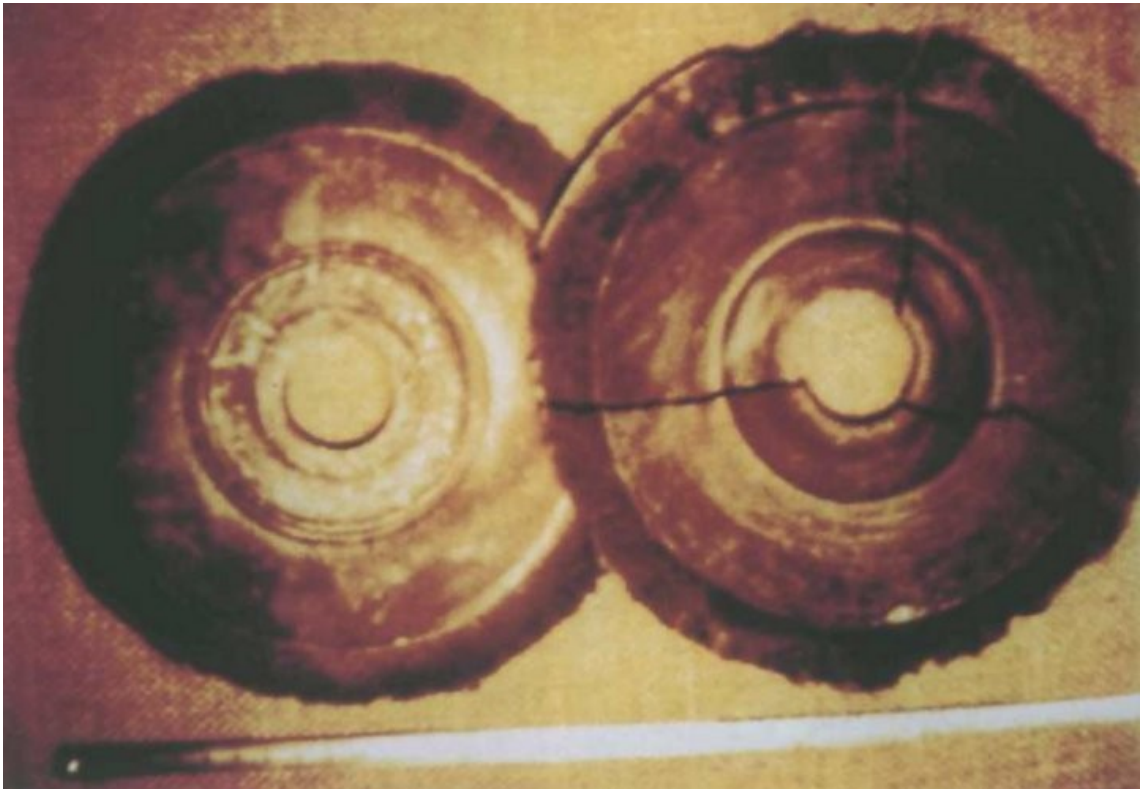
34. Kolejny z cylindrycznych artefaktów z góry Baigong. Muszą być bardzo stare, metal bowiem wszedł w reakcję z otaczającymi go skałami. Naturalne ich pochodzenie jest mało prawdopodobne.



35. Przeprowadzono już pierwsze chemiczne analizy powyższych artefaktów. Ponieważ składu prawie 8% próbek nie udało się zidentyfikować, stoimy przed jedną z największych zagadek naszych czasów.



36. Mała istota o dużej głowie – chiński Roswell. Po ponad 30 latach dowiedziano się wreszcie czegoś więcej o tych istotach.



37. Za tymi dwiema tarczami z kamienia kryje się kolejna mroczna afera. Zniknięcie bez śladu dyrektorki muzeum, która być może wiedziała zbyt wiele...



38. Zaprzeczenie tradycyjnego obrazu przeszłości: egipskie hieroglify na skałach w Brisbane, Water National Park, na północ od Sydney w Australii.



39. Anubis, bóg zmarłych, z głową szakala. Tak go przedstawiali starożytni Egipcjanie. Któż by się spodziewał spotkać jego wizerunek w australijskim buszu!



40. Nie tylko te hieroglify, ale także liczne inne relikty wskazują jednoznacznie na obecność Egipcjan w czasach starożytnych w Australii. Kontakty musiały być długotrwałe i intensywne.



41. Autor obok jednej z dwóch skalnych ścian w australijskim buszu Nowej Południowej Walii. Jak Egipcjanom udało się opłynąć pół świata? Czy otrzymali od swoich „bogów” zaawansowane technicznie przyrządy nawigacyjne, być może gwiazdny komputer w rodzaju „maszyny z Antikithiry”?

9

ŚLAD PONOWNIE PODJĘTY

NOWE DONIESIENIA W SPRAWIE ZAGADKI TYSIĄCLECIA – „CHIŃSKIEGO ROSWELL”

*Wydarzenia, do jakich według obowiązujących teorii nie mogło dojść,
są faktami, które wskazują drogę ku nowym odkryciom.*

Sir John Herschel (1792-1871), brytyjski astronom

Zima na przełomie lat 1937 i 1938. Niewielka ekspedycja, podążająca nieprzejezdnym szlakiem jednego z bocznych masywów łańcucha górskiego Kunlun, położonego w zachodnich Chinach, walczyła z gęstą śnieżną zadymką i lodowatym wiatrem. Grupa uczonych pod kierunkiem profesora Chi Pu-Tei, archeologa z Pekinu, była już u kresu sił. Krótco przed załamaniem pogody trudów wyprawy nie wytrzymały zwierzęta wierzchowe i juczne. Z tego właśnie powodu ludzie z rozpaczą i determinacją wypatrywali jakiegoś skalnego występu lub jaskini, które mogłyby zapewnić choćby najmniejszą ochronę przed bezlitosną pogodą. Nikt nie zamierzał zakończyć życia w tej dziczy, z dala od cywilizacji.

I rzeczywiście, przemarznięci do szpiku kości naukowcy zdołali wypatrzeć wejście do jakiejś groty. Odetchnęli z ulgą, zapadała już bowiem noc, a w środku można było schronić się na kilka godzin przed wiatrem i mrozem.

Uczestnicy ekspedycji zapalili pochodnie i zaczęli rozglądać się po wnętrzu jaskini. I wtedy w migoczącym świetle ognia ujrzeli w połowie już wyblakłe rysunki i wyłobienia wyryte w ścianach jaskini. Przedstawiały one jakieś istoty w hełmach na głowie. W skale wyryte były nawet ciała niebieskie – Słońce, Księżyc oraz planety naszego Układu Słonecznego. Było jeszcze coś, co całą tę sytuację czyniło jeszcze bardziej niepojętą i niezrozumiałą: ciała niebieskie były połączone skupieniami punktów wielkości ziarna grochu.

W tym momencie uczestników wyprawy opuściło zmęczenie – nawet siarczysty mróz przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Najwyraźniej natknęli się na relikty z przeszłości, jakich nikt nigdy jeszcze nie widział. Żaden z chińskich archeologów nie przeczuwał w tamtym momencie, jak mocno w ciągu następnych 70 lat to znalezisko będzie kolidować z konwencjonalnym obrazem świata i do jakich kontrowersyjnych dyskusji doprowadzi.

MAŁE ISTOTY O WIELKIEJ GŁOWIE

Przystąpili do bliższych oględzin jaskini. Zaskoczenie było jeszcze większe. Nie uległo wątpliwości, że odkryto pradawne miejsce pochówku. W tylnej części pieczary znajdowało się kilka grobów, w których były złożone szkielety istot. Lecz cóż to były za osobliwe stworzenia? Miały

niecałe 120 centymetrów wzrostu i wyraźnie ustępowały wymiarami znanym dotąd ludom i rasom na tej planecie. Nawet Pigmeje z deszczowych lasów Afryki Środkowej nie byli aż tak niscy. Tylko kopalną rasę człowieka, *Homo floresis*, którą odkryto niemal 70 lat później i która miała nieco niższy wzrost, można dzisiaj porównać z tymi istotami.

Paleontolodzy australijsko-indonezyjskiego zespołu badawczego wykopali w 2004 roku na indonezyjskiej wyspie Flores szczątki osobników ludzkiej rasy o wzroście zaledwie od 90 do 100 centymetrów, która żyła tam od 95.000 do 12.000 lat temu. Choć ci tak zwani ludzie z Flores dysponowali mózgiem o bardzo małej pojemności – ich głowa miała rozmiary grejpfruta – rozwinęli całkiem wysoki poziom kultury. W środowisku ekspertów rozgorzała dyskusja, czy w ogóle można ich zaliczyć do rodzaju ludzkiego^{94,95}.

Wróćmy jednak do zaskakującego odkrycia pekińskiego archeologa, profesora Chi Pu-Tei.

W przypadku znalezionych w jaskini szczątków uderzająca była wielkość głowy, która nie pasowała do reszty ciała o drobnej i delikatnej budowie. Monstrualnie wielka głowa nadawała tym istotom obcy wygląd – zupełnie, jakby stworzenia te nie pochodziły z tego świata (fot. 36).

W tym miejscu należy opisać dokładniej okolicę, w której rozegrało się powyższe wydarzenie. To jeden z najbardziej ustronnych górskich rejonów w całych Chinach; znamy kilka jego nazw: Bajankalashan, Payenk-Ara-Ulaa, Bayan Har Shan lub Baian Kara Ula. Ostatnia z wymienionych nie jest w pełni poprawna, jednak w takim właśnie zapisie weszła do literatury fachowej, dlatego dalej będę posługiwał się tą właśnie nazwą. Region ten nie leży też na obszarze granicznym między Chinami a Tybetem, jak napisano w niektórych starszych publikacjach. Tybet już od 1959 roku jest włączony w skład terytorium Chińskiej Republiki Ludowej jako region autonomiczny Xizang. Góry Baian Kara Ula położone są w przeważającej części – podobnie jak opisana w poprzednim rozdziale góra Baigong z jej tajemniczymi cylindrycznymi artefaktami – w prowincji Qinghai, w odległości niecałych 500 kilometrów na południe od niej. Na wschodzie łańcuch górski wchodzi na teren prowincji Sichuan.

Pasma wysokich gór rozciąga się od 96 do 99° długości geograficznej wschodniej oraz od 33 do 35° szerokości geograficznej północnej. Wprawdzie zajmowana przez masyw górski powierzchnia odpowiada wielkością niemal terytorium byłej NRD, przez ten obszar prowadzi zaledwie jedna większa trasa komunikacyjna. Dostępność tego rejonu w ostatnich dziesięcioleciach z pewnością się nie zwiększyła.

NAJBARDZIEJ OSOBLIWE PISMO, JAKIE KIEDYKOLWIEK ODKRYTO

Na tym obszarze źródła mają rzeki Ya-Lung oraz potężna Jangcy i Mekong, który później odbija na południe i staje się główną wodną arterią Wietnamu. Góry Baian Kara Ula mają ponad 5000 metrów wysokości, lecz w kotlinach, które również są położone na wysokości do 2000 metrów, latem jest przyjemnie i ciepło. Naukowcy przypuszczają, że przed około 20.000 lat panował tu ciepły klimat. W każdym razie ślady ludzkich sadyb sięgają bardzo odległej prehistorii¹⁴.

Pradawne podania i legendy z tej części Azji opowiadają o istotach cechujących się niskim wzrostem, drobną posturą oraz żółtą cerą. Na obłokach wylądowały one na Ziemi i z powodu uderzającej szpetoty oraz całkowitej odmienności od okolicznych ludów były obiektem bezlitosnych napaści i rzezi⁸³. Również w nowszych czasach ten górski region stał się tabu dla miejscowej zabobonnej ludności. Być może jest to zasadniczy powód, dla którego artefakty odkryte przez ekspedycję Chi Pu-Tei pozostały nietknięte, a groby niesplądrowane przez rabusiów okradających miejsca pochówku.

Archeolodzy z Pekinu znaleźli w jaskini nie tylko szkielety istot o niskim wzroście. Prawdziwą sensacją okazało się 716 kamiennych tarcz, które leżały obok zmarłych w grobach. Nieco podobne do naszych płyt gramofonowych z ebonitu, kamienne talerze miały grubość około 1 centymetra i średnicę do 30 centymetrów oraz okrągły otwór pośrodku, grubości palca. Na ich powierzchni były wyryte rowki. W odróżnieniu od płyt gramofonowych rowki na kamiennych talerzach zaczynały się

przy środkowym otworze i w postaci podwójnej spirali biegły ku obwodowi tarczy. Między tymi spiralami były wyryte znaki przedstawiające najbardziej osobliwy rodzaj pisma.

Artefakty te, z niedającymi się początkowo odczytać hieroglifami wyrytymi w kamieniu, przyprawiły zespół archeologów o prawdziwy ból głowy. Wspomnianemu już archeologowi, profesorowi Chi Pu-Tei, trudno było uznać kamienne tarcze za dary wotywno złożone w skalnych grobach obok ciał istot o wroście karłów. W 1940 roku ogłosił on teorię, według której owe istoty były gatunkiem górskich małp, już wymarłych. Jego zdaniem 716 zapisanych kamiennych płyt pochodziło ze znacznie późniejszego okresu. Miały to być wytwory jakiejś stosunkowo młodej kultury, które złożono w jaskini⁸³. Jak wiemy, nawet dzisiaj żadne małpy nie chowają swoich pobratymców w jakichkolwiek grobach. Gdyby profesorowi Chi Pu-Tei pozwolono na początku lat 40. XX wieku przetłumaczyć kilka fragmentów kamiennych hieroglifów, zapewne już wtedy doszedłby do całkowicie odmiennych wniosków końcowych. Z tym jednak trzeba było poczekać kilka lat, ponieważ do tego rodzaju interpretacji świat wtedy jeszcze nie dojrzał.

„ODJECHANA” HISTORIA

Mówiąc dokładnie, musiało upłynąć jeszcze ponad 20 lat. Dopiero w 1962 roku zespołowi pięciu uczonych z Akademii Prehistorii w Pekinie, pod kierunkiem profesora Tsum Um-Nui, udało się odczytać parę fragmentów z kilku kamiennych płyt.

Rowkowe hieroglify opowiadały o perypetiach przybyszów z kosmosu, którzy z konieczności wylądowali na Ziemi. Działo się to w czasach, w których z konwencjonalnego punktu widzenia niemożliwe było wysłanie w kosmos lotu załogowego. Według owych nieznanych kronikarzy, którzy swoją relację uwiecznili dla potomnych na kamiennych tarczach, grupa przedstawicieli ich rasy – przed 12.000 lat – została zmuszona do wylądowania na trzeciej planecie tego Układu Słonecznego. W trakcie awaryjnego lądowania w niedostępnych górach ich kosmiczne pojazdy zostały poważnie uszkodzone. Naprawa bądź budowa nowych statków okazała się niemożliwa ze względu na brak materiałów oraz niezbędnych do tego narzędzi. Znalazłszy się w całkowicie sobie obcym świecie, zostali zmuszeni osiedlić się w górach Baian Kara Ula^{83, 96, 97}.

Innymi słowy: przed około 12.000 lat w tym rejonie doszło do incydentu, który – uwzględniając podobne wydarzenie z o wiele bliższych nam czasów – można by nazwać „chińskim Roswell”. To określenie zakorzeniło się w anglo-amerykańskim obszarze językowym, co należy przypisać przede wszystkim mojej wydanej tam książce o tym samym tytule, poświęconej opisanej wyżej nierozwiązanej zagadce z Azji Wschodniej⁹⁸.

W przetłumaczonych urywkach tego przekazu mówi się o pewnym ludzie, który nosi nazwę Dropów, przy czym oczywiście jest, że istoty te pochodzą z kosmosu.

W relacji tej występuje również inny lud, nazywany Khamami – w tym drugim przypadku chodzi o mieszkańców osiadłych wówczas na obszarze gór Baian Kara Ula. Ich konfrontacja z obcymi przebiegała zapewne nie bez tarć, o czym opowiadają hieroglify z kamiennych tarcz, przetłumaczone przez profesora Tsum Um-Nui i czterech jego kolegów:

„Dropowie zjechali z chmur na swoich powietrznych szybowcach. Po dziesięćkroć do wschodu słońca kryli się w jaskiniach mężczyźni, kobiety i dzieci ludu Kham. Potem zrozumieli dane znaki i przekonali się, że tym razem Dropowie przybyli w przyjaznych zamiarach”.

Ale przybysze nie mogli się czuć całkowicie bezpieczni. Byli bowiem bezlitośnie ścigani i zabijani przez mężczyzn na rączych koniach – być może pod tym określeniem w nieco późniejszej epoce kryli się mongolscy wojownicy.

To zdecydowanie „odjechana” opowieść, która na początku 60. lat XX wieku mogła być niesłychanym afrontem w kraju o całkowicie materialistycznym światopoglądzie. Nie należy zatem się dziwić, że profesor Tsum Um-Nui został z miejsca wygwizdany w Akademii Nauk, kiedy po raz pierwszy ogłosił raport z przeprowadzonych prac badawczych. Publikacja, mimo rozwlekłości, nosiła prowokacyjny tytuł: „Teksty, zapisane pismem rowkowym na tarczach, które mówią o

statkach kosmicznych, istniały już przed 12 tysiącami lat”⁹⁶.

SZUKANIE IGŁY W STOGU SIANA

Mimo wszystko Tsum Um-Nui zdołał doprowadzić do opublikowania raportu. Skutki były jednak fatalne, chociaż typowe dla przebiegu kariery w placówce naukowej. W naukowym świecie relację tę potraktowano jako pozbawione sensu brednie, jej autor zaś stał się pośmiewiskiem, uznany za fantastę. Człowiek, który najcenniejsze lata swego życia poświęcił rozwikłaniu jedynej w swoim rodzaju zagadki tysiąclecia, zakończył pracę w Akademii Nauk i powrócił do Japonii, swojej ojczyzny. Pełen goryczy na skutek ataków na jego osobę zmarł tam krótko potem. Ale to właśnie z Japonii dotarły do Europy pierwsze informacje w 1962 roku.

Doktor Jorg Dendl, historyk z Berlina, udał się przed kilkanaście laty do archiwów w poszukiwaniu tych najwcześniejszych informacji, by całą tę historię zdemaskować jako dziennikarską kaczkę albo trafić na ślad fantastycznie brzmiącej prawdy. W dawno zapomnianym miesięczniku dla jaroszy udało mu się wreszcie na coś natrafić. W piśmie „Wegetariański wszechświat” w numerze z lipca 1962 roku opublikowano artykuł zatytułowany „UFO w pradziejach?”, którego fragmenty przytaczano później w licznych doniesieniach prasowych w innych językach. Mimo wielokrotnych przekładów różnice między poszczególnymi wersjami są zaskakująco niewielkie, co każe się domyślać, że do pracy wzięli się tłumacze dobrzy w swoim fachu^{99,100}.

Nie udało się, jak dotąd, odnaleźć pierwotnego japońskiego czy nawet chińskiego źródła. W jakich zapomnianych i zakurzonych archiwach może skrywać się raport z prac badawczych profesora z Japonii, czy dokument ów podążył szlakiem wszystkiego, co ziemskie – na ten temat możemy jedynie spekulować. Sceptycy przypuszczają tak czy owak, że ta fantastycznie brzmiąca relacja w rzeczywistości nigdy nie istniała. Czy zatem wszystko jest jedynie czczym wymysłem?

Niemniej jednak i ja udałem się na poszukiwanie śladów – przedkładając nad inne wizytę na miejscu zdarzeń w Państwie Środka – ponieważ warto byłoby w końcu udzielić kilku trafnych, choć spóźnionych odpowiedzi na pytanie: Prawda czy fikcja? Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że zadanie to będzie z licznych i zrozumiałych powodów niczym przysłowiowe szukanie igły w stogu siana. Z jednej strony opowieść o „chińskim Roswell” zapisana na kamiennych tarczach brzmi w uszach tych współczesnych, którzy z niejednego kotła jedli, bardziej jak science fiction niż prawda. Z drugiej zaś strony ewentualnych artefaktów oraz innych namacalnych dowodów niemal na pewno nie da się już odkryć, gdyż prawdopodobnie zostały potajemnie zniszczone. Dlatego że w trakcie długich dziesięcioleci odizolowania Chin od reszty świata przez kraj ten przetoczyła się Wielka Proletariacka Rewolucja Kulturalna, fala czystek rozpoczęta w 1966 roku i zakończona dopiero po śmierci Mao Zedonga, inspirowana przez radykalnie nastawionych studentów oraz Czerwoną Gwardię (Hongweibing). Społeczne rozruchy początkowo tolerowane i wspierane przez polityczne kierownictwo, nabrały charakteru zbliżonego do wojny domowej, zaś pełne brutalnej przemocy zamieszki siały w całych Chinach śmierć i grozę. Liczba śmiertelnych ofiar, jakie za sobą pociągnęła krwawa rewolucja, jest niemożliwa do oszacowania, ponadto w trakcie jej trwania pastwą padły niezliczone skarby kultury.

Ostatnie płomienie nieszczęsnej rewolucji kulturalnej rozgorzały we wrześniu 1976 roku, kiedy wielki sternik Mao opuścił ziemski padół. Wdowa po nim, Jiang Qing, usiłowała przejąć władzę w państwie i w partii. Dopiero obalenie w miesiąc później, w październiku, tak zwanej bandy czworga położyło kres tym gwałtownym i przerażającym wydarzeniom. Powoli, krok po kroku, życie w tym ogromnym komunistycznym kraju zaczęło się normalizować¹⁴.

Jednak wandalizm i barbarzyństwo minionych dziesięcioleci pozostawiły po sobie niezmiernie duże straty i zniszczenie historycznych miejsc. Życie wielu członków Akademii Nauk znalazło się w bezpośrednim zagrożeniu, gdyż klasa robotnicza była wtedy absolutnym hegemonem. Dla zagadkowego odkrycia w górach Baian Kara Ula oznaczało to całkowitą blokadę przepływu informacji poza granice Chin. W końcu historia ruszyła innym torem. Przez długie lata nie wydarzyło się w tej sprawie nic nowego.

W rzeczywistości natrafiono jednak na kilka nowych śladów – po części towarzyszyły im dramatyczne okoliczności – które zdawałyby się potwierdzać końcowy wniosek, że w tej opowieści kryje się więcej niż ziarno prawdy. Wygląda wręcz na to, że owe karłowate istoty, których szkielety znaleziono w skalnych grobach w masywie Baian Kara Ula, wciąż chodzą po tej ziemi i są potomkami tych, którzy wówczas zdołali przeżyć. Ale po kolei.

NIESPODZIEWANE ODKRYCIE

Przywołajmy w tym miejscu raz jeszcze informacje, które dotarły do nas w 1962 roku w postaci artykułu opublikowanego w miesięczniku „Wegetariański wszechświat”. W tekście tym przedstawiono niezwykle techniczne detale „elektrycznych tarcz”. Z artykułu wynika, że przeprowadzono szczegółowe analizy, które wykazały wysoką zawartość kobaltu w kamiennych tarczach¹⁰¹. W trakcie badania jednej z tarcz za pomocą oscylografu wykryto zaskakujący rytm drgań, jak gdyby artefakty te znajdowały się kiedyś pod wysokim napięciem elektrycznym.

Stwierdzona wysoka zawartość kobaltu w kamiennych talerzach z pewnością nie była dziełem przypadku. Metal ten, podobnie jak żelazo i nikiel mający właściwości ferromagnetyczne, jest używany głównie do wyrobu stopów chromu i stali. W rudach występuje z niklem i jest wydobywany przede wszystkim w Kanadzie i Afryce Środkowej oraz, od niedawna, również w Chinach – w prowincji Qinghai, gdzie jest usytuowany górski region Baian Kara Ula! Moim zdaniem jest to kolejna przesłanka, że całej tej sprawy nie wolno bez bliższego zweryfikowania odłożyć między bajki.

Istnieje izotop kobaltu o wysokim stopniu promieniotwórczości, który znajduje zastosowanie w medycynie dzięki silnej emisji promieniowania gamma. Jeśli wysokiej zawartości kobaltu w tarczach nie da się wyjaśnić naturalną jego domieszką, to mógłby on zostać dodany celowo przez obcą inteligencję. Czy chciano w ten sposób zwiększyć trwałość i wytrzymałość nośników informacji, żeby niosły one niewiarygodny przekaz nawet po upływie tysięcy lat?

Jednym z tych, którzy dużo wiedzą o kulisach tego znaleziska, jest austriacki inżynier Ernst Wegerer. Zdołał on przedostać się do Chin jako uczestnik jednej z pierwszych grup turystycznych, które dotarły tam pod koniec epoki Mao, wówczas jeszcze pod bacznym okiem państwowych przewodników, z precyzyjnie określonym programem podróży, który prowadził do miasta Xi'an, ośrodka administracyjnego prowincji Shaanxi, o bardzo bogatej przeszłości.

W Xi'an wycieczka, której uczestnikiem był inżynier Wegerer, zwiedziła Muzeum Banpo, położone w jednym ze wschodnich przedmieść. Tam właśnie w 1953 roku w trakcie robót ziemnych przygotowujących teren pod przyszłą fabrykę robotnicy natrafili na pozostałości osady z młodszej epoki kamienia, której wiek archeolodzy oszacowali na co najmniej 6000 lat. Dokonano tam licznych znalezisk, głównie były to przedmioty z wypalanej gliny. Wykopaliska zyskały priorytet, planowane zaś zakłady przemysłowe powstały w innym miejscu. Zamiast fabryki wybudowano tutaj Muzeum Banpo, by ochronić wykopaliska z młodszej epoki kamienia.

I właśnie w tym muzeum Ernst Wegerer odnalazł dwie kamienne tarcze, odkryte zimą na przełomie lat 1937 i 1938 w górach Baian Kara Ula.

Kulisy ich odkrycia były znane Austriakowi, dlatego zwrócił się do dyrektorki muzeum, która – w asyście oficjalnego tłumacza oraz pilota wycieczki – oprowadzała grupę turystów po muzealnym obiekcie. Kobieta chętnie udzielała informacji, a nawet się rozgadała. Kiedy jednak Wegerer zadał pytanie na temat pochodzenia, znaczenia oraz celu, jakiemu służyły oba kamienne talerze, zrozumiał od razu, że postawił dyrektorkę w trudnej sytuacji. Wcześniej opisywała ze szczegółami każdą glinianą skorupę wystawioną w gablocie i nagle stała się małomówna i oszczędna w słowach. Schroniła się też za ulubionym przez archeologów, ale nic niemówiącym „wyjaśnieniem”, jakoby w tym przypadku chodziło tylko i wyłącznie o „obiekty kultu”. Z jakiej przyczyny kobieta nagle zamknęła usta, dowiedziałem się dopiero 20 lat później. Spotkał ją, o czym wiem, los do tej pory nieznany.

Dyrektorka pozwoliła inżynierowi z dalekiej Austrii wziąć do ręki jeden z kamiennych talerzy i

sfotografować oba (fot. 37). Wykonane polaroidem, są to jedyne istniejące dziś zdjęcia obu kamiennych tarcz zabranych z jaskini, w której dokonano owianego tajemnicą znaleziska w górach Baian Kara Ula.

Wegerer ocenił ciężar każdej z płyt na około 1 kilograma, a średnicę – na niecałe 30 centymetrów. W środku miały otwór, były na nich także rowki i wyłobienia, które niewątpliwie stanowiły rodzaj pisma. Niestety, nie da się ich dojrzeć na zdjęciach, co zresztą ma banalne przyczyny. Po pierwsze, kamienne tarcze z Muzeum Banpo uległy do pewnego stopnia procesowi wietrzenia. Po drugie, polaroidy mają wbudowaną lampę błyskową, która zapala się przy każdym zdjęciu – drobne szczegóły stają się wtedy na zdjęciu nieostre¹⁰².

ZATRZEĆ WSZELKIE ŚLADY

Peter Krassa, mój wiedeński przyjaciel i kolega po piórze, zmarły przedwcześnie w październiku 2005 roku, znalazł się w posiadaniu tych fotografii w połowie lat 80. XX wieku. A zatem niemal dekadę po tym, jak wykonał je inżynier Wegerer w Muzeum Banpo. Jednak wreszcie w tej archeologicznej sprawie kryminalnej, wokół której „dochodzeniowcy” zbyt długo dreptali w miejscu, pokazał się nowy ślad. Sceptycy zaś, jak to dzisiaj dokładnie widać, zbyt wcześnie odłożyli tę sprawę *ad acta*.

Taki był zatem stan rzeczy, kiedy wraz z Peterem Krassą podjąłem poszukiwania w Chinach w tym samym miejscu co inżynier Ernst Wegerer, lecz 20 lat później.

W marcu 1994 roku mieliśmy okazję odbycia rozmowy z jednym z najwybitniejszych chińskich archeologów. Profesor Wang Zhijun, obecny dyrektor Muzeum Banpo, zaprosił nas do wymiany poglądów. Rzecz jasna chodziło nam o – o cóż innego mogłoby chodzić? – dwie kamienne tarcze, których widoku wciąż byliśmy bardzo złażnieni. To, z czym się spotkaliśmy, to ciąg dalszy tajemniczej historii owych artefaktów. Po początkowych wahaniach uczony wyjawiał nam, co się stało.

Jego poprzedniczka zniknęła krótko po wizycie inżyniera Wegerera, nagle, z dnia na dzień, z niewyjaśnionych przyczyn. Od tamtej pory zarówno ona, jak i dwie kamienne tarcze przepadły bez śladu!

Jaki los spotkał dyrektorkę muzeum, można wyłącznie spekulować. Ale po profesorze Wang Zhijunie widać było wyraźnie, że on również nie czuł się komfortowo. Na pytanie o miejsce, gdzie mogłyby znajdować się eksponaty, zareagował wyraźną konsternacją, ale udzielił nam następującej odpowiedzi:

„Kamienne tarcze, o których panowie tu wspominali, nie istnieją, ale ponieważ były to obiekty niepasujące do glinianych eksponatów wystawianych w tym muzeum, zostały stąd zabrane”.

Fascynująca odpowiedź. Nawet nasz tłumacz z trudem skrywał zdziwienie. Dwie sprzeczności w jednym tylko zdaniu.

Później jednak dowiedzieliśmy się czegoś nowego o zagadce tysiąclecia, nazywanej „chińskim Roswell”. I od jakiegoś czasu owe tajemnicze istoty, które – jak się wydaje – stanowią centrum wydarzeń, zaczynają przybierać konkretny kształt.

OSTATNI ŻYJĄCY POTOMKOWIE?

Rozpoczęło się od raczej niepozornego doniesienia agencji Associated Press, które pod koniec 1995 roku nadeszło z Chin. Dokładnie w tydzień po tym, jak jeden z owych „zawodowych sceptyków”, których uniknąć się nie da, zaatakował mnie przed kamerami telewizyjnymi.

Byłem gościem programu talk-show stacji RTL, prowadzonego przez Christen. Tematem

programu było UFO i istoty pozaziemskie. Znalazłem się w doprawdy barwnym towarzystwie. Obok notorycznego malkontenta i sceptyka siedziała Amerykanka o platynowych włosach, która obstawała uparcie przy tym, że w wieku sześciu lat została przywieziona na Ziemię z planety Wenus w statku kosmicznym ze złota. Jakoby nie miała układu trawiennego jak ludzie, a kiedy jej taki układ wszczepiono i wypła swoją pierwszą coca-colę, było to dla niej niezapomniane przeżycie (kiedy miałem osiem lat, też wypilem pierwszą w życiu colę i też było to niezapomniane przeżycie, nigdy jednak nie przyszłoby mi do głowy, iż pochodzę z Wenus!). Ostatnich pięć minut programu należało do mnie, postanowiłem zatem opowiedzieć zagadkową historię kamiennych tarcz z Państwa Środka. Miałem nawet czelność przedstawić własny stosunek do tej sprawy:

„Jeśli w tej historii tkwi rzeczywiście odrobina prawdy, to być może katastrofę przeżyli jacyś kosmiczni rozbitkowie. A gdyby tacy rozbitkowie rzeczywiście ocaleli, być może jeszcze do dziś żyją potomkowie tych, którzy wyszli cało z katastrofy”.

Rozległ się szyderczy śmiech oraz drwiny. Tak zareagował umieszczony z rozmysłem pośród gości zawodowy sceptyk, który w pełen arogancji sposób skierował do mnie słowa: „Pogłoski... wszystko to pogłoski, które już przed wieloma laty odłożono *ad acta*, odrzucając to, co autor – jak on się nazywał? – z siebie wydusił”.

Wszechświat bywa czasami sprawiedliwy, ponieważ wydarzenia, jakie nastąpiły potem, pozwoliły odłożyć *ad acta* zadufanego w sobie zawodowego sceptyka. Zaledwie tydzień później w naszych mediach cytowano za agencją informacyjną z Chin wieści, jakie wydawały się absolutnie niewiarygodne. W prowincji Sichuan – która graniczy ze wschodnimi masywami gór Baian Kara Ula – odkryto 120 żywych istot o niezwykle niskim wzroście. Najwyższa z nich mierzyła zaledwie 155 centymetrów, najniższa – dorosła! – zaledwie 63,5 centymetra. Badacze byli – i są do dziś – całkowicie bezradni. Niektórzy dopatrywali się przyczyn takiego wzrostu w związkach toksycznych zatruwających środowisko, inni natomiast czynili odpowiedzialnym za tak niski wzrost gen karłowatości^{103, 104}. Rzeczywiście, akcja nie mogła potoczyć się bardziej emocjonująco.

Zająłem się też bliżej nielicznymi informacjami, jakie uzyskałem dzięki wciąż jeszcze dobrym kontaktom z chińskimi władzami resortu turystyki, oraz paroma nieoczekiwanymi faktami i doszedłem do zaskakujących wniosków. Całkiem prawdopodobne jest przypuszczenie, że mamy do czynienia z ostatnimi, wciąż jeszcze żyjącymi, potomkami kosmicznych rozbitków z gór Baian Kara Ula.

W żadnym razie nie może tu wchodzić w grę zbieg okoliczności. Naukowcy z dziedziny medycyny określają statystyczne prawdopodobieństwo narodzin osobnika o karłowatym wzroście jak 1 do 20.000. Oznacza to, że tylko jedno dziecko na 20.000 dzieci o normalnym wzroście będzie karłem. We wspomnianych 120 przypadkach karłów natrafiamy na ekstremum matematycznych obliczeń, bo prawdopodobieństwa nie dodają się, lecz mnożą przez siebie. Innymi słowy, dużo łatwiej jest trafić w totolotku szóstkę z liczbą dodatkową!

Substancje zatruwające środowisko też raczej nie wchodzi w grę, ponieważ owa „wioska karłów” leży bardzo daleko od wielkich miast i obiektów przemysłowych. Wynika to z informacji, które otrzymałem od władz chińskiego resortu turystyki. Naturalną koleją rzeczy zwróciłem się, i to po wielokroć, o wydanie zezwolenia na przyjazd do tego tajemniczego miejsca zamieszkanego przez ludzi o niskim wzroście, jednak do dziś dnia odpowiedź zawsze brzmi tak samo: „Obszar nie jest udostępniony dla turystów z zagranicy”.

KATASTROFA W ZATOCE MINAMATA

W styczniu 1997 roku prasę obiegła wiadomość o kolejnej próbie wyjaśnienia tej zagadki. Pod nagłówkiem „Spór lekarzy o wioskę karłów” media cytowały opinie chińskich uczonych, którzy upatrywali przyczyny niskiego wzrostu w bardzo dużym stężeniu rtęci w wodzie pitnej w tym rejonie¹⁰⁵.

Takie tłumaczenie jest jednak oczywistym nonsensem! Każdy toksykolog dobrze wie, że rtęć i

jej związki są silnie trujące i działają podstępnie, ale przez dłuższy czas; nie od razu dochodzi do uszkodzeń narządów w organizmie. Tragicznym przykładem działania rtęci jest skandal ekologiczny, do którego doszło na początku lat 60. XX wieku na południu japońskiej wyspy Kiusiu. Pewna firma z branży chemicznej odprowadzała nieoczyszczone ścieki, zawierające dużo rtęci, bezpośrednio do zatoki Minamata. Odkąd zaczęły w Europie wyrastać jak grzyby po deszczu restauracje oferujące sushi, wiemy, że Japończycy chętnie spożywają ryby na surowo. W rejonie zatoki Minamata miało to dramatyczne konsekwencje. Związki rtęci dostawały się do organizmu ludzi spożywających ryby i owoce morza. Dochodziło do masowych zatruc. Skutki były bardzo poważne, ale tylko nieliczne ofiary umarły natychmiast. Najczęściej przez wiele lat trucizna gromadziła się w organizmie człowieka i powodowała przewlekłe choroby narażające na mękę i cierpienie. Zdjęcia ofiar zatrucia obiegły wówczas świat.

Jednego wszakże rtęć nie jest w stanie dokonać: oddziaływać na ludzkie DNA – nośnik informacji genetycznej. Toksykolog z Monachium, doktor Norbert Felgenhauer, wyjaśnił to, odnosząc się do sprawy mieszkańców „wioski karłów” następująco:

„Rtęć prowadzi do zaburzeń ośrodkowego układu nerwowego, uszkadza żołądek, jelita oraz nerki. Zależnie od dawki może nawet doprowadzić do zgonu. W żadnym jednak razie pobranie z pokarmem rtęci nie powoduje zmiany w chromosomach. Oznacza to, że – opierając się na osiągnięciach nauki świata zachodniego – należy wyciągnąć wniosek, iż rtęć nie oddziałuje na wzrost”.

Tak więc, ku zadowoleniu wszystkich, została odrzucona „hipoteza rtęciowa”. Poza tym informacji o istnieniu „wioski karłów” nie zdementowały chińskie władze, również jej nazwa – Huilong – nie została przez cenzurę wycofana z doniesień. Jedyne, co uczyniono, to zamknięto obszar ten dla zagranicznych turystów. Skłania mnie to do następującej refleksji: gdyby utworzono tam jakiś rodzaj getta, gdzie kierowano by „odgórnie” ludzi o lilipucim wzroście z całych Chin, to władze z pewnością zachowałyby całą sprawę w ścisłej tajemnicy. Chiny są żywotnie zainteresowane utrzymaniem dobrych stosunków z innymi państwami w zakresie turystyki i w innych dziedzinach gospodarki. Utrata dobrego imienia przez przyszłe supermocarstwo miałaby negatywny wpływ na image Chin. Tego władze w Pekinie na pewno chcą uniknąć.

Idąc dalej tym tokiem rozumowania, doszedłem do wniosku, że istoty o karłowatym wzroście muszą mieć wspólne pochodzenie i nie stanowią grupy złożonej z osób skierowanych tam z różnych regionów Chin. Dla lekarzy i etnologów wciąż są zagadką. My zaś, ludzie z Zachodu, nie tylko głowimy się nad jej rozwikłaniem, ale w ogóle nie mamy pojęcia, co o niej wiedzą w Chinach.

DŁUGI CZAS W CAŁKOWITEJ IZOLACJI

Obszar, na którym znaleziono karłowate istoty, oddalony jest zaledwie o kilkaset kilometrów od górskiego pasma Baian Kara Ula – położony jest niedaleko jego wschodnich obrzeży. Tam właśnie prowincja Sichuan graniczy z prowincją Qinghai. Opierając się na tych obecnie znanych informacjach, uważam za prawdopodobne dwa scenariusze:

1. Nie tak dawno temu – dopiero w połowie lat 90. XX wieku – owe istoty o karłowatym wzroście, które być może rzeczywiście są potomkami Dropów z Baian Kar Ula, zdecydowały się opuścić niegościnnie tereny położone wysoko w górach i osiedlić się w rejonie o bardziej sprzyjającym klimacie.

2. Również przed niewielu laty lilipuci z wysokogórskiego rejonu zostali odkryci, a potem w celu przeprowadzenia badań oraz objęcia ich ścisłym nadzorem przymusowo przesiedleni w określone miejsce na mocy decyzji podjętej na wysokim szczeblu.

Scenariusz numer dwa uważam za mało prawdopodobny – podobnie jak tworzone odgórnie getto – w takim przypadku za granicę nie wypłynęłyby żadne informacje, dlatego skłaniam się bardziej ku pierwszemu. Lecz jeden fakt w obu hipotetycznych założeniach pozostawałby bezsporny: karłowate istoty musiały przez bardzo długi czas żyć w całkowitej izolacji. Gdyby było inaczej,

doszłoby do wymieszania z innymi grupami etnicznymi zamieszkałymi w ich sąsiedztwie. To z kolei skutkowałoby znacznym podwyższeniem wzrostu poszczególnych osobników.

Dobry przykład stanowią Pigmeje, rasa niskich ludzi, której ojczyste rejony znajdują się na nizinie Kongo w Afryce Równikowej. Już Homer i Herodot pisali o mitycznym ludzie karłów, któremu nadali nazwę *Pygmaios* (wielkości pięści). Kiedy przed około 200 laty pierwsi europejscy badacze i podróżnicy przedzierali się przez dżunglę w sercu Afryki, opisali tych ludzi o karłowatym wzroście, którzy mierzyli wtedy od 130 do 140 centymetrów. Obecnie osiągają nierzadko wzrost 150 centymetrów, co jest efektem mieszania genów z okolicznymi plemionami o normalnym wzroście. Naukowcy nazywają ten skokowy przyrost akceleracją.

Nic podobnego jednak nie przydarzyło się niskim ludziom, którzy dziś mieszkają w Huilong, w „wiosce karłów” oddalonej o 200 kilometrów na południe od Chengdu. Ich wzrost się nie zwiększał, żyli w całkowitej izolacji w górach prowincji Qinghai. Konsekwentny chów wsobny, jaki trwał przez tysiąclecia w tamtym rejonie, doprowadził do obniżenia ich wzrostu, co potwierdza przykład dorosłego osobnika, mierzącego zaledwie 63,5 centymetra. To naprawdę robi wrażenie.

NIESAMOWITE SPOTKANIE PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ

Chociaż do dziś zachodnim badaczom wciąż jeszcze odmawia się dostępu do owych ludzi o lilipucim wzroście, odkrycie ich istnienia stanowi apogeum tej tajemniczej historii, która zbyt pośpiesznie została przez krytyków włożona między bajki. Po jednej stronie mamy istoty, których nie da się nigdzie etnologicznie przyporządkować, po drugiej – brzmiącą fantastycznie relację o katastrofie UFO, jaka miała rzekomo wydarzyć się przed 12.000 lat, zapisaną na 716 kamiennych tarczach, spośród których dwie na krótki czas wyłoniły się na światło dzienne, potem zaś znów znalazły się poza naszym zasięgiem. Poszukiwania jednak wciąż trwają, zarówno na Zachodzie, jak i w Chinach.

Te poszukiwania przynoszą coraz więcej przesłanek, nakazujących przy ocenie „chińskiego Roswell” – zagadki tysiąclecia – opowiedzieć się za wnioskiem, że konkretne zdarzenia są ukryte za znakami zapytania. Na przykład doktor Jörg Dendl, historyk z Berlina, natrafił na publikację z 1933 roku, w której opisano dwa spotkania z ludźmi o karłowatym wzroście w górach Tybetu (od zachodu prowincja Qinghai z odnogami gór Baian Kara Ula graniczy z Tybetem!).

Autor tej relacji, zatytułowanej *Hsi Tsang Tu Kao*, spotkał najpierw kobietę, którą prowadził chiński żołnierz. Miała mniej niż 120 centymetrów wzrostu. Jakiś czas później w Menkong natrafił na grupę tych istot. Zdołał zmierzyć kilka z nich i okazało się, że mężczyźni mieli przeciętnie około 135 centymetrów wzrostu, natomiast kobiety zaledwie około 125 centymetrów. Całą grupę traktowano jak niewolników. W owej relacji zamieszczono też uwagę, że te karłowate istoty były rzekomo kanibalami i żyły gdzieś w górach. Wspomniana okolica miała według zebranych informacji być oddzielona na północy granicą jaka biegła od Assamu do Batang. Natomiast wschodnia granica tego obszaru miała bieć wzdłuż linii między Chiang Ka a Teng Yiieh. Krainę tę nazywano Kepu Chan, zaś jej mieszkańcy nie ulegli wpływowi buddyzmu, który był wyznawany niemal w całej Azji. Poziom kulturowy owych karłów uznano w opisie za bardzo prymitywny, ponieważ znajduje się tu wzmianka, że wszyscy zamieszkiwali w jaskiniach oraz odziewali się w zwierzęce skóry i w liście¹⁰⁶.

Opis ten mógłby pasować do rozbitków, którzy niegdyś dysponowali wysoko rozwiniętą techniką ale musieli dostosować się do najprostszych warunków życia i stopniowo w coraz większym stopniu tracili techniczne zdobycze, jakie zdołali uratować z katastrofy. Później ich walka o przeżycie stała się jeszcze twardsza. Na bardzo ciekawą wskazówkę natrafiłem nieoczekiwanie w Australii. Pod koniec lat 90. XX wieku na wschodnim wybrzeżu Australii dawałem serię wykładów poświęconych nierozwiązanej zagadce z Chin. Było to w Brisbane, mieście portowym i stolicy prowincji Queensland. Po zakończonym odczycie dwóch młodych ludzi wzięło mnie na bok i opowiedziało mi osobliwą historię, jaką zasłyszeli od zmarłego już dziadka który podczas II wojny światowej walczył w Chinach po stronie aliantów z wojskami japońskimi. Do śmierci opowiadał

członkom rodziny o istotach niezwykle niskiego wzrostu z wielką głową które wielokrotnie spotykał w odludnym górskim regionie Chin. Jego rodzina traktowała te historie jak mrozące krew w żyłach opowieści weterana, zatem nikt nie dawał mu wiary. (Dlaczegoż mielibyśmy wierzyć tym jego zwariowanym opowieściom? Kule świstały wokół niego, a każdy wie, że żołnierze podczas bitwy i innych bojowych działań przeżywają szok).

Jestem jednak przekonany, że po tamtym odczycie w Brisbane, w którym omówiłem szczegółowo tajemniczą historię kamiennych tarcz z Baian Kara Ula, rodzina dawno zmarłego weterana II wojny światowej traktuje teraz inaczej przeżycia dziadka. Czasami zrozumienie przychodzi późno, ale przychodzi.

NOWA EKSPEDYCJA DO BAIAN KARA ULA?

Dramatyczny rozwój wydarzeń w sprawie, którą krytycy oraz samozwańczy obrońcy nauki zbyt pośpiesznie odłożyli *ad acta*, wymaga prowadzenia dalszych gruntownych dociekań. Zamierzam pozostać w grze i będę dokładał starań, żeby wyrwać zagadkowe wydarzenia związane z potencjalną katastrofą statku kosmicznego sprzed 12.000 lat z oparów mitów, legend i pogłosek. Moim zdaniem jest to najbardziej fascynująca tajemnica naszych czasów.

Szanse na to wydają się obecnie nie najgorsze. Niedawno udzieliłem obszernego wywiadu największemu angielskojęzycznemu tygodnikowi w Chinach – *City Weekend Magazine* do artykułu na temat „Pozaziemskie zjawiska w Chinach”. Najwięcej uwagi poświęcono znalezionym niedawno tajemniczym cylindrycznym artefaktom na górze Baigong, które przez oficjalnych przedstawicieli kręgów naukowych i politycznych zostały otwarcie uznane za „ruiny pozostawione przez ludzi spoza Ziemi” (patrz rozdział 8)¹⁰⁷. Podczas trwającej 90 minut telefonicznej rozmowy dowiedziałem się, że w Chinach planowana jest nowa wyprawa w góry Baian Kara Ula. Poniekąd będzie to wznowienie ekspedycji z 1937-1938 roku, kierowanej przez Chi Pu-Tei, od której wzięła początek cała ta zagadkowa historia, jaka stała się archeologiczną sprawą kryminalną numer jeden. Wyprawa ma być sponsorowana przez media Chińskiej Republiki Ludowej; wśród nich jest też gazeta dystrybuowana na terenie całego kraju, *China Daily*.

Zatem z napięciem można oczekiwać kolejnych sensacyjnych wieści, jakie w dającym się przewidzieć czasie dotrą do nas z Państwa Środka. W przyszłości powinno się jednak jak najszybciej skończyć z wystawianiem na pośmiewisko tego rodzaju doniesień, na pierwszy rzut oka sprawiających wrażenie niezwykle i niewiarygodnych. Tylko dlatego że nie powinno istnieć to, co istnieć nie może...

10

EGIPCJANIE ORAZ ISTOTY POZAZIEMSKIE

AUSTRALIA KRYJE WIELE TAJEMNIC

Narody starożytności dysponowały wiedzą o Australii na tysiące lat przed Magellanem i Cookiem.

Rex Gilroy, australijski badacz i archeolog

Przeszedł mnie lekki dreszcz. O metr ode mnie spomiędzy kamieni dobiegł syk. Celowo do prowadzenia najnowszych badań wybrałem miesiące zimowe, które na półkuli południowej przypadają od czerwca do sierpnia włącznie. Wtedy to zapadają w zimowe odrętwienie tajpan australijski, zdradnica śmiertcionośna oraz wąż tygrysi – trzy gatunki jadowitych węży spośród wielu zamieszkujących Australię, których ukąszenie najczęściej kończy się dla człowieka śmiercią. Wąż *Pseudonaja textilis*, mający 2-3 metry długości, wyjątkowo agresywny, inaczej niż pozostałe jadowite węże atakuje do czterech razy. Przedstawiciel tego rozpowszechnionego w całej wschodniej Australii gatunku na szczęście zamierzał jedynie dać mi znak, że postawiłem stopę w wyjątkowo niewłaściwym miejscu.

Krótką retrospekcja. Już podczas jednej z moich wcześniejszych podróży przez piąty kontynent usłyszałem o pewnym znalezisku, które wtedy – z wyjątkiem wąskiego kręgu zainteresowanych – pozostawało w zasadzie nieznanie. W połowie lat 90. XX wieku australijski badacz, pisarz i realizator filmowy, Paul White, natrafił na odludnych obszarach północno-wschodniej Nowej Południowej Walii na dwie skalne ściany ozdobione setkami hieroglifów najwyraźniej staroegipskiego pochodzenia¹⁰⁸.

Nie miałem wątpliwości, że będę musiał kiedyś znów wyruszyć do dzikich ostępów Australii, żeby wyrobić sobie własne zdanie na temat tego otoczonego nimbem tajemnicy miejsca.

JAKBY SPOD ZIEMI WYROŚLI

Dwudziestego czwartego sierpnia 2007 roku na jednym z przedmieść Sydney wynająłem w tym celu taksówkę na cały dzień. Jeszcze dziś robi mi się słabo, kiedy przypomnę sobie niebotycznie wysoki koszt tamtej przejażdżki. Kiedy jednak wyjechaliśmy z płataniny ulic największego miasta Australii, odczułem ulgę. Gdybym sam prowadził samochód, zgubiłbym drogę po tysiącokrotnie i dojechałbym wszędzie, tylko nie do miejsca, do którego pragnąłem dotrzeć.

Kilka dni wcześniej dowiedziałem się, że owo miejsce znajduje się w okolicy miasta Gosford,

odległego od Sydney o niecałe dwie godziny jazdy autem, konkretnie kilka kilometrów od miejscowości Kariong, położonej na terenie Brisbane Water National Park, już w obrębie typowego australijskiego buszu, który rozpoczyna się tam, gdzie kończą się zabudowania miasteczka.

Jechaliśmy Pacific Highway prosto na północ, tam gdzie autostrada prowadzi przez Broken Bay, utworzoną przez deltę rzeki Hawkesbury. Gdy opuści się autostradę zjazdem na Gosford, już po kilkuset metrach dociera się do rogatek miejscowości Kariong. Na stacji benzynowej odebrałem ostatnie instrukcje, jak jechać, żeby się nie zgubić w buszu.

Po zaledwie 100 metrach od stacji benzynowej Woy Woy Road skręca do sąsiedniej miejscowości o takiej właśnie nazwie. Z tego miejsca zostały nam jeszcze do przejechania 2 kilometry. Po lewej stronie pojawił się wreszcie mały parkingowy plac; mówiąc dokładnie, było to kilka metrów kwadratowych płaskiego, kamienistego podłoża. I jeszcze nieco koślawą barierką z tabliczką informacyjną „Lyre Trig Fire Trail”. Żadnego zakazu, więc na co czekać? Zależnie od tempa marszu, jak informowała uprzejma kobieta ze stacji benzynowej, dojdzie do Lyre Trig Mountain zajmie od 20 do 30 minut. Jest to wzgórze o wysokości 241 metrów nad poziomem morza. Na szczycie znajduje się cokolwiek ze swego rodzaju różą wiatrów. Do tego charakterystycznego punktu, przy którym zresztą szlak turystyczny dobiega końca, dociera się po niecałych 20 minutach forsownego marszu. Ciekawość, jak zawsze, stanowi najlepszy napęd.

Z wierzchołka wzgórza Lyre Trig Fire można ponoć łatwo dostrzec skalną szczelinę z hieroglifami. Ale po której stronie jej szukać? Kiedy odważyłem się wejść w gąszcz, o niecały metr od moich stóp coś zniecka zasyczało, instynktownie więc się cofnąłem. Ukąszenie węża w australijskim buszu było ostatnią rzeczą jakiej potrzebowałem. W końcu odkryłem wąską, wydeptaną ścieżkę, która początkowo prowadziła od południa wokół podłużnej spłaszczonej skały, potem zaś zbiegała w dół ku dolinie. Ostrożnie, ze wzrokiem skierowanym nieustannie ku ziemi, sondowaliśmy szlak wiodący po skalistej ziemi porośniętej bujną roślinnością, chcąc uniknąć niemiłej niespodzianki ze strony zwierząt, z którymi kontakt nie zawsze służy zdrowiu. Coraz częściej nasz wzrok omiatał również skalne bryły, które wystawały pionowo z ziemi. Nigdzie jednak nie byliśmy w stanie dostrzec śladu skalnej rozpadliny z hieroglifami.

Gotów już byłem zawrócić. Zrobiliśmy jeszcze kilka kroków w stronę wierzchołka Lyre Trig, kiedy nieoczekiwanie – jakby wyrosli spod ziemi – pojawili się dwaj wędrowcy. W australijskim buszu spotkanie wygląda podobnie jak w małej wiosce w Bawarii czy gdzie indziej. Ludzie pozdrawiają się nawzajem i zaczynają rozmowę... Zadałem bez ogródek pytanie, czy nie wiedzą czegoś o skalnej rozpadlinie ze staroegipskimi hieroglifami.

ANUBIS W AUSTRALIJSKIM BUSZU

I rzeczywiście. Ci dwaj wędrujący po buszu turyści, którzy tak nieoczekiwanie wkroczyli na scenę, znali to miejsce! Byli ponadto gotowi nas tam zaprowadzić. Nie dalej niż na rzut kamieniem od punktu, do którego dotarliśmy, musieliśmy już podpierać się rękoma, gdyż schodziliśmy teraz stromym, kamiennym osuwiskiem. Potem ścieżka skręcała w lewo o 90° i tak samo nieoczekiwanie, jak natknęliśmy się na naszych przewodników, znaleźliśmy się między dwiema skałami. Oddalone od siebie o 1,5 metra te dwie skały wznosiły się pionowo na wysokość wielu metrów. Owiane tajemnicą miejsce postanowiło jednak dopuścić mnie do siebie, wbrew moim wcześniejszym obawom.

Skalna szczelina długości nieco ponad 10 metrów była kiedyś zadaszona niczym grota płaskimi skałami, z których jednak wszystkie poza jedną jedyną spadły na dół. Tym, co poruszyło świat, są hieroglificzne znaki wyryte głęboko w skale. Jest ich ponad 250. Przeważają wśród nich łatwo rozpoznawalne staroegipskie symbole, jak węże, święty żuk skarabeusz oraz postacie podobne do sfinksa. Inne przedstawiają dość niezwykle symbole, co niektórych skłania do wyciągnięcia wniosku, iż mamy tu do czynienia z oszustwem szytym grubymi nićmi. Do tego zarzutu odniosę się bardziej szczegółowo.

Tuż przed górnym krańcem skalnego wąwozu, chronionym przez ostatni zachowany element –

kiedys sztucznie położonego? – skalnego zadaszania, wzrok przyciąga uderzająco wyraźna i łatwo rozpoznawalna sylwetka. To bóstwo starożytnego Egiptu, Anubis, bóg zmarłych, przedstawiany jako człowiek z głową szakala. Tu, w odludnym miejscu na piątym kontynencie, nikt by się jego wizerunku nie spodziewał.

Wykorzystałem w pełni fakt, że znalazłem się w skalnej szczelinie, obok której można przejść obojętnie, jeśli nie zna się tego miejsca, i fotografowałem, ile się da (fot. 38-41). Zrobiłem zbliżenia hieroglifów pod wszystkim możliwymi kątami, chociaż warunki świetlne we wnętrzu jaru były bardzo niekorzystne. Był to nowy fascynujący temat. Wyszukałem nieliczne materiały źródłowe o tym znalezisku, prezentujące rozmaite punkty widzenia. Była to zagadkowa sprawa, o której dyskutowali nieliczni zainteresowani. Zdołałem dokonać wizji lokalnej na miejscu, jak również skrupulatnie rozważyć argumenty za i przeciw. Wynik jest zaskakujący – dla tych, którzy z takim pośpiechem występują z „wyjaśnieniami”, że mamy do czynienia z fałszerstwem lub studenckim psikusem. Kolejne przesłanki pozwolą na sformułowanie domysłu, że i tu gdzieś na drugim planie występują pradawni „nauczyciele”, za których sprawą spotykamy tak liczne sprzeczne z logiką obiekty na różnych kontynentach.

Obaj wybawcy, którym zawdzięczam sukces moich poszukiwań, krótko po dotarciu na miejsce opuścili skalną rozpadlinę. Zniknęli tak szybko, jak gdyby ziemia ich pochłonęła...

ARCHAICZNY STYL PISMA

Zapewne najbardziej ważkim argumentem, jaki wysunięto dla obalenia autentyczności hieroglifów wrytych na skale, jest ten, który odnosi się do pełnego błędów stylu obrazkowego pisma. Jak gdyby ktoś, posiłkując się kiepskimi kopiami autentycznych hieroglifów, uwiecznił je na skalnej ścianie. Szybko pojawiły się pogłoski, że to grupie studentów, którzy na początku lat 80. XX wieku rozbili biwak na wzgórzu Lyre Trig, należy przypisać – zdaniem krytyków – autorstwo fałszywych inskrypcji.

Przeczą jednak temu zdecydowanie relacje miejscowej ludności. Według niej znaki wryte w skale widziano już na przełomie XIX i XX wieku!

Również pierwsza próba przekładu przemawia przeciw uporczywie formułowanej tezie o fałszerstwie. Okazało się, że hieroglify reprezentują archaiczny styl pisma z okresu najstarszych egipskich dynastii. Ten wczesny styl jest znany nielicznym egiptologom. Hieroglify mają postać archaicznych znaków, które wykazują duże podobieństwo do pisma późnofenickiego oraz sumeryjskiego. Zapewne z tego powodu większość archeologów dochodzi do przekonania, iż ma do czynienia – z nieszczerze udaną – podróbką.

Szkopuł związany z przypuszczeniem o fałszerstwie tkwi jednak w tym, że liczne spośród wrytych w skalnych ścianach hieroglifów nie są zamieszczone w ogólnodostępnych słownikach, nie mogły zatem zostać skopiowane przez zapracowanych członków „międzynarodowej mafii fałszerzy”. Do takiego wniosku doszedł egiptolog Roy Johnson, który jako jeden z nielicznych uczonych poświęcił całe życie zgłębianiu i tłumaczeniu najwcześniejszych hieroglifów. Badacz dysponuje sporządzonym przez siebie słownikiem, ma też w dorobku przekłady na angielski archaicznych tekstów zgromadzonych w archiwach Muzeum Egipskiego w Kairze^{108, 109}.

Pierwsze tłumaczenie dokonane przez niekonwencjonalnego egiptologa pozwoliło poznać ówczesne wydarzenia, niezwykle dramatyczne. Dalsze dociekania oraz wnioski innych włączonych do sprawy ekspertów umożliwiły uzyskanie z drobnych fragmentów szerszego obrazu starożytności, który zasadniczo odbiega od tego, jaki poznaliśmy w szkole.

Cóż takiego wystawia na ciężką próbę naszą wyobraźnię? Wzięcie pod uwagę ewentualności, że podróżujący po morzach Egipcjanie zdołali dotrzeć do Australii już przed wieloma tysiącami lat? Albo pokrętnie założenie, że jacyś współcześni fałszerze w trudno dostępnym terenie z mozołem splełali figła? Z jakich powodów i w jakim celu? Musieli ponadto dysponować rzadką wiedzą, bazującą na biegłym opanowaniu archaicznego pisma obrazkowego najstarszych egipskich dynastii. Nie posługiwali się przy tym słownikiem, którego nie mogli zdobyć z całkiem banalnej przyczyny –

ponieważ taki słownik nie istnieje. Znali też typową budowę zdania i opanowali idiomatyczne wyrażenia, podobnie zresztą jak znajomość osobliwych modłów i rytuałów, czego warunkiem koniecznym jest bardzo szczegółowa wiedza o tych dawno minionych czasach.

WĄŻ, KTÓRY ATAKUJE PO WIELEKROĆ

Co uwieczniono w naskalnych inskrypcjach w tej odludnej dzicy? Według dokonanego przekładu opowiadają one tragiczną historię odkrywcy, która rozegrała się u zarania dziejów w odległej krainie, gdzie natura jest surowa i bezlitosna. Mowa jest też o przedwczesnej, tragicznej śmierci szlachetnie urodzonego dowódcy wyprawy, księcia imieniem Dżeseb. Sekwencja trzech kartuszy – są to obramienia imion władców w staroegipskich inskrypcjach – podają imię Ra-Dżedef jako króla panującego w górnym i dolnym biegu Nilu, syna Chufii (Cheopsa), który z kolei był synem faraona Snofru. Informacje te pozwalają określić ramy czasowe ekspedycji na okres krótko po panowaniu Cheopsa, który zasiadał na tronie od 2551 do 2528 roku p.n.e. Jemu też przypisuje się budowę wielkiej piramidy w Gizie, chociaż wydaje się to wysoce wątpliwe, gdyż najnowsze dane pozwalają wnioskować o starszym wieku jedyne zachowanego do dziś cudu świata starożytnego. Zakładając autentyczny charakter znaleziska, należy przyjąć, że egipska ekspedycja odbyła się przed co najmniej 4500 lat. Wspomniany przedstawiciel arystokratycznego rodu, książę Dżeseb, byłby z ogromnym prawdopodobieństwem synem faraona Ra-Dżedefa, który panował po Chufu.

Hieroglify przedstawiają też zarys podróży księcia Dżeseba, a także okoliczności jego tragicznej śmierci:

„Już od dwóch lat podążał swoją drogą umęczony, lecz silny po sam kres. Nieustannie wzywający boga, pełen radości i pogody ducha, niestrudzenie gniotący owady. On, sługa bogów, on rzekł, że bóg sprowadził owady (...). Wędrowaliśmy przez góry, rzeki i pustynie, nękani wiatrem i deszczem, a na horyzoncie wciąż nie widać było morza (...). Dokonał żywota nagle, kiedy w tym obcym kraju niósł przed sobą sztandar złotego sokoła, pokonując góry, rzeki i pustynie”.

Inskrypcje na tej z dwóch skalnych ścian, która wykazuje silniejsze ślady wietrzenia, przedstawiają dokładny opis okoliczności śmierci księcia Dżeseba. Tekst rozpoczyna się od hieroglify oznaczającego węża, po nim zaś pojawia się symbol szponów śmierci („ugryźć”), a także liczebnik „dwa”. Można to przetłumaczyć następująco:

„Wąż ukąsił dwukrotnie. Owi wierni następcy boskiego władcy Chufu, potężnego pana Dolnego Egiptu, hegemonia dwóch cieślic [narzędzie podobne do siekiery z ostrzem ustawionym poprzecznie w stosunku do trzonka, symbol władców starożytnego Egiptu], już nie powrócą. My jednak musimy podążać do przodu, nie oglądając się za siebie. Wszystkie potoki i koryta rzek wyschły. Nasz statek jest mocno uszkodzony, z konieczności musieliśmy uszczelnić go powrozami. Śmiertelne zejście spowodował wąż. Podawaliśmy żółtko ze szkatuły z medykamentami i odprawiliśmy modły do Amona Ukrytego, albowiem został dwukrotnie ukąszony”^{108, 109}.

Ta szczególna okoliczność – niejednokrotne, lecz dwukrotne ukąszenie przez węża – stanowi dla mnie kolejną przesłankę, że w tej opowieści jest jednak więcej prawdy, niż chcieliby widzieć sceptycy. Jadowite węże gryzą tylko raz, kiedy przystępują do ataku, i w trakcie tej szarzy aplikują swojej ofierze jad. Zasada odnosi się w równym stopniu do wszystkich jadowitych gatunków, czy będą to kobry, grzechotniki, czarne lub zielone mamby czy jakiegokolwiek inne węże.

Z jednym wyjątkiem. Występujący w określonych regionach Australii i Nowej Gwinei wąż o nazwie nibykobra (*Pseudonaja textilis*) wykazuje nietypowe dla jadowitych węży zachowanie w trakcie ataku. Już w sytuacji domniemanego zagrożenia staje się bardzo agresywny i natychmiast kąsa. Ten wąż nie poprzestaje na jednym ukąszeniu, lecz czyni to do czterech, a nawet pięciu razy¹¹⁰.

Egipski księżę musiał zatem paść ofiarą nibykobry. Tu, w buszu na północ od Sydney, należy ona do najbardziej rozpowszechnionych gadów. Kto wyrusza w australijski busz, ten powinien mieć się nieustannie na baczności, by się ustrzec ukąszenia tych śmiertelnie jadowitych stworzeń.

GDZIE ZNAJDUJE SIĘ MUMIA?

Kolejny ciąg hieroglificznych symboli opisuje zwłoki spoczywające na marach:

„On, który opuścił ziemski padół, został tu pochowany. Niech cieszy się wiecznym żywotem. Nigdy już nie postawi stopy nad brzegami świętego morza”.

Przygotowania oraz rytuał pochówku zostały opisane w kolejnych fragmentach hieroglificznego tekstu. Najwidoczniej w jego trakcie doszło do dramatycznych wydarzeń, kiedy jedna część ekspedycyjnej drużyny podniosła bunt i odmówiła posłuszeństwa nowemu dowódcy.

„Zamknęliśmy boczne wejście do komnaty umarłych kamieniami, które znaleźliśmy w okolicy dookoła. Zorientowaliśmy komnatę w stronę gwiazd zachodniego nieba”.

Potem nieoczekiwanie przerwano rytualny pochówek, jak gdyby nagle pracy przy grobowcu odmówiło kilku uczestników, zmęczonych ogromnym trudem. Umieszczony oddzielnie wers być może wyjaśnia przyczynę:

„Policzyłem sztylety fellachów, zabrałem je do siebie i umieściłem w pewnym miejscu”.

Na szczęście bunt stłumiono bez rozlewu krwi, wznowiono żałobny rytuał i doprowadzono go do końca. Następnie po odprawieniu modłów oraz złożeniu obok ciała grobowych darów postąpiono tak oto:

„Troje Drzwi Wieczności połączono z tylnym krańcem królewskiego grobowca i potem je zapieczętowano. Oprócz tego postawiliśmy naczynie ze świętymi darami ofiarnymi, które będą czekały przy nim, aż obudzi się ze śmierci. Jego królewskie ciało i jego mienie zostały pochowane tak daleko od ojczystego kraju”^{108, 109}.

Tymi słowami kończy się niezwykła relacja na temat ekspedycji, tragicznej śmierci oraz odpowiedniego do stanu i urodzenia pochówku egipskiego księcia, który – jak się wydaje – już ponad 4500 lat temu odważył się popłynąć ku wybrzeżom Australii, owego legendarnego Terra Australis Incognita – nieznanego łądu na południu, który później przez wiele stuleci pojawiał się jako niepewny domysł. Będę szczerzy: gdyby wyłącznie hieroglify na skalnych ścianach w buszu na terenie Brisbane Water National Park wskazywały na wczesnohistoryczne powiązania z państwem nad Nilem, z pewnością traktowałbym z większym zrozumieniem argumentację sceptyków. Jednak dokonano wielu znalezisk, które wydają się potwierdzać hipotezę o regularnych kontaktach starożytnych Egipcjan z piątym kontynentem. Ponadto praktykowanie przez pierwotnych mieszkańców Australii mumifikowania zmarłych przemawia za takim wnioskiem.

Zanim opiszę bardziej szczegółowo różnorakie znaleziska, nie chciałbym pominąć milczeniem faktu, że po dziś dzień nie udało się odnaleźć mumii nieszczęsnego księcia. Mimo to australijska geolog, Michelle Westerman, natrafiła w 1998 roku na podziemną, przypominającą tunel, kryptę. Lecz nie znaleziono w niej żadnych konkretnych śladów, nie wspominając już o staroegipskich artefaktach”. Czy rabusie grobów zdołali dotrzeć tu wcześniej i przywłaszczyli skarby? A może ta krypta, powstała przez pogłębienie naturalnej skalnej rozpadliny, stanowi swego rodzaju „manewr wprowadzający w błąd”, mumia zaś wraz z darami grobowymi spoczywa wciąż nieodkryta i nietknięta, gdzieś w głębi ziemi na obszarze północno-wschodniej Nowej Południowej Walii?

Nikt nie jest w stanie rozstrzygnąć tego obecnie, dotąd bowiem nie rozpoczęto systematycznych

prac wykopaliskowych. Zapewne długo na to poczekamy, ponieważ oficjalna archeologia uznaje odkryte inskrypcje za nieporadne fałszerstwo”¹¹³.

Michelle Westerman natrafiła jednak w pobliżu hieroglifów na osobliwe kręgi wyryte w skalnym podłożu. Przebadała ten teren, zmierzyła kręgi i przeniosła w odpowiedniej skali na papier milimetrowy. Uderzający był fakt nie tylko znalezienia wielu takich kręgów; wydawało się ponadto, że tworzą one na papierze milimetrowym jakiś wzór. Początkowo Michelle Westerman przypuszczała, że mają one związek z miejscowymi wzniesieniami terenu lub z „czynnościami kultowymi”. Dopiero dokonane przez Roberta Bauvala odkrycie, że układ piramid w Gizie odtwarza układ gwiazd na niebie”⁴, skłoniło ją do sformułowania odważnej hipotezy.

W komputerze uniwersytetu w Sydney Michelle Westerman zweryfikowała wszystkie rysunki i porównała je z gwiazdnymi konstelacjami, posługując się analitycznym oprogramowaniem. Dostrzegła wtedy ogromną zbieżność między układem kręgów wyrytych w podłożu z układem gwiazd na niebie w tym regionie. I był to dokładnie układ, jaki widziałby obserwator niebios 2500 lat przed naszą erą. Całość bowiem stanowi gigantyczną mapę nieba i wskazuje dokładnie, kiedy starożytni Egipcjanie mieli wylądować na australijskiej ziemi! Jakiemuż to złośliwemu „zbiegowi okoliczności” zechcą przypisać tę zgodność krytycy, nie mam pojęcia.

BÓG NIEBIOS PROWADZI OBRADY SĄDU

Trudno nie dostrzec zbieżności między mitologią starożytnego Egiptu a treścią wierzeń i rytuałami Aborygenów, rdzennej ciemnoskórej ludności Australii, która od kilku lat domaga się, dzięki rosnącej świadomości, respektowania przysługujących jej praw obywatelskich. W dystrykcie Central Mimbeley (stan Australia Zachodnia) Aborygeni odprawiają osobliwe rytuały mumifikacyjne, które wykazują zadziwiające podobieństwo do rytuałów występujących w Egipcie za panowania XXI dynastii, czyli około 900 lat przed naszą erą. Dziwne jest również to, że w starożytnym Egipcie używano do balsamowania zwłok żywicy z drzewa eukaliptusowego. Drzewo to zaś rosło – przynajmniej w antycznych czasach – tylko w lasach piątego kontynentu i nigdzie indziej¹¹⁵.

Ludy Ziemi Arnhem, w środkowej części australijskich Północnych Terytoriów, powszechnie wierzą, że po śmierci dusza płynie łodzią i przecina drogę słońca. Rdzenni mieszkańcy opowiadają o postaci imieniem Wulluwait, sterniku zmarłych, który w swej łodzi towarzyszy duszom w drodze na tamten świat. Tam odbywa się sąd pod przewodnictwem boga niebios. Jeśli podsądny wiódł uczciwy żywot, zyska wstęp do krainy zmarłych. Jeśli jednak dopuścił się zbyt wielu przewin, zostanie rzucony krokodylom na pożarcie.

Uderzające są tu podobieństwa do świata wierzeń starożytnych Egipcjan, których dusze podlegały sądowi boga zmarłych, Ozyrysa. Na sądzie duszę (Ka) stawiano na jednej szali wagi, natomiast na drugiej szali kładziono ptasie pióro symbolizujące prawdę. Jeśli dusza na skutek brzemienia grzechów popełnionych na ziemi przeważała szalę, padała pastwą boga krokodyła imieniem Ba. Także i tu „dobre dusze” zyskiwały prawo wkroczenia do krainy życia pozagrobowego.

Na wyspie Darnley, położonej w Cieśninie Torresa, która oddziela od północy Australię od Nowej Gwinei, rdzenni mieszkańcy balsamują ciała zmarłych. Najpierw usuwają wnętrzności, następnie przez nos wyciągają tkankę mózgową – dokładnie tak, jak praktykowali to starożytni Egipcjanie. Po obejrzeniu ciała „magicznym okiem”, wykonanym z masy perłowej, balsamuje i następnie malują czerwoną ochrą. Na koniec wsiadają wraz ze zmarłym do łodzi, która stanowi odzwierciedlenie barki boga Słońca Ra – na dziobie łodzi jest umieszczone „oko Ra” – i wiosłują ku Wyspie Umarłych, gdzie chowają nieboszczyka w krypcie wykutej w skale¹¹⁶.

W rejonie, w którym znajdują się omówione wcześniej skały z hieroglifami, niedaleko miejsca, gdzie rzeka Hawkesbury uchodzi do zatoki Broken, natrafimy na jeszcze bardziej zdumiewające zbieżności, tym razem natury lingwistycznej. W narzeczu miejscowych Aborygenów nazwa rzeki Hawkesbury brzmi Be-row-ra, co znaczy „rzeka (lub woda) Słońca”. Jest to staroegipski zwrot, który oznacza „rzekę boga Słońca”, czyli Nil, rzekę żywicielkę Egiptu. Egipcjanie, którzy dotarli do

okolic Gosford, na terenie dzisiejszego Brisbane Water National Park, nadali być może swojej tymczasowej nowej ojczyźnie tę samą nazwę¹¹⁶.

KOLEKCJA AUSTRALIJSKICH TROFEÓW

Starożytni podróżnicy nie pozostali na antypodach na zawsze, lecz wyruszyli w drogę powrotną do państwa faraonów. Przypuszczenie, że mieli do dyspozycji jak na owe czasy bardzo zaawansowane technicznie instrumenty nawigacyjne, może wydawać się zbyt daleko idące, ale nie jest to hipoteza nieuprawniona.

Pozostawili po sobie sporo śladów w postaci artefaktów tak bardzo dla nich specyficznych, iż pomyłka wydaje się wykluczona. Od lat 50. XIX wieku osadnicy i farmerzy na wschodzie stanu Queensland znajdowali przedmioty, które bezsprzecznie musiały pochodzić z basenu Morza Śródziemnego, w szczególności z Egiptu. W 1966 roku farmer Dal Berry z Gympie na północ od Brisbane wykopał z ziemi statuetkę. Kiedy Berry oczyścił posązek z ziemi, stwierdził, że jest to wizerunek małpy.

Rex Gilroy, niekonwencjonalnie myślący archeolog i ówczesny dyrektor Mount York Natural History Museum, uważa, że statuetka wyraźnie przypomina Tota, boga starożytnego Egiptu. W okresie starszych dynastii, do około 1000 roku przed naszą erą, bóstwo to przedstawiano najczęściej pod postacią małpy (pawiana). Było ono darzonym ogromną czcią opiekunem nauki, pisarzy i świętych tekstów, bogiem zwanym sekretarzem bogów¹¹⁷.

Obecnie ten niewielki posązek jest wystawiony w szklanej gablocie Muzeum Historii Naturalnej w Gympie i pod nazwą „małpy z Gympie” cieszy się sławą, przynajmniej w okolicy. Aborygeni, co do tego wszyscy są zgodni, z pewnością nie byli twórcami tej figurki.

W tej samej okolicy, a także w rejonie Cairns na skrajnie na północ wysuniętym skrawku stanu Queensland, na początku XX wieku odkryto dużo małych rzeźb skarabeuszy z wyrytymi na nich hieroglifami. W 1983 roku na północy stanu Nowa Południowa Walia w pobliżu miejscowości Kyogle z ziemi wyłonił się szklany amulet w kształcie piramidy z egipskimi inskrypcjami na wszystkich czterech bokach. Departament kopalni miejscowych władz górniczych datował wiek tego znaleziska na co najmniej 5000 lat¹¹³.

W kopalni miedzi w Mareeba wykopano statuetkę boga Atona, której styl wykonania przyporządkowano staroegipskiemu Staremu Państwu, istniejącemu w latach od około 2620 do 2100 przed naszą erą. Na północ od Cooktown znaleziono wizerunki rydwanu i słonecznej tarczy, a w 1912 roku robotnicy z Gordenvale odkryli monolit o ostrych kantach, na którym był przedstawiony okręt szturmowy z czasów starożytnego Egiptu.

I nie mniej ważna informacja. W tropikalnej północno-wschodniej części kontynentu, w rejonie Cairns, rosną dziko okazy lotosu i papirusa (cibory papirusowej), które zostały odkryte przez osadników dopiero w XIX wieku. Zarówno lotos, jak i cibora nie należą do rodzimej flory Australii, podobnie zresztą jak eukaliptusy nie należały do świata roślinnego Egiptu w czasach faraonów, ale żywice i olejki eukaliptusa były tam – jak już wspomniałem – używane do balsamowania i mumifikowania zwłok¹¹⁶.

Staje się więc jasne, że nie trzeba się opierać tylko i wyłącznie na hieroglifach ze skalnych ścian w australijskim buszu, by potwierdzić bytność na antypodach jednej lub (co jest bardziej prawdopodobne) kilku ekspedycji z państwa faraonów. Nad Nilem zaś są odnajdywane trofea z Australii rodem, co zadaje kłam powszechnie przyjętym poglądom głoszonym przez konwencjonalną naukę.

Dziennik *Cairo Times* z 1982 roku doniósł, że archeolodzy natknęli się niedaleko pustynnej oazy Siwa na szkielety kangurów oraz innych torbaczy typowych dla australijskiej fauny¹¹⁷. Jak dawniej, tak i teraz wciąż nie jest jasne, skąd wzięła się kolekcja złotych bumerangów, które słynny badacz starożytności Howard Carter (1873-1939) znalazł w grobowcu faraona Tutanchamona. Tego rodzaju przedmioty były używane wyłącznie przez pierwotnych mieszkańców Australii jako broń myśliwska. Nieliczni archeolodzy odważyli się sformułować przypuszczenie, że Australia jest tym

tajemniczym boskim krajem na południu, gdzie wydobywano ogromną ilość metali. Byłoby to racjonalne wyjaśnienie zagadki bumerangów wykonanych z czystego złota.

Uwzględniając obfitość poszlak wskazujących na odwiedziny Egipcjan na piątym kontynencie w czasach przedchrześcijańskich, można pokusić się o porównanie ówczesnego świata z dzisiejszą epoką „globalnej wioski”. Przemawia za tym wiele znalezisk, których istnienia nie da się przecież zanegować. Sceptycy tym razem nie będą mogli przejść nad nimi do porządku dziennego, wzruszając jedynie ramionami, jak to mają w zwyczaju.

ŚWIETLISTE PTAKI CZASU SNU

Na zakończenie chciałbym jeszcze nawiązać do wątku spajającego obydwie kręgi kulturowe. Pierwotni mieszkańcy Australii także przeżyli spotkania z obcymi, technologicznie wysoko zaawansowanymi inteligencjami, jakie przybywały na naszą planetę. I, z dużą dozą prawdopodobieństwa, obcy przekazali im do dyspozycji kilka wyrafinowanych technicznie przyrządów, by umożliwić wysłannikom faraonów okrążenie globu ziemskiego. W tym kontekście australijska przygoda okazuje się niezwykle owocna.

W monotonna zaśpiewach Aborygenów, które przetrwały wiele tysięcy lat, powtarza się wątek Czasu Snu. Była to legendarna epoka, w której trakcie bogowie wciąż jeszcze zamieszkiwali na ziemi. W tamtej „epoce bez początku i bez końca”, na długo przed powstaniem pierwszych źródeł pisanych, osobliwe istoty zjechały z nieba na wielkich, błyszczących „ptakach”. Przez jakiś czas przybysze żyli wśród rdzennych mieszkańców Australii, a potem powrócili w niebiańskie przestwory.

Najwyższą czią wśród tych krzewicieli cywilizacji i kultury cieszył się człowiek-ptak imieniem Birramee. Na licznych naskalnych malowidłach jest przedstawiony w postaci człowieka odzianego w osobliwe szaty, przypominające skafander współczesnych astronautów¹¹⁷.

Włączyłem i jego do mojej kolekcji „bogów”, wykazujących podobne cechy i, jak świat długi i szeroki, przedstawianych i opisywanych w bardzo zbliżony sposób.

Na petroglifach, które wyszły spod ręki Aborygenów, równie często jak Birramee pojawia się bogini niebios, Wondijna, w „promienistej szacie” emanującej jasną poświatą. Wizerunki tej bogini, które przywołują skojarzenia z kosmonautami doby obecnej, spotykane są najczęściej w odludnych i niegościnnych górach Kimberley na skrajnej północy stanu Australia Zachodnia.

Na skałach wąwozu Ndahla, 10 kilometrów na wschód od miasta Alice Springs, w środkowej, suchej i gorącej części kontynentu, znajdują się rysunki postaci bogów z przypominającymi anteny tworamami na głowach. W tym samym miejscu na obserwatora spoglądają wyryte w skale twarze bóstw niewątpliwie noszących okulary ochronne. W latach 70. XX wieku wspomniany już badacz, Rex Gilroy, następująco podsumował wyniki wizji lokalnej przeprowadzonej w położonym na zachód od Sydney masywie Gór Błękitnych:

„W Górach Błękitnych w Nowej Południowej Walii odkryłem sporą liczbę prymitywnych naściennych malowideł i rytów, które przedstawiają między innymi dziwaczne postacie i niezwykle obiekty, jakie dzisiaj dadzą się opisać wyłącznie jako statki kosmiczne, widziane na własne oczy przez pierwotnych mieszkańców Australii (...)”¹¹⁸.

Gilroy podjął tam prace wykopaliskowe, w których trakcie zdołał odsłonić skalną płytę dużych rozmiarów. Odkrył na niej wizerunki człekokształtnych postaci o nieziemskim wyglądzie oraz obiekt, który dzisiaj sklasyfikowano by jako niezidentyfikowany obiekt latający, UFO¹¹⁸.

À propos UFO. Wspomniane Góry Błękitne, które jeszcze ponad 100 lat temu stanowiły przeszkodę nie do pokonania w drodze na zachód, stały się w ostatnich latach tematem dyskusji jako „ulubione miejsce występowania” zjawisk typu UFO. Tutejsi mieszkańcy nieustannie mają tam sposobność widywania niezidentyfikowanych obiektów, których lot wystawia na pośmiewisko wszelkie prawa fizyki. Rozlegają się też tam tajemnicze hałasy, przypominające odgłosy eksplozji, które zdają się dobiegać z rozpadlin w ziemi. Czyżby podziemne bazy UFO?

Z „GWIEZDNYM KOMPUTEREM” PRZEZ POŁOWĘ ŚWIATA

Wróćmy po raz ostatni do ekspedycji księcia Dżeseba, która przed 4500 lat zawiodła go do Australii, a o której opowiadają naskalne hieroglify u podnóża wzgórza Lyre Trig. Uwzględniwszy wszystkie ślady obecności starożytnych Egipcjan na tym odległym kontynencie, należałoby uznać te hieroglify za prawdziwe, choć zarzuca się im, że są wynikiem oszustwa.

Nadeszła więc pora, by podjąć próbę rozwiania mętnych oparów mitów i legend znad obrazu dawnych wydarzeń oraz zrekonstruowania ich przebiegu.

Rex Gilroy w publikacji *Pyramids in the Pacific* („Piramidy w basenie Pacyfiku”) dowodzi przekonująco, „że starożytne ludy nie tylko konstruowały duże, drewniane statki, które pozwalały im wyniszać w podróże na pełny ocean, ale także dysponowały zaawansowanymi technicznie instrumentami nawigacyjnymi”¹¹⁹.

W rozdziale 3 pisałem o „maszynie z Antikithiry” – swego rodzaju nawigacyjnym komputerze, którego pomysł przypuszczalnie nie jest dziełem geniuszu ludzi, a zwłaszcza ludzi, którzy żyli w czasach przedchrześcijańskich. Pomysł ten został zrealizowany na naszej planecie jako w pełni dopracowany produkt, który próby techniczne miał za sobą już w pierwszym stuleciu naszej ery.

Poprzednik tej konstrukcji mógł znaleźć zastosowanie w okresie świetności starożytnego Egiptu, który, o czym wiemy, utrzymywał intensywne kontakty ze światem kultury helleńskiej. W takim razie „maszyna z Antikithiry” byłaby eksportowym artykułem cywilizacji jeszcze starszej niż grecka. Ale również Egipcjanie nie mogliby sięgnąć po laury jako jej wynalazcy.

„Posłuchaj zatem, Dżesebie”, rzekł do księcia stary kapłan, wkładając mu w dłonie tajemniczą szkatułę z metalu. „Jeden z moich poprzedników otrzymał ten »cudowny instrument« od starych bogów, którzy od dawien dawna co jakiś czas składają nam wizyty. Instrument ten wyświadczy ci nieocenione przysługi podczas twojej dalekiej podróży, gdyż będzie ci wskazywał nieustannie właściwą drogę do odległego lądu na południu”.

Od tych tajemniczych słów rozpoczyna się wprowadzenie młodego arystokraty, który ma wyruszyć w największą, ale i ostatnią przygodę swego życia, w sekrety technologii tego nawigacyjnego instrumentu nie z Ziemi rodem. Książę Dżeseb pojmuje w lot, jak powinien posługiwać się dźwigniami i przekładniami, żeby uzyskać ważne informacje o pozycji statku na morzu. Od tych samych bogów, którzy dostarczyli techniczne *know-how*, kasta najwyższych kapłanów i władców egipskich dowiedziała się, że Ziemia jest okrągła oraz że pod drugiej stronie kuli ziemskiej istnieją inne kontynenty.

Statek księcia mógł odbywać dalekomorskie podróże bez ograniczeń. Lecz podczas trwającej dwa lata wyprawy, gdy książę Dżeseb i jego towarzysze dotarli do wysp Indonezji oraz do Nowej Gwinei, musieli dokonywać co jakiś czas większych lub mniejszych napraw. Płynęli jednym ze statków mierzących ponad 30 metrów długości, o opływowym kształcie kadłuba, jakie w latach 50. XX wieku odkopano w „grobowcu łodzi” niedaleko Gizy. W 1991 roku odkryto całą flotyllę jeszcze starszych statków tej konstrukcji niedaleko Abydos na pustyni Górnego Egiptu.

Jeśli nawet nieszczęsny książę dokończył żywota z dala od ojczyzny, to jego ludzie zdołali – nie bez walnej pomocy gwiazdowego komputera – odnaleźć drogę powrotną do państwa faraonów. Tam zbudowano później kolejne statki, których załogi ćwiczyły się w tym, w czym „bogowie” z kosmosu stanowili dla nich niedościgły wzór: wyruszaniu w podróże w nieznaną, by poszerzyć horyzonty i wiedzę oraz nawiązać kontakty z innymi inteligentnymi istotami.

Czy przeczuwali, że ludzie w odległej przyszłości, ponad 4000 lat później, włożą między bajki relacje o dokonywanych przez nich ekspedycjach? A ich bogów, krzewicieli cywilizacji i kultury, uznają za wytwory fantazji dawnych ludów. Współczesny człowiek jest doprawdy zaślepiony. Pewnego dnia boska iskra zatli się jednak w nim, a wtedy wyruszy on w przestwór wszechświata. Wbrew mądrym zapewnieniom, że odległości w kosmosie są zbyt ogromne, żeby udało się kiedykolwiek je pokonać. Będzie to pierwszy dzień nowego wieku – podboju wszechświata.

WYKAZ TERMINÓW

Aborygeni – ciemnoskórzy rdzenni mieszkańcy Australii. Dzisiaj żyją w większości w rezerwach usytuowanych na obszarach północnej i zachodniej Australii. Mity Aborygenów mówią o bardzo odległym Czasie Snu, kiedy to ich bogowie zstąpili na ziemię i obdarzyli ludzi kulturą. Ostatnie badania wskazują, że pierwotni mieszkańcy Australii nie mieszały się z innymi ludami od co najmniej 50.000 lat.

Ajmarowie – indiański lud zamieszkały w Ameryce Południowej, głównie na obszarze Peru i Boliwii, przede wszystkim w rejonie jeziora Titicaca. Przypisuje się im wzniesienie gigantycznych budowli, choć hipoteza ta budzi wątpliwości: Ajmarowie nie mieli odpowiednich możliwości technicznych.

Aśoka – władca północnych Indii (273-233 p.n.e.). Jego imię jest utożsamiane z pacyfizmem w wydaniu buddyzmu, po którego przyjęciu zaprzestał prowadzenia i dokonywania podbojów. Wysyłani przez niego misjonarze rozszerzali wpływy buddyzmu. Wiele z jego – nawet jak na dzisiejsze standardy – liberalnych praw przetrwało w postaci napisów rzytych na kolumnach i skałach.

Badania paleo-SETI (SETI: Search for Extraterrestrial Intelligence) – tak określa się poszukiwania śladów mających wskazywać na pobyt lub ingerencję inteligencji pozaziemskiej na naszej planecie w czasach przedwczesnohistorycznych i ewentualnie także w czasach historycznych. Obecność obcych miałaby wywrzeć ogromny wpływ na rozwój różnych gatunków świata fauny oraz na rozwój kulturowy i cywilizacyjny rodzaju ludzkiego. Za najbardziej prominentnego przedstawiciela tego kierunku badań uchodzi Szwajcar, autor bestsellerów, Erich von Däniken. Mimo że w przeszłości możliwość pozaziemskich odwiedzin wydawała się bardzo wątpliwa, Erichowi von Dänikenowi przypada zasługa przybliżenia szerokiej publiczności teorii niebędącej w sprzeczności z obowiązującymi prawami natury. Jego zasługą jest też wywołanie debaty w środowisku akademickim.

Bumerang – drewniany przedmiot o sierpowatym kształcie, rzutna broń myśliwska i wojenna australijskich Aborygenów, używana do dzisiaj. Jeśli bumerang nie trafi w cel, wraca do rzucającego; jest to możliwe dzięki lekko przeciwstawnemu skręceniu płaszczyzn obu ramion bumerangu.

Cheops (także: Chufu) – egipski faraon z IV dynastii. Rządził w latach 2551-2528 p.n.e., przypisuje się mu budowę piramidy nazwanej jego imieniem. Jest to jednak kwestia co najmniej sporną gdyż ślady w skałach użytych do budowy wskazują na jej znacznie starszy wiek.

DNA – (kwas dezoksyrybonukleinowy) – DNA jest nośnikiem wszystkich informacji genetycznych. Kwas fosforowy, cukier i związane z nimi zasady kwasu fosforowego tworzą strukturę, która przypomina sznurową drabinę skręconą jak podwójna spirala („podwójna helikoida”). Oba „sznury” drabiny są zbudowane naprzemiennie z grup fosforanowych i cząsteczek cukru, „poprzeczki” zaś składają się z organicznych zasad i łączą się z położonymi naprzeciw siebie cząsteczkami cukru. Kod genetyczny jest określony przez sekwencję czterech różnych zasad (adenina, guanina, cytozyna i tymina); określone dwie zasady zawsze tworzą parę. W tej sekwencji gromadzone są wszystkie informacje dotyczące budowy i rozwoju wszystkich istot żywych.

Dynastie – rody władców, którzy panowanie przekazują kolejnym generacjom, z pokolenia na pokolenie. Szczególne znaczenie miały dynastie w historii Egiptu oraz Chin.

Gjalwa Karmapa – w tybetańskim buddyzmie, obok władców duchowych i doczesnych, takich jak Gjalwa Rinpocze czy dalajlama, Gjalwa Karmapa uosabia najwyższy autorytet. Uchodzi za prawdziwe kolejne wcielenie Buddy. Linia Karmapów uznawana jest za najdłuższe, trwające już niemal 900 lat, nieprzerwane pasmo reinkarnacji. Pierwszym Gjalwa Karmapa był Dusum Kjenpa.

Hieroglify (z greckiego „święte ryty”) – pismo składające się z symboli o charakterze obrazkowym. W staroegipskim piśmie hieroglificznym obrazki (piktogramy) przedstawiały nie tylko rzeczy, ale także pojęcia.

Izotopy – jądra atomowe tego samego pierwiastka chemicznego o jednakowej liczbie atomowej, ale różniące się liczbą masową. Znane są izotopy promieniotwórcze. Izotopy tego samego pierwiastka pod względem chemicznym zachowują się podobnie i są przedstawiane tym samym symbolem.

Komórka – podstawowa struktura każdego organizmu, a także – w formie jednokomórkowców – prosty oddzielny organizm. Komórka składa się z błon (tylko komórki roślinne mają ściany), cytoplazmy, jądra komórkowego z chromosomami, które zawierają materiał genetyczny organizmu. Ze względu na zadania wykonywane przez wyspecjalizowane komórki dzielimy je między innymi na mięśniowe, nerwowe, gruczołowe, jajowe i nasienne. Zarówno budowa, jak i skład komórek jest podobny, bez względu na wykonywane przez nie funkcje.

Kreda – najmłodszy okres mezozoiku, trwała od około 145.000.000 do 65.000.000 lat temu. W końcu kredy doszło do wymarcia dinozaurów i innych zwierząt, stanowiących obecnie mezozoiczne skamieliny przewodnie. W rezultacie tego utworzona została droga rozwoju ssaków, obecnie dominującej na Ziemi gromady zwierząt.

Kunlun – duży łańcuch górski w Azji Środkowej, długości około 3000 kilometrów, ciągnący się na wschód od Karakorum i Pamiru, położony na terytorium Chińskiej Republiki Ludowej. Jednym z bocznych jego odgałęzień są góry Baian Kara Ula.

Mahabharata – indyjski epos narodowy ułożony w sanskrycie zapisany między IV wiekiem p.n.e. a IV wiekiem n.e. „Północne” podanie zawiera 18 ksiąg, „południowe” 24. Ogółem liczy 100.000 zwrotek dwuwierszowych. Czas powstania eposu sięga nieznanego okresu w przeszłości. W wielu miejscach opisywane są w nim wojny prowadzone przy użyciu przerażającej broni, zaskakująco podobnej do bomb atomowych zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki pod koniec II wojny światowej.

Majowie – grupa pradawnych ludów indiańskich Ameryki Środkowej zamieszkujących obszar Meksyku, Gwatemali, Belize, Salwadoru i Hondurasu. Mimo że szesnastowieczni hiszpańscy konkwistadorzy zdziesiątkowali Majów, ludy te zdołały przetrwać. Dziś żyje około 2.000.000 Majów, rozdzielonych na liczne grupy etniczne. Wznosząc wspaniałe miasta, jak Palenque, Tikal, Yaxchilan i wiele innych, pozostawili wiele reliktyw, które z perspektywy badań paleo-SETI, szukających śladów obecności na naszej planecie inteligencji pozaziemskiej w przeszłości, stanowią znaczące wskazówki.

Molibden – pierwiastek chemiczny z grupy metali ziem rzadkich, liczba atomowa 42. Jest bardzo gęsty, temperatura topnienia wynosi 2650°C. Używa się go do hartowania i uszlachetniania stali, do żarówek i pieców wysokotemperaturowych. Stanowi zaledwie 0,001% skorupy ziemskiej.

Mumifikacja – konserwowanie zwłok przez ich naturalne wysuszenie albo odpowiednie wykorzystanie różnych chemicznych substancji, hamujących proces gnicia. Mumifikację stosowało wiele ludów całego świata, szczególnie Egipcjanie, ale także Inkowie w Ameryce Południowej, dawni

Chińczycy, a nawet Aborygeni, rdzenni mieszkańcy Australii.

Nekropola (gr. miasto umarłych) – cmentarz otoczony kultem, rozległe miejsce pochówku o rozmiarach i charakterze miasta w czasach prehistorycznych, w wiekach przedchrześcijańskich, a nawet w antyku greckim i rzymskim.

Okres połowicznego rozpadu – w fizyce to czas, w którym połowa początkowej ilości atomów promieniotwórczego izotopu rozpada się i przekształca w nowe atomy. Czas trwania rozpadu jest inny dla każdego promieniotwórczego pierwiastka. Izotop uranu²³⁸ potrzebuje na to $4,5 \times 10^9$ lat, rad zaledwie 1622 lata.

Olmekowie – wzięta z języka Azteków nazwa mieszkańców południowego wybrzeża Zatoki Meksykańskiej. Istniejącą tam wysoką kulturę przypisuje się Olmekom, choć mogła być osiągnięciem innego, starszego ludu. Przyjęła się też inna jej nazwa, od najważniejszego odkrytego miasta tego regionu – kultura La Venta. Szczególne wrażenie robią znalezione tam monumentalne głowy z bazaltu o wadze dochodzącej do 30 ton, znane jako Głowy Olmeków.

Outback – powszechne w Australii określenie buszu, terenów porośniętych lasami i obszarów stepowych. Są one znane z mnogości występujących tam niebezpiecznych zwierząt, przede wszystkim węży, pajaków i skorpionów, na północy również krokodyli. Wiele z najbardziej jadowitych węży i pajaków świata zamieszkuje piąty kontynent.

Paleontologia – nauka biologiczna badająca historię życia na Ziemi w czasach prehistorycznych na podstawie pozostałości wymarłych gatunków z różnych okresów dziejów Ziemi. Daje wgląd w świat zwierząt i roślin z różnych epok Ziemi.

Papuasi – tubylczy mieszkańcy Nowej Gwinei i jej pobliskich wysp. Ludy tego regionu jeszcze przed kilkoma dziesięcioleciaми kulturowo znajdowały się w epoce kamienia. W rezultacie konfrontacji z alianckimi żołnierzami podczas II wojny światowej powstały u nich kultury cargo. Te dobrze udokumentowane przez etnologów formy zachowań dają wiarygodne wyobrażenie o tym, jak mogłoby wyglądać spotkanie prymitywnej cywilizacji ziemskiej z wysokorozwiniętą inteligencją pozaziemską.

Pismo klinowe – pismo w postaci klinów zapisanych rylcem w miękkiej glinie, używane na starożytnym Bliskim Wschodzie, zwłaszcza w Asyrii i Babilonie. Składało się pierwotnie z obrazków, a później bardzo uproszczonych symboli oznaczających słowa i sylaby oraz mających wartość fonetyczną. Pismo klinowe rozwinęli Sumerowie około 3000 roku p.n.e.; wkrótce zostało przejęte przez inne ludy Międzyrzecza (Mezopotamii).

Promieniotwórczość (radioaktywność) – właściwość niektórych jąder atomów do samorzutnych przemian wskutek nadmiaru protonów i neutronów w jądra innych atomów. Uwalnia się przy tym energia w postaci emisji cząstek lub promieniowania elektromagnetycznego. W 1896 roku odkrył promieniotwórczość, pracując z uranem, Antoine Henri Becquerel, od którego nazwiska nazwano jednostkę aktywności preparatu promieniotwórczego. Rozróżnia się promieniotwórczość naturalną która występuje w przyrodzie, oraz sztuczną, która polega na wysyłaniu promieniowania przez izotopy otrzymywane sztucznie w laboratoriach.

Reakcja immunologiczna – uczulenie na tkanki obce dla organizmu, sprawiające problemy w transplantologii. W razie przeszczepienia obcego narządu, na przykład serca, reakcja immunologiczna może spowodować jego odrzucenie. Z powodu tej nietolerancji większość transplantacji serca w latach 60. XX wieku kończyła się niepowodzeniem. Obecnie reakcję immunologiczną niemal całkowicie wytlumia się przez podanie biorcy narządu dużej dawki odpowiednich leków, co jednak osłabia układ odpornościowy organizmu.

Reaktor ciśnieniowy wodny – typ reaktora pracujący na paliwie atomowym. Składa się z systemu elementów paliwowych z określoną liczbą prętów paliwowych oraz prętów regulacyjnych. Pomiedzy nimi przepływa woda pod dużym ciśnieniem, ogrzana do temperatury tuż poniżej punktu wrzenia. Gorąca woda pod postacią pary oddaje następnie energię turbinie generatora elektryczności.

Reaktor powielający prędkości – reaktor jądrowy, w którym zachodzi rozszczepienie jądrowe przez szybkie neutrony w strefie rozszczepienia jąder plutonu. Część powstałych przy tym neutronów umożliwia powstanie tak zwanej strefy powielania rozszczepialnego plutonu z uranu ^{238}U . Jako środka chłodzącego używa się dobrze przewodzącego ciepło sodu, który w przeciwieństwie do wody nie wyhamowuje neutronów.

Rtęć – srebrzystobiały metal, w normalnej temperaturze ciekły, o liczbie atomowej 80. Wystawiony na działanie powietrza utlenia się powyżej 300°C i traci połysk. Wyjątkowo trujące są opary rtęci.

Sanskryt (z ind. *samskṛta* – uporządkowany). Język staroindyjski, pismo klasycznej literatury dawnych Indii. W sanskrycie zapisano staroindyjskie dzieła, takie jak epos narodowy *Mahabharata*. Reguły gramatyczne po raz pierwszy ustalił w V wieku p.n.e. uczonego Panini.

Skąły głębinowe – określenie zbiorowe grupy skał magmowych (zwanymi też skałami plutonowymi). Powstały one przez krzepnięcie gorącej magmy na dużych głębokościach – w przeciwieństwie do skał powstających po zakrzepnięciu na powierzchni ziemi. Izolacja termiczna na tych głębokościach powoduje długotrwałą i powolną krystalizację, wskutek czego powstają większe kryształy. Najbardziej rozpowszechnionymi skałami głębinowymi są granit, andezyt i dioryt; z powodu średnio- i gruboziarnistej struktury są bardzo twarde, przez co ich obróbka wymaga użycia specyficznych środków technicznych.

Skarabeusz (poświętnik) – chrząszcz, którego samica składa jaja w kulce nawozu, jaki magazynuje jako zapas pokarmu dla larw. Często widuje się samice toczące taką kulkę. W starożytnym Egipcie otaczano skarabeusze czcią jako boskie istoty. Widziano w nich także jedno z wcieleń boga słońca Ra. Od okresu Średniego Państwa powstawały pieczęcie w formie skarabeusza. Najpierw pełniły funkcje amuletu ochronnego, potem zaś te wizerunki przeobrażały się w coraz większym stopniu w ozdoby, które do dzisiaj wytwarza się w Egipcie i sprzedaje turystom.

Teoria ewolucji – obecnie przyjęte w biologii wyjaśnienie powstawania i rozwoju gatunków roślin, zwierząt i człowieka. Głównym założeniem teorii stworzonej przez Karola Darwina (1809-1882) jest następowanie stopniowych ciągłych zmian o charakterze przystosowawczym. Wątpliwości budzi fakt, że nie wszystkie drogi rozwoju ewolucyjnego można wyjaśnić tą teorią. Przede wszystkim odnosi się to do zmian skokowych, takich jak powstanie inteligencji u gatunku *Homo sapiens*. W tej kwestii badania paleo-SETI formułują teorię o celowej ingerencji pozaziemskiej inteligencji.

Toltekowie (z języka Indian Nahu: lud Tollan) – dawny lud o wysokiej cywilizacji żyjący na wyżynach Meksyku w mieście Tollan, znanym też jako Tula. Dziś pozostały tylko jego ruiny, słynące z ogromnych pomników. Dla Azteków, pozostających pod silnym wpływem Tolteków, epoka toltecka była złotym wiekiem. W 1000 roku n.e. Toltekowie przybyli na wybrzeże Zatoki Meksykańskiej na półwyspie Jukatan, na obszary zajęte przez Majów, którzy pod tolteckim wpływem przeżyli ostami okres rozkwitu.

Wolfram – pierwiastek chemiczny z grupy metali ziem rzadkich, stanowiący 0,0064% skorupy ziemskiej. Wolfram ma dużą masę atomową i gęstość cząsteczkową. W formie czystej ma białawy połysk, w wyższej temperaturze jest metalem podatnym na walcowanie, ciągliwym i kowalnym. Temperatura topnienia wynosi 3410°C , temperatura wrzenia około 5400°C . Jest składnikiem stopów używanych do wyrobu materiałów odpornych na ścieranie, a w czystej postaci używa się go do raketowych dyszy i drucików żarówek.

PRZYPISY

- ¹ Hartwig Hausdorf *Gehzim Dechichte II. die Verschwörung bei Tageslicht* Marktoberdorf 2003.
- ² Hans Michaelis *Handbuch derSKerneregie*, Frankfurt 1987.
- ³ Hansjorg Ruh *Diefossillen Naturreaktoren von Oklo und Bangombe o ein eoinmaliges, fascinerendes Weltwunder*, w: Thomas Mehner (wyd.), *An den Grenzen unseres Wissens*, Suhl 1999.
- ⁴ „Comptes Rendues de l'Academie de Sciences”, Paryż, 16 października 1972.
- ⁵ Komunikat Commissariat a l'Enegie Atomique (CEA), 12 marca 1999.
- ⁶ J.L. Lancelot i inni *A Prehistorie Nuclear Reactor?*, w: „Earth and Planetary Science Letters”, t. XXV, marzec 1975.
- ⁷ Hartwig Hausdorf *Experiment: Erde*, Monachium 2001.
- ⁸ George A. Cowan *A Naturall Fission Reactor*, w: „Scientific American”, lipiec 1976.
- ⁹ Johannes Fiebag *Das Genesis-Projekt*, wykład na międzynarodowej konferencji Ancient Astronaut Society (AAS), Berno, 18 kwietnia 1995.
- ¹⁰ Johannes Fiebag *Ein prdhistorischer Kernreaktor in Gabun*, w: Ulrich Łopatka, *Sindwir alle-in*, Dusseldorf 1996.
- ¹¹ Francois Gauthier-Lafaye i inni *The Last Natural Nuclear Fission Reactor*, w: „Nature”, t. 387, maj 1987.
- ¹² Informacja Compagnie des Mines d'Uranium de Franceville (COMUF), 17 lutego 1998.
- ¹³ Charles Berlioz *Das Drachen-Dreieck*, Monachium 1990.
- ¹⁴ Hartwig Hausdorf *Die Wessie Pyramide*, Monachium 1994.
- ¹⁵ Chandra P. Roy *The Mahabharata*, Kalkuta 1888.
- ¹⁶ Erich von Daniken *Beweise. Lokaltermin injunf Kontinenten*, Dusseldorf 1997.
- ¹⁷ Franz Batz *Indische Geisterstdde*, Marktoberdorf 2003.
- ¹⁸ Erich von Daniken *Wspomnienia z przyszłości*, Warszawa 1974.
- ¹⁹ Erich von Daniken *Habe ich mich geirrt? Neue Erinnerungen an die Zukunt*, Monachium 1985.
- ²⁰ Ashri Sh. Bhushan *Delhi, a City ofCities*, Delhi 2000.
- ²¹ R. Balasubramaniam „Current Science”, t. 82, wyd. Indyjska Akademia Nauk, Delhi 2000.
- ²² Franz Batz *Die nichtrostende Eisensaule von Delhi*, w: „Sagenhafte Zeiten”, nr 1/2004.
- ²³ Gerhard J. Bellinger *Lexikon der Mythologie*, Augsburg 1997.
- ²⁴ Erich von Daniken *Prophet der Vergangenheit*, Dusseldorf 1979.
- ²⁵ V.A. Smith *The Iron Pillar ofDhar*, w: „Journal of the Royal Asiatic Society of Great Britain and Ireland”, Delhi 1898.
- ²⁶ H. Cousins *The Iron Pillar at Dhar*, w: „Almanac of the Archeological Survey of India 1902/03” Delhi 1903.
- ²⁷ Klaus Rössler *The Non-rusting Iron Pillar at Dhar*, w: „Technical Journal”, t. 37, nr 2, październik-grudzień 2003.
- ²⁸ Franz Batz *Die nichtrostende Eisensaule von Dhar*, w: „Sagenhafte Zeiten”, nr 4/2005.
- ²⁹ Franz Batz, korespondencja z autorem, 1 stycznia 2007.

- ³⁰ Rinpoche Ngakpa Chogyam *Der Biss des Murmeltieres*, Paderborn 1993.
- ³¹ E.P. Kunsang, M. Binder-Schmidt *Blazing Splendor. The Memoirs of the Dzogchen Yogi Tulku Urgyen Rinpoche*, Hongkong 2005.
- ³² Franz Batz, osobista korespondencja z autorem, 17 lipca 2007.
- ³³ Klaus-Ulrich Groth *Pradastronautische Artefakte im Agyptischen Museum von Kairo*, w: Erich Daniken *Das Erbe der Götter*, Monachium 1997.
- ³⁴ Hartwig Hausdorf *Geheim Dechichte. Was unsere Historiker verschweige*, Marktobendorf 2001.
- ³⁵ Derek de Solla Price *Gears from the Greek*, Nowy Jork 1975.
- ³⁶ Derek de Solla Price *An Ancient Greek Computer*, w: „Scientific American”, czerwiec 1959.
- ³⁷ Brad Steiger *Mysteries of Time and Space*, West Chester (Pensylwania) 1989.
- ³⁸ H. Genzmer, U. Hellenbrand *Rdtzel der Menschheit*, Kolonia 2006.
- ³⁹ Markus Becker *Forscher entrdtseln Computer aus der Antike*, w: „SPIEGEL online”, 29 listopada 2006.
- ⁴⁰ Arthur C. Ciarke, S. Welfare, J. Fairley *Geheimnisvolle Welten. An den Grenzen unserer Wirklichkeit*, Augsburg 1990.
- ⁴¹ Ulrich Dopatka *Lexikon der Praastronautik*, Rastatt 1981.
- ⁴² Peter Kolosimo *Woher wir kommen*, Wiesbaden 1972.
- ⁴³ *US-Astronomen entdecken zehnten Planeten unseres Sonnen-systems*, w: „Passauer Neue Presse”, 28 października 2005.
- ⁴⁴ Friedrich Steinbauer *Die Cargo-Kulte - ais religionsgeschichtliches Problem*, Erlangen 1971.
- ⁴⁵ Guglielmo Guariglia *Prophetismus und Heilserwartungsbewegungen ais volkerkundliches und religionsgeschichtliches Problem*, w: „Wiener Beitrage zur Kulturgeschichte und Linguistik”, t. XIII, Wiedeń 1959.
- ⁴⁶ Erich von Daniken *Auf den Spuren der All-Machtigen*, Gutersloh 1993.
- ⁴⁷ Louis Pauwels i Jacques Bergier *Aujbruch ins Dritte Jahrtausend*, Berno i Monachium 1962.
- ⁴⁸ Erich von Daniken *Die Spuren der Ausserirdischen*, Monachium 1990.
- ⁴⁹ Peter Fiebag i Johannes Fiebag *Der steinerne Gott von Xunan-tunich*, w: Erich von Daniken, *Fremde aus dem AU*, Monachium 1995.
- ⁵⁰ Easby E. Kennedy i John F. Scott *Before Cortez - Sculpture of Middle America*, Nowy Jork 1970.
- ⁵¹ Reinhard Habeck i inni *Unsohed Mysteries. Die Welt des Unerkldrlichen*, Wiedeń 2001.
- ⁵² Frederic V. Griinfeld *Spiele der Welt- Tlachtli*, wyd. Schweizer Komitee für UNICEF. Zurich.
- ⁵³ Herbert Wilhelmy *Welt und Umwelt der Maya*, Monachium 1981.
- ⁵⁴ Miloslav Stingl *Den Maya auf der Spur*, Lipsk 1971.
- ⁵⁵ Paul Rivet *Les Origines de l'Homme Americain*, Paryż 1943 i 1957.
- ⁵⁶ Hartwig Hausdorf *Von Russelwesen, Roboterrarmen und Headsets*, w: „Sagenhafte Zeiten”, nr 4/2006.
- ⁵⁷ Josef Karst *Eusebius Werke*. 5. Band: *Die Chronik*, Lipsk 1911.
- ⁵⁸ Erich von Daniken *Die Augen der Sphimc*, Monachium 1989.
- ⁵⁹ Erich von Daniken *Wir alle sind Kinder der Götter*, Monachium 1987.
- ⁶⁰ Oświadczenie dla prasy wydane przez Greenpeace Niemiec, 19 listopada 2000.
- ⁶¹ Neue Rechtsbrüche am Europäischen Patentami, Komunikat Online-Greenpeace Niemiec, grudzień 2000.
- ⁶² Edward Tripp *Reclams Lexikon der antiken Mythologie*, Stuttgart 1974.
- ⁶³ Herodot *Historia*. Księgi I i II, Monachium 1963.
- ⁶⁴ Beda M. Stadler *Haben wir ausserirdische Gene?*, „Sagenhafte Zeiten”, nr 6/2003.
- ⁶⁵ Martina Steinhardt *Autoimmunkrankheiten: Spur prdhistorischer Gentechnologie durch Aufrierirdische?* w: Erich von Daniken *Neue kosmische Spuren*, Monachium 1992.
- ⁶⁶ Rostislav Furduy *Die Gene und die Ausserirdischen*, „Sagenhafte Zeiten”, nr 6/1999.
- ⁶⁷ Joy Adamson *The Spotted Sphinx*, Londyn 1969.
- ⁶⁸ Hartwig Hausdorf *„Designerfauna” oder das Ratsel der Zwischen-arthrybriden*, „Sagenhafte Zeiten”, nr 1/2007.
- ⁶⁹ *Kritik an Patent auf Sonnenblumen*, komunikat dpa, „Passauer Neue Presse”, 11 lipca 2007.
- ⁷⁰ Hartwig Hausdorf *Das Jahrhundert der Ratsel und Phanomene*, Monachium 1999.
- ⁷¹ różni autorzy, *Nanotechnologie: Miniaturroboter können unsere Zukunft verndern*, „Factor X”, nr 5/1997.

- ¹² *Ein Rettungs-U-Boot auf Patrouille in unserem Körper*, „Bild”, 9 października 1999.
- ⁷³ Różni autorzy *Minispione reisen durch den Körper*, „Apotheke-Umschau”, 2 maja 2001.
- ⁷⁴ *Durchbruch bei neuer Chip-Technologie*, „Passauer Neue Presse”, 29 stycznia 2007.
- ⁷⁵ Walerij Ołwarow, korespondencja z autorem, 2 października 1996.
- ⁷⁶ E.W. Matwiejewa i inni *Schlussfolgerungen zu den Funden an faden-förmigen Wolframspiralen in den alluvialen Ablagerungen des Flusses Balbanju*, ekspertyza nr 18/485, Centralny Instytut Badawczy Geologii oraz Nauki o Metalach Kolorowych i Szlachetnych (ZNIGRI), Moskwa, 29 listopada 1996.
- ⁷⁷ Stefano Bagnasco, pismo do autora w imieniu Comitato Italiano per il Controllo delle Affermazioni sul Paranormale, 5 grudnia 2006.
- ⁷⁸ Paul Ehrenreich *Die Mythen und Legenden der sudamerikanischen Civi- und Kultur*, Berlin 1905.
- ⁷⁹ Miloslav Stingl *Die Inkas*, Wiedeń 1978.
- ⁸⁰ Walentin Nussbaumer *Das Stargate in Peru*, w: Erich von Daniken *Jäger verlorenen Wissens*, Rottenburg 2003.
- ⁸¹ Garcilaso de la Vega *Primera Parte de los Comentarios Reales*, Madryt 1723.
- ⁸² Garcilaso de la Vega *Historia General de Peru*, Madryt 1722.
- ⁸³ Erich von Daniken *Zurück zu den Sternen*, Düsseldorf 1969.
- ⁸⁴ Robert Charroux *Histoire inconnue des hommes depuis cent mille ans*, Paryż 1963.
- ⁸⁵ Hans S. Bellamy i P. Allan *The Calendar of Tiahuanaco*, Londyn 1956.
- ⁸⁶ Hartwig Hausdorf *Neue Ratsel im Hochland der Anden*, „Sagenhafte Zeiten”, nr 6/2003.
- ⁸⁷ *Forscher inspizieren UFO-Startrampe*, „SPIEGEL online”, lipiec 2002.
- ⁸⁸ Peter Fiebag *Mysteriöses Rohrsystem - von ETs erbaut?*, „Sagenhafte Zeiten”, nr 5/2002.
- ⁸⁹ Peter Fiebag *Mysteriöses Rohrsystem - von ETs erbaut?* w: Erich von Daniken *Jäger verlorenen Wissens*, Rottenburg 2003.
- ⁹⁰ Hartwig Hausdorf *Die „Ruinen der Ausserirdischen am Baigong*, „Sagenhafte Zeiten” nr 1/2005.
- ⁹¹ Ma Pei Hua *Unknown Qinghai*, Wydawnictwo Ludowe Qinghai 2003.
- ⁹² Dietmar Schrader *Die ausserirdischen Relikte am Baigong: Neues von Chinas uraltem Geheimnis*, „Sagenhafte Zeiten”, nr 6/2006.
- ⁹³ *E. T.-Berg in China: Erste Untersuchungsergebnisse*, „Sagenhafte Zeiten”, nr 1/2006.
- ⁹⁴ Sibylle Wehner-v. Segesser *Die Zwergmenschen von Flores. Spektakulärer Fossilienfund in Indonesien*, „Neue Zürcher Zeitung”, 28 października 2004.
- ⁹⁵ Joseph Verrengia *Mensch oder Nicht-Mensch*, „Der Bund” (Berno/Szwajcaria), 28 października 2004.
- ⁹⁶ Peter Kolosimo *Sie kamen von einem anderen Stern*, Wiesbaden 1969.
- ⁹⁷ Peter Krassa *Ais die gelben Gotter kamen*, Monachium 1973.
- ⁹⁸ Hartwig Hausdorf *The Chinese Roswell*, Boca Raton (Floryda) 1998.
- ⁹⁹ *UFOs in der Vorzeit?*, „Das vegetarische Universum”, wydanie lipiec 1962.
- ¹⁰⁰ Dendl Jörg *Die Steinscheiben von Baian Kara Ula: Der erste Bericht*, „Ancient Skies”, nr 1/1996.
- ¹⁰¹ J. Stoneley i A.T. Lawton *Is anyone out there?*, Londyn 1975.
- ¹⁰² Peter Krassa *...und kamen auffeuerigen Drachen*, Monachium 1990.
- ¹⁰³ *Das Dorf der Zwerge - Umweltgifte schuld?*, „Bild”, 9 listopada 1995.
- ¹⁰⁴ L. Williams *Für Experten ein Ratsel: Das chinesische Dorf der Zwerge*, „Taglich alles”, Wiedeń, 9 listopada 1995.
- ¹⁰⁵ *Arztstreit um das Dorf der Zwerge*, „Bild”, 27 stycznia 1997.
- ¹⁰⁶ Jörg Dendl *Das Geheimnis der Steinscheiben von Baian Kara Ula: Fiktion oder Wirklichkeit?* w: Erich von Daniken *Das Erbe der Gotter*, Monachium 1997.
- ¹⁰⁷ Jo Lusby i Abby Wan *Has the Site of the Chinese Roswell Actually Been Found?*, „City Weekend Magazine”, 18 lipca 2003.
- ¹⁰⁸ Paul White *Egyptian Enigma ~ Our History Rewritten*, „Exposure Magazine”, t. 2/nr 6, luty/marzec 1996.
- ¹⁰⁹ David M. Summers *Ancient Secrets Revealed*, A Film by CNI/Exposure TV. Noosa Heads, Queensland/Aus. 1996.
- ¹¹⁰ Braunschlange, Óstliche, <http://goruma.de>
- ¹¹¹ Paul White *The Strange Case of the Missing Mummy*, Research-Update 1998.
- ¹¹² David Coltheart *The Gosford Glyphs*, <http://donsmaps.com>
- ¹¹³ Adrian Keating *Egyptian Relics in Australia?*, <http://members.ozemail.com.au>

""Robert Bauval i Adrian Gilbert *The Orion Mystery. Unlocking the Secrets of the Pyramids*, Nowy Jork 1994 (wyd. polskie: *Piramidy. Brama do gwiazd*, Warszawa 1996).

¹¹⁵ Rex Gilroy *Ancient Egyptian Colonists of Australia*, „Exposure Magazine”, t. 7/nr 4, wrzesień/październik 2000.

¹¹⁶ Schlegel Rudiger *Die 'Kulturbringer der Traumzeit'*, „Esotera”, wrzesień 1995.

¹¹⁷ Rex Gilroy *Mysterious Australia*, Mapleton/Queensland 1995.

¹¹⁸ Erich von Daniken *Meine Welt in Bildern*, Dusseldorf 1973.

¹¹⁹ Rex Gilroy *Pyramids in the Pacific*, Mapleton/Queensland 1999.

PODZIĘKOWANIA

Wyrażam gorące podziękowania wszystkim, bez których wsparcia ta książka zapewne by nie powstała.

Wyrazy wdzięczności kieruję przede wszystkim dla Ericha von Dänikena oraz znamienitego indologa, Franza Batza, których od długiego już czasu mogę zaliczać do grona przyjaciół. Chciałbym też wspomnieć o Johannesie Fiebagu i Peterze Krassie, których nie ma już wśród nas, ale których badania legły u podstaw tej książki.

Gorące podziękowania niech przyjmą Hansjorg Ruh, Jörg Dendl, inżynier dyplomowany Klaus Deistung, Sabine i Werner Rossowowie oraz Dietmar Schrader, który wyjaśnił wiele kwestii związanych z artefaktami z Baigong, a także Walerij Ołwarow z Rosji i Werner Forster za materiały na temat artefaktów nanotechnicznych ze wschodniego Uralu.

Serdeczne dzięki przesyłam Jo Lusby i Abby Won z pekińskiej redakcji *City Weekend Magazine* oraz moim australijskim przyjaciołom Julie Byron, Alt Mohammedowi Hassanowi, Davidowi M. Summersowi, Duncanowi Roadsowi i Paulowi White'owi.

Dziękuję Brigitte Fleissner-Mikorey z domu wydawniczego Langen Muller Herbig nymphenburger, a także całej wypróbowanej ekipie wydawniczej oraz mojemu długoletniemu redaktorowi Hermanowi Hemmingerowi. Wspólna z nim praca nad książką znów sprawiła mi ogromną radość.

Zapomniałem o kimś? Ach tak – i to o kim! Czymże byłby autor bez grona Czytelników z całego świata, dochowujących mu wierności od czasów „Białej Piramidy”? W tym miejscu zatem składam im serdeczne podziękowania za zainteresowanie poruszonymi w moich książkach tematami.

Hartwig Hausdorf